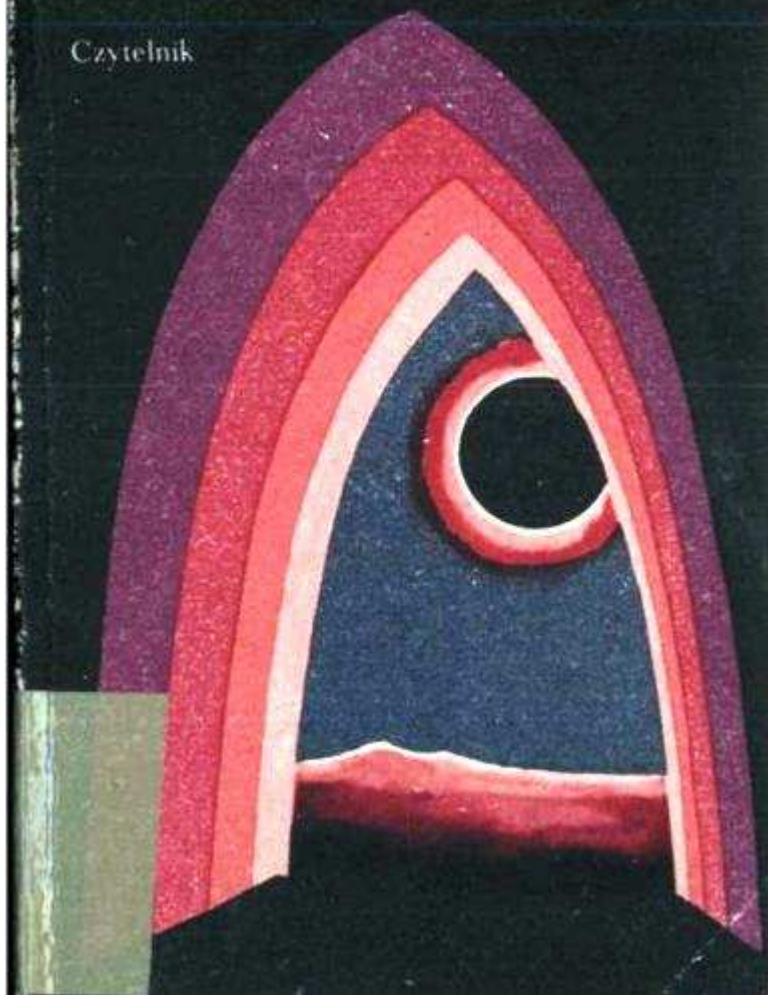


William
Hope
Hodgson

Dom
na granicy
światów

Czytelnik



Prezentowany po raz pierwszy polskiemu Czytelnikowi pisarz William Hope Hodgson (1875-1918) uważany jest za klasyka literatury fantastyczno-niesamowitej. Wczesnie opuścił dom rodzinny i przez osiem lat był marynarzem, przynajmniej trzykrotnie opływając w tym czasie kulę ziemską. Później zamieszkał na południu Francji i utrzymywał się z pisania. Wydał m. in. opowieści „The Boats of »Glen Carrig“; „The Ghost Pirates“ i „The Night Land“ oraz tomy opowiadań „Carnacki, the Ghost-Finder“ i „Men of Deep Waters“. Zginął w czasie pierwszej wojny światowej jako oficer artylerii.

„Dom na granicy światów“ jest historią żyjącego na odludziu człowieka, który uświadamia sobie, że jego dom znajduje się na granicy świata rzeczywistego i jakiegoś innego wymiaru. Umożliwia mu to obserwowanie różnorodnych zjawisk kosmicznych, jak na przykład rozpad Układu Słonecznego. Niesamowite halucynacje bohatera czynią z tej nieco staroświeckiej powieści pasjonującą lekturę.

William Hope Hodgson

Dom na granicy światów

Z rękopisu znalezionego w 1877 roku
przez panów Tonnisona
i Berreggnoga w ruinach
na południe od wioski Kraithen
w zachodniej części Irlandii.
Przedłożone tutaj z przypisami.

Tłumaczyła

Małgorzata Targowska-Grabińska

Czytelnik • Warszawa 1985

Tytuł oryginału angielskiego The House on the Borderland
Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński
Wiersze na stronach 6, 9 i 10 w tłumaczeniu Bohdana Zadury

© Copyright for the Polish edition by
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Warszawa 1985

ISBN 83-07-01290-2

„Czytelnik”. Warszawa 1985. Wydanie I.

Nakład 50 320 egz. Ark, wyd. 7,1; ark, druk. 10,25.

Papier druk, m/gł, ki. IV, «S g, 82X104. Oddano
do składania 21 III 1984 r. Podpisano do druku
28 XII 1984 r. Druk ukończono w lutym 1985 r.

Zakłady Graficzne w Toruniu

Zam, wyd. 906; druk. 1593. T-87

Printed in Poland

Memu Ojcu
(który przemierza bezdroża wieków)

Otwórz drzwi
I zamień się w słuch!
Tylko grzmot przytłumiony przez wiatr i lśni
We łzach nów
Księżyc. I, w wyobraźni,
Ślad znikającego
Blasku stóp —
Poza tą nocą ze Zmarłym.

Pst! Słuchaj, jak
W ciemności wiatr
Smutnie łąka.
Nie wzdychaj, nie szepcz, wsłuchaj się w błysk
Który straconą depcze wieczność,
W głos, co umierać każe ci.
Nic nie mów, słuchaj tylko, pst!

Wstęp

Wiele godzin rozmyślałem na temat historii przedstawionej w tej książce. Kilka razy, przypominając sobie o obowiązkach redaktora, ulegałem pokusie, aby ją „ustylizować” — jeżeli wolno mi użyć tak niezręcznego wyrazu — instynktownie jednak czułem, że nie powinienem tego robić, aby nie psuć prostoty stylu opowiadania.

Mówiąc zaś o samym rękopisie, trzeba było mnie zobaczyć w chwili, gdy powierzono go mej opiece i kiedy z ciekawością zacząłem przeglądać jego poźółkłe stronicę, nie zagłębiając się jednak zbyt w ich treść. Wygląda jak mały gruby zeszyt, którego kartki z wyjątkiem kilku stron wypełnia drobne, staroświeckie, niemniej całkiem wyraźne pismo. Wciąż jeszcze przepelnia mnie osobliwy delikatny zapach zatęchłej jamy i podświadomie czuję w palcach dotyk wilgotnych rozpadających się stron.

Dobrze pamiętam pierwsze wrażenie, jakie odniosłem po nieuważnym i wrywkowym zaznajomieniu się z treścią rękopisu; opowiedziana historia wydała mi się całkiem nieprawdopodobna.

Ale później, wyobraźcie sobie, jak wieczorem siedzę wygodnie w fotelu i spędzam z grubym zeszytem długie, samotne godziny. No i ta nagle zmiana w moich sądach! Zacząłem patrzeć na poźółkłe stronicę z prawdziwym niedowierzaniem. Bo oto, jakby w nagrodę za mą uwagę, z fantastycznej na pozór opowieści zaczął się wyłaniać przekonujący zwały ciąg obrazów, który zainteresował mnie dużo bardziej od samego

szkieletu opowieści czy też historii, chociaż muszę przyznać, że wolę to pierwsze określenie. Odkryłem większą historię w tej mniejszej i paradoks ten wcale nie jest paradoksem.

Czytając unosiłem Zasłonę Niewiarygodności, która zaślepia umysł. Powoli zagłębiałem się w nieznanne. Wędrowałem wśród nieporadnych urywanych zdań i w końcu nie mogłem im nic zarzucić, zrozumiałem bowiem, że urywane zdania okaleczonej opowieści dużo lepiej od mej ambitnej stylizacji oddają przeżycia starego samotnika nieistniejącego już domu.

Nie chcę się rozwodzić na temat niesamowitej historii opowiedzianej językiem prostym i chropawym. Oto leży przed wami. Zawarta w niej opowieść powinna być odczytana na swój własny sposób przez każdego Czytelnika w zależności od jego zdolności i chęci. A tym z was, którym nie uda się wytropić zaciemnionego obrazu i idei tego, co potocznie nazywamy piekłem i niebem, obiecuję, że historia ta nawet bez żadnych podtekstów dostarczy wielu dreszczy emocji.

Jeszcze jedna uwaga i przestanę się narzucać. Kuliste ciała na niebie, tak jak zostały przedstawione, wydają się zdumiewającym opisem — jeśli nie „dowodem” — stanu naszych myśli i uczuć w świecie Rzeczywistości. Nie chcę tutaj sugerować całkowitej anihilacji trwałej rzeczywistości Materii, jako osi i szkieletu Maszyny Wieczności. Ale tenże właśnie opis uświadamia nam różne idee istnienia światów myśli i uczuć działających w związku z naturalnym porządkiem rzeczy i odpowiednio od niego uzależnionych.

William Hope *Hodgson*

„Glanceifion”

Borth,

Cardiganshire.

17 grudzień 1907 r.

Żal

Głód straszny włada piersią moją,
 Że Boża pięść z całego świata
 Wycisnąć zdoła nie myślałem
Tak gorzki wyciąg niepokoju,
 Ból taki, jaki dziś ulata,
 Gdy serce smutne, roztrzaskane!

Krzykiem jest każdy tchnienia powiew,
 Agonię serca dzwon wydzwania,
 W mózgu myśl jedna się rozpiera,
Że nigdy więcej; nigdy bowiem
 (Poza boleścią wspomnienia)
 Nie dotknę ciebie, ciebie nie ma.

Szukam cię w pustce nocy, ginie
 Mój głos w straszliwej nocnej ciszy,
 Oto tron nocy niezmierny
W potworną zmienia się świątynię,
 Nikt we wszechświecie mnie nie słyszy,
 Gwiazd tylko biją, biją dzwony.

Złakniony pełzną ku brzegowi,
 Od serca Morza wreszcie może
 Wytchnieniem jakimś mnie obdarzy,
Cóż! głosy z niezgłębionych toni
 Jakby pytały nieświadome,
 Dlaczego nie jesteśmy razem!

Sam — gdzie by stopa ma stanęła,
 Choć z tobą miałem cały świat,
 Imadło bólu pierś obraca
Przez tę, co była, lecz wpłynęła

W Próżnię, co kruszy życia ład,
Gdzie nie ma nic i nic nie wraca.

Te strofy znalazłem, napisane ołówkiem, na kawałku papieru przyklejonego przed kartą tytułową rękopisu. Wyglądały, jakby napisane zostały wcześniej niż rękopis.

ROZDZIAŁ I

Odkrycie rękopisu

Na zachodzie Irlandii, u stóp niskiego wzgórza, leży mała wioska Kraighten. Wokół niej rozpościera się ponura i bardzo niegościnna kraina, gdzie tu i ówdzie można spotkać ruiny dawno opuszczonej zagrody – jakiś sterzcący szkielet bez dachu. Okolice jest bezludnym pustkowiem; gdzieniegdzie wyrastają faliste wzgórza, pokryte cienką warstwą ziemi.

Chociaż Kraighten leży daleko od znanych szlaków, właśnie tam postanowiłem z moim przyjacielem Tonnisonem spędzić wakacje. Tonnison natknął się na wioskę ubiegłego lata, całkiem przypadkowo, w czasie długiej pieszej wędrówki, i odkrył wtedy możliwość łowienia ryb w małej, przepływającej opodal rzeczce bez nazwy.

Wspomniałem o rzeczce bez nazwy, chciałem także dodać, że żadna ze znanych mi map nie podaje ani nazwy wioski, ani też strumienia. Jakby całkiem umknęły uwadze, gdyż nawet w zwykłych przewodnikach nie ma o nich żadnej wzmianki. Być może przyczynił się do tego częściowo fakt, że najbliższa stacja kolejowa, Ardrahan, oddalona jest od wioski o jakieś czterdzieści mil.

Kiedy przyjechałem z przyjacielem do Kraighten, był wczesny ciepły wieczór. Poprzedniej nocy dotarliśmy do Ardrahan, gdzie udało nam się wynająć pokój w budynku wiejskiej poczty. Nazajutrz, skoro świt, z duszą na ramieniu, wgramoliliśmy się do typowo irlandzkiej dwukółki i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Cały dzień trwała podróż po szlakach tak wyboistych, że aż trudno je sobie wyobrazić, a jej skutkiem było nasze ogromne zmęczenie i zły

humor. A przecież musieliśmy jeszcze rozbić namiot i złożyć bagaż, zanim można było pomyśleć o posiłku czy odpoczynku. Woźnica pomógł nam przy rozładunku i wkrótce namiot stanął na małej łączce w pobliżu wioski, nie opodal rzeczki.

Po ułożeniu rzeczy pożegnaliśmy woźnicę, który koniecznie chciał zdążyć do domu przed zmrokiem, i umówiliśmy się, że wróci po nas pod koniec przyszłego tygodnia. Obliczyliśmy, że jedzenia powinno nam wystarczyć na czternaście dni, wodę można było czerpać ze strumienia; paliwa pewnie też nie zabraknie, zabraliśmy bowiem piecyk naftowy. Pogoda zapowiadała się wspaniała.

Był to pomysł Tonnisona, żeby zamieszkać w namiocie, a nie w chłopskiej chałupie. Twierdził, że za żadne skarby świata nie chce dzielić izby z liczną rodziną czerstwych Irlandczyków, wołałby też uniknąć widoku świńskiego chlewu w kącie i stada brudnych kur kupkających na głowy. Nie ma też najmniejszej ochoty dławić się dymem z torfu, szczególnie wypełniającym wnętrza irlandzkich chat.

Tonnison rozpałił kuchenkę i zabrał się do krajania boczku, którego grube plastry rzucał na patelnię, ja tymczasem wziąłem czajnik i ruszyłem w kierunku rzeczki po wodę. Po drodze musiałem przejść obok grupki wieśniaków, którzy przyglądali mi się wyraźnie zaciekawieni, ale bez oznak wrogości. Żaden jednak nie odważył się przemówić.

Kiedy wracałem z czajnikiem pełnym wody, zbliżyłem się do nich i skinąłem przyjaźnie głową — odpowiedzieli podobnie — i od niechcienia zapytałem, czy ryby biorą w pobliskiej rzeczce. Kręcili w milczeniu głowami i wytrzeszczali na mnie zdziwione oczy. Powtórzyłem pytanie, tym razem kierując je w stronę wielkiego ponurego mężczyzny, który stał

najbliżej, ale znowu nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Raptem zagadnięty wieśniak zwrócił się do kolegi i powiedział coś szybko w języku, którego nie rozumiałem; w jednej chwili wszyscy zaczęli mówić i wreszcie domyśliłem się, że słyszę najczystszy irlandzki język. Z kolei mężczyzna, którego zaczępiłem, zadał mi jakieś pytanie. Kręciłem głową dając do zrozumienia, że nie mam pojęcia, o co mu chodzi i tak staliśmy naprzeciwko siebie absolutnie nie mogąc się dogadać, gdy nagle usłyszałem głos Tonnisona. Przyjaciel niecierpliwił się, że tak długo nie wracam z czajnikiem. Ukłoniłem się grupie wieśniaków i nie przestając się uśmiechać, zacząłem odchodzić. Odpowiedzieli także ukłonem i uśmiechem. Na ich twarzach wciąż malowało się zdziwienie.

Było oczywiste, rozmyślałem w drodze do namiotu, że mieszkańcy nielicznych chat na pustkowiu nie znają wcale angielskiego. Kiedy napomknąłem o tym przyjacielowi, wyjaśnił, że jest to dość częste zjawisko w tej części kraju, gdzie ludzie najczęściej żyją i umierają w odległych wioskach bez jakichkolwiek kontaktów z zewnętrznym światem.

— Szkoda, że nie poprosiliśmy woźnicy, aby posłużył nam za tłumacza — zauważyłem, kiedy zasiedliśmy do posiłku. — Tutejsi ludzie muszą zachodzić w głowę, po co przyjechaliśmy.

Tonnison przyznał mi rację i zamilkł.

Później, kiedy głód został już zaspokojony, porobiliśmy plany na następny dzień i po wypaleniu fajki opuściliśmy klapę namiotu z zamiarem udania się na spoczynek.

— Mam nadzieję, że żaden z tutejszych wieśniaków niczego nam nie ukradnie — rzuciłem zaniepokojony, przykrywając się kocami.

Tonnison powiedział, że nie przypuszcza, aby ktoś ośmielił się wejść do namiotu, kiedy jesteśmy w środku, a potem zaproponował, abyśmy umieścili wszystkie rzeczy w wielkiej skrzyni przeznaczonej na prowiant. Zgodziłem się i wkrótce zmorzył nas sen.

Skoro świt pobiegliśmy wykąpać się w rzeczce, po czym z apetytem rzuciliśmy się na smakowite śniadanie. Sprawdziliśmy sprzęt rybacki, a po sprzątnięciu i zabezpieczeniu namiotu ruszyliśmy nad rzekę w miejsce, które przyjaciel poznał w czasie swej poprzedniej wizyty.

Cały dzień z zapalem łowiliśmy ryby, oddalając się coraz bardziej w górę strumienia. Wieczorem kosz pełen był wspaniałej zdobyczy. Po powrocie do wioski urządziliśmy prawdziwą ucztę i odłożywszy kilka dorodnych ryb na śniadanie, resztę ofiarowaliśmy grupie wieśniaków, którzy stali w pełnej szacunku odległości, z ciekawością obserwując nasze poczynania. Ich wdzięczność nie miała granic; dziękowali nam, oczywiście, w niezrozumiałym rodzimym irlandzkim języku.

W ten sposób na łowieniu i smażeniu ryb upłynęło kilka dni. Z prawdziwą przyjemnością odkryliśmy, że wieśniacy są do nas nastawieni przyjacielsko, żaden nie zakradł się do namiotu i nic nam nie zginęło.

Do Kraighten przyjechaliśmy we wtorek, a w niedzielę dokonaliśmy wielkiego odkrycia. Do tej pory zawsze spacerowaliśmy w górę strumienia, w niedzielę jednak po ustawieniu wędek na brzegu, zabraliśmy prowiant i wyruszyliśmy na długą przechadzkę w zupełnie odwrotnym kierunku. Dzień był pogodny, mieliśmy przed sobą mnóstwo czasu. Około południa zatrzymaliśmy się na lunch, który zjedliśmy na wielkiej płaskiej skale, niedaleko brzegu strumienia. Potem odpoczywaliśmy

przez chwilę paląc fajki, aż wreszcie znudzeni bezczynnością ruszyliśmy dalej.

Prawie całą godzinę szliśmy przed siebie, beztrudnie rozmawiając na różne tematy. Od czasu do czasu przyjaciel, który jest trochę malarzem, przystawał i robił pobieżne szkice co ciekawszych fragmentów dzikiego krajobrazu.

Nieoczekiwanie rzeczka, której brzegu staraliśmy się trzymać, urwała się gwałtownie, zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

— O Boże — krzyknąłem — kto by się tego spodziewał? — Otworzyłem szeroko oczy, całkiem oniemiały, a potem spojrzałem na Tonnisona. Z dziwnym wyrazem twarzy przyglądał się miejscu, w którym zniknęła strumień.

W końcu przemówił:

— Chodźmy trochę dalej, może znów się pokaże, w każdym razie rzecz jest warta sprawdzenia.

Zgodziłem się i znów podjęliśmy marsz, tym razem bez wyraźnego planu, niepewni, w którym kierunku prowadzić poszukiwania. Przeszliśmy pewnie około mili, kiedy Tonnison, który cały czas rozglądał się wokół ciekawie, stanął jak wryty i przysłonił ręką oczy.

— Spójrz — odezwał się po chwili — to chyba mgła, tam po prawej stronie obok tej wielkiej skały? — I wskazał ręką.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i wydało mi się, że coś widzę, i powiedziałem mu to niezbyt pewnie.

— W każdym razie — zdecydował przyjaciel — musimy sprawdzić. — To mówiąc ruszył naprzód, a ja posłusznie za nim. Najpierw weszliśmy między krzaki, a potem na szczyt wysokiej, pokrytej gładzami skarpy, skąd rozpościerał się widok na gąszcz krzewów i drzew.

— Czyżbyśmy natrafili na oazę w tej kamiennej pustyni? — mruknął Tonnison rozglądając się wokół z zaciekawieniem. Nagle zamilkł i

utkwiał wzrok w jednym punkcie. Szybko spojrzałem w tamtą stronę. Gdzieś daleko, jakby ze środka pokrytej lasem niziny, wysoko w niebo wyrastał potężny słup pyłu wodnego, a padające nań promienie słońca mieniły się licznymi barwami tęczy.

— Cudowne! — krzyknąłem.

— Tak — przyznał zatopiony w myślach przyjaciel. — To musi być wodospad. A może jest to miejsce, z którego strumyk ponownie wypływa. Chodźmy się przekonać.

Zbiegliśmy ze zbocza skarpy zanurzając się w gęstwinę drzew i krzewów. Splątane gałęzie krzaków i zwisające nad nimi konary drzew nadawały okolicy ponury wygląd; pomimo panującego wszędzie mroku zdołałem zauważyć wiele drzew owocowych, a także gdzieś niewyraźne ślady dawno porzuconej uprawy. Przyszło mi na myśl, że przedzieramy się przez wielki i zapuszczony ogród. Podzieliłem się swym odkryciem, z przyjacielem, który stwierdził, że być może mam rację.

Cóż to było za dzikie, przynębiające i ponure miejsce! W miarę posuwania się naprzód coraz wyraźniej czułem atmosferę opuszczenia i nieruchomej martwoty starego ogrodu i wstrząsnęły mną dreszcze. Oczami wyobraźni widziałem różne dziwne stwory czające się między splątanymi krzakami. Nawet w powietrzu kryło się coś tajemniczego. Myślę, że Tonnison był tego samego zdania, chociaż nic nie powiedział.

W końcu zatrzymaliśmy się. Zza drzew dochodził jakiś hałas. Tonnison pochylił się i zaczął nasłuchiwać. Dźwięk stawał się wyraźniejszy; przypominał przeciągły ostry monotonny ryk, nadchodzący skądś z daleka. Ogarnęło mnie dziwne, trudne do opisu uczucie niepokoju. Cóż za niesamowite miejsce przyszło nam odwiedzić? Spojrzałem z ciekawością na przyjaciela, pragnąc odgadnąć jego myśli. Tonnison stał

wyraźnie zaskoczony i nagle w jego oczach zapalił się błysk zrozumienia. Skinął głową i wykrzyknął z przekonaniem:

— To wodospad. Rozpoznaję teraz ten dźwięk. — I energicznie zaczął przedzierać się przez krzaki. Ruszyłem za nim i po chwili szum spadającej wody stał się całkiem wyraźny, co przekonało nas, że idziemy we właściwym kierunku. Jeszcze parę kroków i odniosłem wrażenie, że szum wydobywa się tuż spod naszych stóp, chociaż wciąż otaczały nas tylko drzewa i krzaki.

— Uważaj! — krzyknął Tonnison, w moją stronę. — Patrz pod nogi. — Wreszcie wynurzywszy się z gęstwiny znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, a przed nami, w odległości kilkunastu kroków, otwierała się ogromna przepaść, z głębi której dochodził szum wodospadu i wydobywał się wysoki słup pyłu wodnego.

Przez dłuższą chwilę staliśmy w milczeniu podziwiając ten niecodzienny widok. Potem przyjaciel zbliżył się ostrożnie do krawędzi przepaści. Ruszyłem za nim i obaj spojrzeliśmy w dół, poprzez wrzącą kipieli, na potężną masę spienionej wody, która wytryskała ze skalnej ściany około stu stóp pod nami.

— Mój Boże! — krzyknął Tonnison.

Milczałem zupełnie oszołomiony. Widok był nieoczekiwanie wspaniały, jakby nie z tego świata, chociaż to drugie określenie przyszło mi na myśl znacznie później.

Spojrzałem na przeciwległy brzeg przepaści i wśród pyłu wodnego zobaczyłem ruiny potężnej budowli. Łagodnie położyłem dłoń na ramieniu Tonnisona. Obejrzał się przestraszony, wyciągnąłem rękę w stronę ruin. Jego wzrok powędrował za moim palcem i oczy rozbłysły mu nagłym podnieceniem.

— Chodźmy tam — zaproponował, starając się przekrzyczeć szum wody. — Koniecznie musimy zwiedzić te ruiny. To miejsce na pewno kryje w sobie jakieś tajemnice. Czuję to przez skórę. — I ostrożnie zaczął

iść wzdłuż krawędzi przepaści. Kiedy podeszliśmy do rozpadających się murów, przekonałem się, że moje pierwsze wrażenie było słuszne. Bez wątpienia natrafiliśmy na pozostałości jakiegoś domu; odkryłem jednak, iż nie został on zbudowany nad samą przepaścią, jak poprzednio myślałem, ale na samym końcu potężnego skalnego wzniesienia, które wyrastało około sześćdziesięciu stóp nad otchłanią. W rezultacie wykruszone ruiny sprawiały wrażenie, jakby zawisły w powietrzu.

Stanąwszy na wprost zmurszałych ścian, postanowiliśmy wspiąć się na wystający masyw skalny. Nigdy nie zapomnę uczucia obezwładniającego strachu połączonego z zawrotem głowy, kiedy spojrzałem w niezbadaną otchłań — w czeluści, z których dochodził grzmot spadającej wody i unosił się całun pyłu wodnego.

Zbliżywszy się do ruin, obeszliśmy je dookoła i natknęliśmy się na zwały gruzu i kamieni. Po dokładniejszych oględzinach ruiny wydały się częścią zewnętrznej ściany jakiejś kolosalnej budowli. Mury były grube i solidnie zbudowane, nie mogłem jednak w żaden sposób wydedukować, jakie było ich pierwotne przeznaczenie. Co stało się z resztą domu lub zamku, czymkolwiek była osobliwa budowla, jaka kiedyś wznosiła się w tym miejscu?

Oddaliłem się od ruin i podszedłem do skraju przepaści, zostawiając Tonnisona zajętego systematycznym przeszukiwaniem zwałów gruzu i kamieni. Dokładnie obejrzałem powierzchnię ziemi w pobliżu krawędzi otchłani ciekaw, czy nie znajdę jeszcze jakichś pozostałości budowli. Nie zauważyłem jednak żadnych śladów i zdziwiło mnie to niepomieranie.

Nagle usłyszałem nawoływania Tonnisona i nie zwlekając szybko pobiegłem po skalnym występie w stronę ruin. Najpierw przestraszyłem się, że może przyjacielowi coś się przydarzyło, ale potem uspokoilem się tłumacząc sobie, iż mógł dokonać jakiegoś odkrycia.

Dotarłem do rozpadającego się muru i przeszedłem na drugą stronę. Zobaczyłem Tonnisona pochylonego nad niewielką stertą gruzu. Ścierał kurz z czegoś, co przypominało książkę — mocno zniszczoną i prawie rozpadającą się — i niecierpliwie nawoływał, abym się zbliżył. Kiedy stanąłem obok, wręczył mi swą zdobycz i kazał ją schować głęboko do torby, aby ustrzec przed wilgocią. Zacząłem kartkować książkę czy raczej gruby zeszyt; jego strony wypełniało drobne staroświeckie pismo, całkiem czytelne z wyjątkiem jednej części, w której kilka wilgotnych i pomiętych stron zwinęło się, sprawiając wrażenie zupełnie zniszczonych. Tonnison wyjaśnił, że znalazł rękopis w takim właśnie stanie. Nieczytelne strony musiały ulec uszkodzeniu w trakcie jakichś robót murarskich, gdy zaprawa spadła na otwarty manuskrypt. Dziwne, że rękopis nie zbutwiał; musiał leżeć lata całe bezpiecznie przykryty gruzem.

Włożyłem zdobycz do torby i zaofiarowałem przyjacielowi pomoc w dalszym prowadzeniu wykopalisk, do których zabrał się z tak wielkim zapalem. Ponad godzinę pracowaliśmy w pocie czoła uważnie zaglądając pod sterty kamieni i rozmaitych śmieci, kiedy jednak znaleźliśmy tylko kawałki połamanego drewna, które mogło być częścią biurka lub stołu, zrezygnowaliśmy z dalszych poszukiwań. Opuściliśmy skaliste zbocze i z ulgą wróciliśmy na bezpieczniejsze niższe tereny.

Dokładnie obeszlśmy przerażający otwór przepaści. Jak mogliśmy się przekonać, miał kształt niemal doskonałego koła, którego symetrię psuła jedynie wyrastająca skała z ruinami domu.

Tonnison twierdził, że przepaść mogła być jakąś gigantyczną studnią czy też jamą, sięgającą do samego jądra ziemi.

Bacznie rozejrzeliśmy się po okolicy i zauważywszy wolną, odkrytą przestrzeń na północ od przepaści, skierowaliśmy się w tamtą stronę.

Po drodze, w odległości kilkuset kroków od otworu ogromnej jamy, minęliśmy wielkie nieruchome jezioro, nieruchome oprócz jednego miejsca, w którym woda nieprzerwanie bulgotała i burzyła się.

Nieustający szum wodospadu pozostał już daleko za nami i nareszcie mogliśmy się słyszeć bez konieczności podnoszenia głosu aż do krzyku. Zapytałem Tonnisona, jak mu się podoba to miejsce, bo mnie wcale i byłbym zachwycony, mogąc się stąd wydostać jak najszybciej.

Skinął głową na znak zgody i ukradkiem spojrział w stronę gęstwiny drzew za nami. Spytałem, czy coś zauważył albo usłyszał. Nie odpowiedział, stał, jak gdyby nasłuchiwał, więc i ja umilkłem.

— Słyszysz? — zapytał nagle. Spojrzałem na niego, zaskoczony, a potem przeniósłem wzrok na drzewa i krzaki, mimo woli wstrzymując oddech. Minuty mijały w napiętej ciszy, ale nie udało mi się wyłowić żadnego szmeru i już otworzyłem usta, żeby o tym powiedzieć przyjacielowi, kiedy nagle doszedł mnie dźwięk dziwnego żalosego zawodzenia. Nad drzewami unosił się przejmujący jęk, potem usłyszałem szelest liści i znowu zapadła cisza.

Tonnison szybko położył rękę na moim ramieniu i szepnął:

— Uciekajmy stąd jak najprędzej. — Zaczął przedzierać się w stronę miejsca, gdzie otaczające nas drzewa i krzaki wydawały się mniej gęste. Biegając za nim uświadomiłem sobie nagle, że słońce świeci nisko, a powietrze przesycone jest wilgocią.

Tonnison nie odezwał się już ani słowem, tylko uparcie parł przed siebie. Weszliśmy między drzewa, rozejrzałem się nerwowo, ale nic nie zauważyłem z wyjątkiem nieruchomych gałęzi, grubych pni oraz splecionych krzaków. Posuwaliśmy się naprzód i żaden dźwięk nie przerwał martwej ciszy nie licząc oczywiście trzasku gałęzi, po których deptaliśmy w czasie marszu.

A jednak przez cały czas prześladowało mnie straszne uczucie, że nie jesteśmy sami. Tak blisko starałem się trzymać przyjaciela, że dwukrotnie niezdarne nadepnałem mu na pięty, ale nic nie powiedział. Jeszcze parę minut i oto dotarliśmy do końca dziwnego ogrodu i weszliśmy na skalistą równinę. Skończyły się drzewa i wreszcie opuściło mnie uczucie grozy.

Kiedy bieглиśmy w stronę namiotu, znów usłyszeliśmy daleki głos jakby czyjegoś zawodzenia. Próbowałem wytłumaczyć sobie, że to wiatr, chociaż wieczór był bardzo spokojny i cichy.

Tonnison wyraźnie czuł potrzebę rozmowy.

— Wiesz — zaczął zdecydowanym głosem — za żadne skarby świata nie spędziłbym nocy w tamtym ogrodzie. Zupełnie jakbym się znalazł na dnie piekła. Czy nie wydało ci się, że wśród drzew czają się setki złych duchów?

— Masz rację — powiedziałem oglądając się za siebie, ale ogród skrył się już za niewielkim wzniesieniem.

— No, ale mamy przynajmniej rękopis — rzuciłem, wkładając rękę do torby.

— Chyba mu się nic nie stało? — zapytał Tonnison z nagłym niepokojem.

— Nie — uspokoiłem go.

— Może wreszcie dowiemy się czegoś — ciągnął. — Wracajmy szybko do namiotu. Musimy się pospieszyć, gdyż przed nami jeszcze długa droga, a nie mam jakoś ochoty, aby zaskoczyły nas tutaj ciemności.

Po dwóch godzinach szybkiego marszu dotarliśmy do namiotu i nie zwlekając zabraliśmy się do robienia kolacji, jako że nic nie mieliśmy w ustach od południa.

Po skończonym posiłku posprzątaaliśmy i obaj sięgnęliśmy po fajki. Tonnison poprosił, abym wyjął rękopis z torby, co też bezzwłocznie uczyniłem, a ponieważ nie mogliśmy jednocześnie czytać, zaproponowałem, abym ja czytał na głos.

— I pamiętaj — ostrzegął znając moje nawyki — nie wolno ci opuścić zadnej strony.

Gdyby wiedział, co zawiera manuskrypt, zrozumiałby, jak bezsensowna była jego rada, przynajmniej tym razem. Usadowiłem się więc w otworze małego namiotu i zacząłem czytać dziwną opowieść o *Domu na granicy światów* — taki był bowiem tytuł rękopisu — którą przytaczam poniżej.

ROZDZIAŁ II

Równina Ciszey

Jestem starym człowiekiem. Mieszkam tutaj w tym kilkusetletnim domu otoczonym wielkim, zaniedbanym ogrodem.

Wieśniacy zamieszkujący okoliczne pustkowia utrzymują, że jestem szalony. Myślą tak, bo nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Mieszkam sam ze starą siostrą, która jest jednocześnie moją gospodynią. Nie zatrudniamy służących — nienawidzę ich. Mam tylko jednego przyjaciela, psa, wolę starego Peppera od wszystkich stworzeń na świecie. On przynajmniej mnie rozumie i instynktownie czuje, że kiedy jestem w złym nastroju, trzeba mnie zostawić w spokoju.

Postanowiłem rozpocząć coś w rodzaju dziennika; w ten sposób uda mi się może zarejestrować pewne myśli i uczucia, których nie mogę przekazać nikomu, prócz tego chciałbym także dokonać zapisu różnych dziwnych rzeczy, jakich byłem świadkiem podczas wielu lat samotnego życia w tym niesamowitym starym domu.

Przez kilka stuleci dom ten miał złą reputację i ponad osiemdziesiąt lat, aż do chwili gdy go kupiłem, nikt w nim nie mieszkał, dlatego pewnie udało mi się go nabyć za śmiesznie niską cenę.

Nie należę do osób przesądnych, niemniej przestałem zaprzeczać, że różne wielce osobliwe rzeczy dzieją się w tym starym domu — rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić, muszę więc dać upust mym myślom i jak najszybciej opisać wszystko, co się stało, chociaż wiem, że jeżeli ten dziennik zostanie przeczytany kiedyś po mojej śmierci, Czytelnicy pokiwają jedynie głowami i jeszcze bardziej utwierdzą się w przekonaniu, że zwariowałem.

Jakże stary wydaje się ten dom! Sędziwy wiek murów mniej chyba jednak zadziwia niż niezwykłość jego architektury, ciekawej i jednocześnie fantastycznej. Wszędzie dominują niskie krzywe wieżyczki z pinaklami sugerującymi wystrzelające płomienie, a cała budowla jest w kształcie koła.

Słyszałem, że okoliczni wieśniacy opowiadają legendę o tym, jak diabeł wybudował to miejsce. Może to i prawda. Tak czy inaczej, krążące opowieści mogły się przyczynić do obniżki ceny przed moim tutaj przybyciem.

Minęło chyba dobrych dziesięć lat, zanim się przekonałem, że historie na temat domu nie są całkiem bezpodstawne. Faktem jest, że wiele razy byłem świadkiem zjawisk, które mnie zaskoczyły, chociaż były to raczej moje przecucia niż obserwacje. W miarę upływu lat, gdy starzałem się coraz bardziej, często miałem wrażenie, że czuję czyjąś niewidzialną obecność w pustych pokojach i korytarzach. A jednak, jak już wspomniałem, wiele lat upłynęło, zanim odkryłem prawdziwy dowód, który przekonał mnie o istnieniu zjawisk nie z tego świata.

Nie był to bynajmniej wieczór Halloween. Gdybym chciał opowiedzieć jakąś zabawną historię, wybrałbym pewnie tamtą noc jako tło wydarzeń. Ma to być jednak prawdziwy opis mych doświadczeń i z pewnością nie podjąłbym się tego trudu, tylko po to, by kogoś rozbawić.

Działo się to dwudziestego pierwszego stycznia tuż po północy. Siedziałem jak zwykle w gabinecie pochłonięty lekturą. Pepper spał obok mego fotela.

Nieoczekiwanie płomienie obu świec przygasły, a następnie zajaśniały upiornym zielonym blaskiem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że światło nabrało matowoczerwonego odcienia.

Dziwny, ciężki, purpurowy blask wypełniał pokój i pogłębiał czerń cieni krzeseł i stołów, a w miejscach, gdzie padło światło, wydawało się, że jasna krew rozlała się po pokoju.

Usłyszałem cichy przerażony skowyt i coś ciepłego przywarło do moich stóp. Był to Pepper wciskający się pod mój szlafrok, Pepper, zazwyczaj dzielny niczym lew!

Myślę, że takie właśnie zachowanie psa spowodowało pierwsze ukłucie strachu. Byłem już i tak dość wytrącony z równowagi, kiedy płomyki świec zamigotały najpierw zielonym, a potem czerwonym blaskiem, chociaż usiłowałem wytłumaczyć sobie te zmiany pojawieniem się w pokoju jakiegoś szkodliwego gazu. Wkrótce przekonałem się jednak, że żaden gaz nie zanieczyścił powietrza, świece paliły się stałym płomieniem i nic nie wskazywało, aby miały zgasnąć.

Zamarłem w bezruchu. Byłem przestraszony, ale nie przyszło mi na myśl nic innego, jak tylko czekać na rozwój wypadków. Chyba przez minutę rozglądałem się niespokojnie po pokoju. Zauważyłem, że płomienie świec bardzo powoli zaczęły się zmniejszać, aż w końcu stały się plamkami czerwonego ognia podobnymi do świecących w ciemnościach rubinów. Siedziałem nieruchomo, obserwując pokój, i nagle ogarnęło mnie bliżej niesprecyzowane uczucie sennej obojętności, która przezwy ciężyła w końcu paralizujący strach.

W odległym kącie ogromnego staroświeckiego pokoju ujrzałem nagle światelko. Stopniowo powiększało się i wypełniło wnętrze pokoju

jasnością migotliwego zielonego światła, które w pewnej chwili zgasło przechodząc — jak uprzednio się to stało z płomykami świec — w coraz bardziej intensywną purpurę. Pokój zaczął tonąć w powodzi osobliwego blasku.

Światło wciąż napływało z kąta pokoju i stawało się coraz mocniejsze, aż trudny do zniesienia blask przyprawił mnie o silny ból oczu i wbrew woli musiałem je zamknąć. Dopiero po upływie kilku sekund uniosłem powieki. Siła światła znacznie zmaląła i nie raziła już oczu. Ze wzrastającym zdziwieniem uświadomiłem sobie nagle, że jestem w stanie widzieć przez purpurę, a także i przez ścianę.

Stopniowo, w miarę oswojania się z nową sytuacją, zdałem sobie sprawę, że widzę szeroką równinę oświetloną tym samym upiornym blaskiem, który przedtem wypełniał cały pokój. Nie potrafię określić rozmiarów tej równiny. Nigdzie nie dostrzegłem jej granic. Wydawała się rozciągać bez końca. Stopniowo bliżej położone szczegóły zaczęły nabierać wyraźniejszych kształtów, kiedy nagle, dosłownie w ułamku sekundy, światło zgasło i cały obraz zbladł i zniknął.

W pewnej chwili zrozumiałem, że nie siedzę już w fotelu. Wyraźnie unosiłem się w powietrzu niczym bańka mydlana. Spojrzałem w dół i zobaczyłem jakiś niewyraźny, skulony nieruchomy przedmiot. Potem poczułem zimny powiew i zanurzyłem się w ciemności otaczające dom. Płynąc w powietrzu, czułem lodowate zimno przyprawiające mnie o dreszcze.

Po jakimś czasie rozejrzałem się dokoła, zewsząd otaczały mnie nieprzeniknione ciemności. Gdzieś daleko migotały niewyraźne punkciki ognia. Wciąż naprzód i naprzód. W pewnej chwili obejrzałem się za siebie i ujrzałem ziemię — mały, coraz bardziej oddalający się krążek niebieskiego światła. A dalej słońce, plama białego ognia jaskrawo błyszcząca na tle czarnego nieba.

Nie wiem, ile czasu mogło upłynąć. Po raz ostatni ujrzałem ziemię — kulkę jaśniejącego błękitu, która unosiła się w nieskończonościach eteru. A pośród tego wszystkiego ja, drobny punkcik, mała dusza bezszelstnie przemierzająca próżnię, od dalekiego błękitu w stronę bezmiaru nieznanego przestrzeni.

Upłynęła bardzo długa chwila i teraz nie widziałem nic. Dawno już minąłem nieruchome gwiazdy i wkroczyłem w rozpościerającą się za nimi wieczną noc. Przez cały czas czułem jedynie dziwną lekkość i przejmujący chłód. Przerażające ciemności stały się jednak męczące i w końcu ogarnęły mnie strach i rozpacz. Co się ze mną stanie? Dokąd tak zmierzam? Gdy tylko zdążyłem zadać sobie te pytania, na tle otaczającego mnie zewsząd mroku pojawiła się niewyraźna plamka barwy krwi. Była bardzo odległa, jakby osnuta mgłą, niemniej jej widok podniósł mnie nieco na duchu.

Stopniowo czerwony krążek stawał się coraz wyraźniejszy, a jego barwa bardziej intensywna, aż wreszcie oślepił mnie przejmujący wspólniały i posępny blask. Zbliżyłem się do rozciągającego się na wszystkie strony bezkresnego oceanu purpurowych chmur.

Zorientowałem się, że zaczynam spadać, i wkrótce wskoczyłem w majestatycznie przepływające czerwone chmury. Nagle purpurowe morze skończyło się i ujrzałem w dole dziwną równinę, którą już przedtem widziałem w pokoju domu stojącego na granicy światów.

Wylądowałem pośród niezmiernych obszarów pustkowia. Posępny półmrok pogłębiał ponure wrażenie martwoty.

Wysoko na niebie płonął gigantyczny pierścień przyćmionego czerwonego ognia, a wielkie, wijące się płomienie wystrzelały gwałtownie z jego krawędzi. Środek pierścienia był czarny, czarny niczym mrok otaczającej go nocy. Zrozumiałem, że widzę dziwne słońce, które oświetla płaskowyż swym posępnym blaskiem.

Z trudem oderwałem wzrok od tego osobliwego źródła światła i rozejrzałem się po okolicy. Wszędzie ta sama płaska monotonia niekończącej się równiny. Nigdzie żadnego śladu życia czy choćby dawnej ludzkiej działalności.

Nagle jakaś siła zaczęła pchać mnie do przodu i uniosłem się nad płaskim pustkowiem. Wydawało się, że podróż ta trwała całą wieczność. Nie byłem tym jednak zniecierpliwiony, czułem tylko coraz większe zdziwienie i ciekawość. Daleko w dole rozciągała się bezkresna równina; miałem nadzieję, że coś przerwie w końcu jej monotonię, ale powierzchnia nieruchomego pustkowia pozostawała niezmienna.

Nagle, jakby w półśnie, ujrzałem lekką różową mgiełkę unoszącą się nad horyzontem płaskowyżu. Kiedy jednak przyjrzałem się jej uważniej, zacząłem wątpić, czy rzeczywiście jest to mgła; zdawała się zlewać z równiną nadając jej dziwnie nierealny i tajemniczy wygląd.

Stopniowo monotonia okolicy poczęła mnie męczyć. Minęło dużo czasu, zanim wreszcie w dali zamajaczyła kraina, do której miałem przybyć.

Najpierw zobaczyłem na powierzchni równiny długi pagórek. Podpłynąłem bliżej i zrozumiałem, jak bardzo się myliłem — zamiast niskiego wzgórza oczom moim ukazał się widok łańcucha potężnych gór, których odległe szczyty wystrzelały w czerwony mrok ginąc w nim niemal zupełnie.

ROZDZIAŁ III

Dom na arenie

I tak po jakimś czasie zbliżyłem się do górskich zboczy i wtedy kierunek mej podróży zmienił się, zacząłem raptownie spadać i jakaś siła

wciągnęła mnie do szerokiego wąwozu w środku gór. Nie spiesząc się, unosiłem się ku nieznanemu. Po obu stronach wyrastały pionowo potężne strome ściany skał. Podniosłem wzrok i wśród niedostępnych szczytów zauważyłem cienkie pasmo czerwieni znaczące otwór przepaści. W głębi otchłani panował chłód i nieprzyjemna cisza. Nie przestałem płynąć, aż nagle ujrzałem przed sobą purpurowy blask i zrozumiałem, że zbliżam się do wylotu długiej jamy wśród skał.

Kiedy wydostałem się z ciemnego wąwozu, oczom moim ukazał się kolosalny amfiteatr gór. Szybko jednak zapomniałem o przerażających rozmiarach rozciągającego się przede mną placu, uwagę moją bowiem przykuł nieoczekiwany widok potężnej budowli, najwyraźniej z zielonych nefrytów, która wznosiła się w odległości kilku mil na samym środku areny wśród skał. Zdumienie moje wzrosło jeszcze bardziej, kiedy stwierdziłem, że samotna budowla oprócz koloru i ogromnych rozmiarów niczym się nie różni od domu, w którym mieszkam.

Przez kilka minut wpatrywałem się w nią zaskoczony i trudno było mi wprost uwierzyć, że wzrok mnie nie myli. W głowie bez ustanku kołatała myśl: Co to wszystko ma znaczyć? Co to wszystko ma znaczyć? — ale nawet rozbudzona wyobraźnia nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Teraz czułem już tylko strach i zdziwienie. Jeszcze chwilę wpatrywałem się w budowlę, wciąż odkrywając jakieś nowe, dobrze mi znane szczegóły. W końcu zmęczony i całkiem zdezorientowany zacząłem rozglądać się po okolicy.

Zajęty obserwacją domu, tylko pobieżnie rzuciłem przedtem okiem na sąsiadujące tereny. Teraz, po dokładniejszych oględzinach, zrozumiałem, jak bardzo dziwne miejsce przyszło mi odwiedzić. Arena — tak nazwałem wielki plac wśród gór — okazała się idealnym kołem o średnicy około dwunastu mil. Dom, jak wcześniej zaznaczyłem, stał na samym

środku. Na powierzchni placu i całej równiny unosiła się dziwna mgła, która w istocie nie była chyba mgłą.

Zacząłem dokładniej przyglądać się otaczającym mnie zboczom gór. Jakże wydawały się spokojne! Myślę, że właśnie ta panująca wokół złowroga cisza okazała się bardziej męcząca niż wszystko, co dotychczas widziałem. Patrzyłem na potężne turnie, majestatycznie wystrzelające w niebo. Tajemnicza czerwień zamazywała kształty szczytów.

I kiedy tak zafascynowany wpatrywałem się w góry, poczułem nagle, jak włosy jeżą mi się na głowie. Wśród majaczących z prawej strony szczytów zauważyłem bowiem czarną postać olbrzyma, który zdawał się wprost rosnąć w oczach, kiedy powoli opadał na plac. Zobaczyłem jego wielką oślą głowę o gigantycznych uszach. Nieruchoma postać sugerowała wieczne czuwanie — jak gdyby strzegła tego ponurego miejsca przez długie wieki. Obraz Potwora z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy, jednocześnie jakaś nowa zjawia zamajaczyła daleko między turniami. Spojrzałem w tę stronę przestraszony. Odniosłem wrażenie, że widzę coś dziwnie znajomego, w pośpiechu starałem się wydobyć z głębin podświadomości znany mi obraz. Postać, jaką ujrzałem, była czarna i miała cztery groteskowe ramiona. Nie można było dostrzec rysów jej twarzy. Zauważyłem wokół jej szyi liczne jasne przedmioty. Stopniowo szczegóły nabierały ostrości i ze zgrozą rozpoznałem w osobliwym nasyjniku... czaszki. Tors zjawy przewiązywał jasny pas, wyraźnie odznaczający się na tle czarnej masy. Zachodziłem w głowę, kim mogła być przerażająca postać, i nagle pamięć podsunęła odpowiedź. Ależ tak, bez wątpienia dane mi było oglądać monstrialny wizerunek Kali, hinduskiej bogini śmierci.

Odżyły dawne wspomnienia studenckich lat. Jeszcze raz spojrzałem

na potwora o ośle głowie. Rozpoznałem w nim zarówno starożytnego egipskiego boga Seta, jak i Setha, Niszczyciela Dusz. Wraz z nowym odkryciem nawiedziła mnie fala wątpliwości. Para bogów... — próbowałem spokojnie uporządkować myśli. Przez głowę zaczęły przewijać się obrazy stworów, jakich nie wymyśliłaby ludzka wyobraźnia. Wszystko było takie zagmatwane. Starożytni bogowie mitologii — usiłowałem zrozumieć, dlaczego właśnie oni. Oszołomiony przyglądałem się ciekawie obu zjawom. Jeśli...

Odróciłem się gwałtownie i spojrzałem na ponure turnie wznoszące się po lewej stronie. Jakaś szara postać majaczyła groźnie pod wielkim szczytem. Zastanowiłem się, czy nie widziałem jej już przedtem; ale nie, po raz pierwszy przyglądałem się przecież tej części krajobrazu. Wyrazny, bury kształt. Olbrzymia głowa... pusta twarz pozbawiona oczu.

Zauważyłem teraz inne dziwne zjawy wysoko w górach. Ze skalnej półki zwisało bezkształtne i odpychające galaretowate ciało, z którego środka wzyrało ohydne półzwierzęce oblicze. Z mroku wyłaniały się wciąż nowe postacie — całe ich tysiące. W wielu z nich bez trudu rozpoznawałem mitologicznych bogów, inne były całkiem nieznanne, przekraczające możliwości ludzkiego poznania.

Ze wszystkich stron napływało ich coraz więcej. W górach roilo się wprost od przerażających stworzeń: bogów-bestii i różnych strasydel tak plugawych i odrażających, że pióro wzdryga się przed ich opisaniem. Poczulem zwierzęcy strach i coraz większą odrazę, ciekawość była jednak silniejsza. Czyżby pogańskie religie kryły w sobie coś więcej od samej tylko czci ludzi, zwierząt i żywiołów?

Pytanie wracało natrętnie, zasiewając niepokój w mej duszy. Kim byli bogowie-bestie i wszystkie pozostałe zjawy? Najpierw myślałem, że są

wyrzeźbionymi wizerunkami potworów, chaotycznie umieszczonymi między niedostępnymi szczytami i przepaściami otaczających gór. Później jednak, kiedy przyjrzałem się im uważniej, zacząłem podejrzewać całkiem coś innego. Zauważyłem w dziwnych postaciach coś w rodzaju zastygłej żywotności, którą moje wyostrzone zmysły odbierały jako stan życia-w-śmierci, coś, co nie było życiem w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz raczej jakąś nieczłowieczą formą istnienia, którą można by porównać do letargicznego transu — stanu, który zakładamy, będzie trwał wiecznie. Nieśmiertelni — zrodziło się w mych myślach luźne skojarzenie — nieśmiertelni bogowie.

I kiedy tak dumiałem starając się rozwikłać męczące mnie wątpliwości, nastąpiła pewna zmiana. Do tej pory stałem ukryty w cieniu wyjścia z wąwozu. Nagle, wbrew woli, wypłynąłem z półmroku i bez pośpiechu zacząłem zbliżać się w stronę domu. Momentalnie przestałem rozmyślać o przedziwnych kształtach zamieszkujących góry i z obawą wbiłem wzrok w niesamowitą budowlę, w kierunku której popychała mnie jakaś nieznaną siłą. Przyjrzałem się domowi z wielką uwagą, ale nie odkryłem żadnego nieznanego mi szczegółu i stopniowo odzyskiwałem spokój.

W końcu dotarłem do miejsca znajdującego się mniej więcej w połowie drogi między domem a wąwozem. Wokół rozpościerało się posępne pustkowię i panowała niczym niezmacona cisza. Stopniowo zbliżałem się do wielkiego domostwa. Nagle coś przykuło moją uwagę, coś, co powoli wyłaniało się zza wysokiego wzgórza, na którym stał dom. Był to gigantyczny stwór, później zauważyłem jego dziwne susy — skakał niemal całkiem wyprostowany, tak jak chodzą ludzie. Był nagi i cała jego skóra promieniowała. Najbardziej jednak zainteresowała mnie i jednocześnie przeraziła jego twarz, twarz... świni.

Zachowując zimną krew uważnie śledziłem upiornego olbrzyma i przez chwilę zapomniałem o strachu, zafascynowany jego zachowaniem. Potwór biegał niezgrabnie wokół domu i zatrzymywał się przy każdym oknie, aby zajrzeć do środka i potrząsnąć kratami, które, tak jak i w moim domu, broniły wejścia; kiedy zbliżył się do drzwi, próbował je otworzyć, dotykając zasuw. Wyraźnie szukał sposobu wejścia do domu.

Byłem już w niedalekiej odległości od wielkiej budowli, a jakaś siła wciąż pchała mnie naprzód. Nagle zjawa odwróciła się i obrzuciła mnie mrozącym krew w żyłach spojrzeniem. Widziałem, jak otwiera usta i po raz pierwszy cisza górskiej kotliny została przerwana głębokim, przeraźliwym rykiem, który sprawił, że skóra ścierpła mi ze strachu. Nagle zdałem sobie sprawę, że postać prędko i cicho zaczyna zmierzać w moją stronę. W ciągu ułamka sekundy pokonała połowę dzielącej nas przestrzeni. Poczulem paraliżującą ruchy niemoc. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i zwierzęca dzikość ogromnego pyska nappełniła mnie uczuciem nieopisanego grozy. Już chciałem krzyknąć ze strachu, ale w chwili, kiedy zrezygnowany żegnałem się ze światem, uświadomiłem sobie, że patrzę na ziemię z góry, i coraz bardziej oddalam się od potwora. W ciągu minuty osiągnąłem dość znaczną wysokość. Na dole, w miejscu, które opuściłem, stał obrzydliwy stwór przypominający świnię. Opadł teraz na cztery nogi i rył ziemię jak najprawdziwszy wieprz. Nagle wyprostował się i wyciągnął łapy z wyrazem tak dzikiej pożądlivości, że aż zdrętwiałem ze zgrozy.

Na szczęście wciąż unosiłem się do góry. Po kilku minutach byłem już nad wierzchołkami szczytów, żeglowałem nad nimi samotnie, otoczony czerwonymi chmurami. Daleko w dole niewyraźnie majaczył wśród skał plac, a na nim ogromny dom, który wydawał się teraz małą zieloną kropką. Postać świni gdzieś znikła.

Najpierw szybowalem nad górami, a potem nad niezmierną przestrzenią równiny. W jakimś miejscu, na jej powierzchni, po tej samej stronie, co obręcz słońca, ukazała się zamazana plama. Spojrzałem na nią obojętnie. Powoli wyłaniał się znany obraz górskiego amfiteatru.

Zmęczony podróżą spojrzałem na wielką gorejącą obręcz słońca. Jakże była dziwna! Kiedy tak patrzyłem, z czarnego środka pierścienia wybuchnął nagle płomień nadzwyczaj jasnego ognia. Wydawał się oczywiście mały w porównaniu z rozmiarami czarnego koła, niemniej jego widok bardzo mnie zdziwił. Zaciekawiony obserwowałem go uważnie i zauważyłem w nim dziwne błyski i wrzenie. Potem w ułamku sekundy obraz zbladł, stał się zamazany, nierzeczywisty, aż w końcu się rozplynął. Oszołomiony, spojrzałem w dół na równinę, od której się wciąż oddalałem. I znów zdziwiłem się niepomniernie. Równina i góry zniknęły, a pode mną rozpościerał się bezmiar czerwonej mgły, który stopniowo oddalał się coraz bardziej, zlewając się z daleką tajemniczą czerwienią na tle niezgłębionej nocy. Jeszcze chwila i nawet czerwień się rozwiła i ze wszystkich stron otoczyły mnie nieprzeniknione ciemności.

ROZDZIAŁ IV

Ziemia

Trwałem w tym dziwnym stanie i tylko pamięć życia przed zapadnięciem ciemności pomogła mi zachować równowagę ducha. Upłynął długi okres czasu — chyba wieki całe. I nagle jakaś gwiazda rozbłysła w ciemnościach. Była pierwszą z luźnych cząstek wszechświata. Zdążyła się już

oddalić, a wokół mnie zaroilo się od niezliczonych, wspaniałych gwiazd. Minęły znów długie lata i oto ujrzałem słońce — gorącą bryłę ognia — a wokół niego kilka dalekich plamek światła, bez wątpienia planet Układu Słonecznego. I znów pokazała się ziemia, niebieska i niesamowicie małeńka. Stawała się coraz większa i wyraźniejsza.

I znów upłynęło wiele czasu, aż wreszcie wszedłem w cień świata i wskoczyłem w czarną i błogosławioną noc ziemi. Na niebie pojawiły się dawne konstelacje i półksiężyc. Kiedy zbliżyłem się do ziemi, ogarnął mnie półmrok i miałem wrażenie, iż tonę w czarnej mgle.

Na chwilę straciłem przytomność i nie wiedziałem, co się wokół dzieje. Potem usłyszałem słaby, daleki skowyt, który stawał się coraz wyraźniejszy. Nagle zabrakło powietrza i zacząłem się dusić. Rozpaczliwie walczyłem, żeby złapać oddech i daremnie próbowałem krzyczeć. Jeszcze chwila i wreszcie odetchnąłem swobodnie. Poczulem, że coś liże moją dłoń. Coś wilgotnego dotknęło mej twarzy. Usłyszałem sapanie, a potem znów skowyt. Wydawał się jednak dziwnie znajomy, więc otworzyłem oczy: wokół panowała noc, ale poczucie zagrożenia minęło. Siedziałem w fotelu i coś skomląc żałośnie lizało mi ręce. Ogarnął mnie dziwny niepokój i instynktownie usiłowałem odepchnąć liżącego intruza. Miałem jakąś pustkę w głowie i przez chwilę byłem jak sparaliżowany. Potem przypomniałem sobie wszystko i zawołałem cicho: „Pepper”. Odpowiedziało mi radosne szczekanie i gorące pieszczoty.

Kiedy poczułem, że wracają mi siły, zacząłem po omacku szukać zapalek. W końcu znalazłem pudełko, zapaliłem jedną i nerwowo rozejrzałem się dookoła. Otaczały mnie stare, dobrze znane przedmioty. Zaniemówiłem ze zdziwienia i zamarłem w bezruchu, aż płomień poparzył mi palce i musiałem rzucić zapalke na ziemię. Zakląłem z bólu i złości głosem, który mnie przeraził.

Po chwili sięgnąłem po następną zapalną i potykając się w ciemnym pokoju zacząłem szukać świecy. Zbliżywszy zapalną do knota odkryłem, że świeca zgasy nie wypaliwszy się do końca.

Gdy płomień strzelił w górę, rozejrzałem się po pokoju, ale nie uważałem nic nadzwyczajnego i poczułem, jak ogarnia mnie fala irytacji. Czy coś się w ogóle wydarzyło? Ukryłem twarz w dłoniach, usiłując sobie przypomnieć. Ależ tak! Wielka, nieruchoma równina i słońce — obręcz czerwonego ognia. Co się z nimi stało? Gdzie je widziałem? Jak dawno temu? Oszołomiony czułem zamęt w głowie. Zacząłem nerwowo przemierzać pokój. Stwierdziłem, że z moją pamięcią jest niedobrze, gdyż z trudem przypominam sobie niedawne zdarzenia.

Zdumiony zakląłem wulgarnie. Nagle zrobiło mi się słabo, poczułem zawrót głowy i musiałem chwycić za blat stołu, by nie upaść. Przez dłuższą chwilę stałem nieruchomo, a potem udało mi się jakoś dowlec do krzesła. Po pewnym czasie poczułem się trochę lepiej i zdołałem dojść do kredensu, gdzie zazwyczaj trzymam koniak i herbatniki. Nalałem sobie trochę trunku i szybko opróżniłem kieliszek. Wróciłem na fotel z pełną garścią herbatników i zacząłem łapczywie jeść. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jestem tak głodny. Zupełnie, jakbym od niepamiętnych czasów nic nie miał w ustach.

Jedząc rozglądałem się po pokoju; obserwowałem różne szczegóły, jakby mimowolnie szukając jakiegoś namacalnego śladu po niezbadanych tajemniczych zdarzeniach, w których niedawno uczestniczyłem. Bez wątpienia — myślałem — musi istnieć coś... — w tej samej chwili spojrzenie moje padło na tarczę zegara wiszącego w kącie naprzeciwko. Natychmiast zapomniałem o głodzie zdziwiony tym, co ujrzałem. Tykanie zegara wyraźnie świadczyło o działaniu mechanizmu, wskazówki

jednak pokazywały godzinę nieco przed północą, podczas gdy doskonale wiedziałem, że kiedy rozpoczęły się dziwne, wyżej opisane przeze mnie zdarzenia musiało być dokładnie po dwunastej.

Przez chwilę trwałem w stanie niemego osłupienia. Gdyby godzina wcale się nie zmieniła, znaczyłoby to, że wskazówki pozostały w tym samym miejscu, podczas gdy wewnętrzny mechanizm pracował jak zawsze. Jak jednak wytłumaczyć fakt cofnięcia się wskazówek? I kiedy bez końca biedziłem się nad rozwiązaniem zagadki zegara, olśniła mnie myśl: za chwilę rozpocznie się nowy dzień — dwudziesty drugi — musiałem więc zniknąć ze świata na prawie całą dobę. Rozważyłem tę możliwość przez co najmniej minutę, potem znów zabrałem się do jedzenia, wciąż czując silny głód.

Następnego ranka podczas śniadania zagadnąłem od niechcienia siostrę, jaki mamy dzień tygodnia, i przekonałem się o słuszności tych podejrzeń. Byłem więc nieobecny — przynajmniej duchowo — prawie całą dobę.

Siostra nie zadawała żadnych pytań, gdyż muszę przyznać, iż często się zdarza, że zajęty pracą lub lekturą zamykam się w gabinecie na cały dzień, a czasem nawet na kilka dni.

I tak płynie czas, a mnie nie przestaje męczyć ciekawość, co znaczący wydarzenia pamiętnej nocy. Ale podejrzewam, że chyba nigdy nie dowiem się prawdy.

ROZDZIAŁ V

Postać w wąwozie

Jak już wspomniałem, mój dom otaczają rozległe tereny i dziki, zaniedbany ogród. Za ogrodem, w odległości około trzystu jardów, leży

ciemny głęboki wąwóz, często nazywany przez okolicznych wieśniaków Piekłem. Na jego dnie płynie ospale, strumień, tak zasłonięty konarami drzew, że z góry prawie niewidoczny.

Muszę tu zaznaczyć, iż rzeczka ta ma swe źródło pod ziemią, wypływa nagle przy wschodnim końcu wąwozu, a potem nieoczekiwanie znika pod skałami, na jego zachodnim skraju.

Minęło kilka miesięcy od dnia, w którym odwiedziłem wielką równinę, kiedy znów miało miejsce niezwykle zdarzenie.

Spacerowałem właśnie wzdłuż południowej krawędzi Piekła, aż tu nagle kilka kamieni i odłamków żwiru oderwało się od skały pode mną i z groźnym hukiem spadło na drzewa. Usłyszałem plusk wody na dnie wąwozu, po czym nastąpiła cisza. Przeszedłbym obok tego zdarzenia całkiem obojętnie, gdyby nie Pepper, który zaczął zajadle szczekać i nie przestał nawet wtedy, gdy nakazałem mu spokój. Podobne nieposłuszeństwo zupełnie do niego nie pasowało.

Podejrzewając, że czeluści Piekła kryją jakąś tajemnicę, pospieszyłem do domu po gruby kij. Kiedy wróciłem, Pepper przestał już szczekać, ale warczał i niespokojnie węszył wzdłuż krawędzi otchłani. Gwizdnąwszy na psa, aby szedł za mną, zacząłem ostrożnie spuszczać się po ścianie wąwozu. Głębokość jamy wynosiła około stu pięćdziesięciu stóp i dotarcie do strumienia kosztowało nas wiele trudu i wymagało długiego czasu.

Na dole zaczęliśmy powoli posuwać się wzdłuż brzegu rzeki. Pod zwisającymi konarami drzew panowały nieprzeniknione ciemności. Poruszałem się ostrożnie, bacznie rozglądając się po okolicy, i cały czas trzymałem kij w pogotowiu.

Pepper zachowywał się teraz spokojnie i nie odstępował mnie ani na krok. Przeszukaliśmy dokładnie brzeg rzeki, ale nie odkryliśmy nic

podejrzanego. Potem przeszliśmy na drugą stronę — przeskoczywszy po prostu strumień — i zaczęliśmy wracać, torując sobie drogę przez gęstwinę krzaków.

Mniej więcej w połowie drogi do domu znów usłyszałem huk spadających kamieni dochodzący z miejsca, które niedawno opuściliśmy. Potężna skała zsunęła się po wierzchołkach drzew, odbiła się od przeciwnego brzegu i wpadła do rzeki opryskując nas wielkim słupem wody. Pepper zawarczał głośno, po czym umilkł i nastawił uszu. Zaczęłem również nasłuchiwać.

Chwilę potem dobiegł mnie przeraźliwy, na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy pisk. Rozległ się wśród drzew, gdzieś w połowie drogi od południowej skały. Odpowiedział mu podobny głos z dna Piekła. Słyszając to Pepper wydał krótkie, ostre szczeknięcie, przeskoczył rzeczkę i zniknął w krzakach.

Głośne ujadanie psa od czasu do czasu zagłuszał dziwny niespokojny jazgot. Po chwili hałas ustał i w ciszy, jaka zapadła, rozległ się niehumaniczny, straszliwy krzyk. Usłyszałem przeciągły skowyt Peppera, gałęzie poruszyły się gwałtownie i pies wybiegł z nisko opuszczonym ogonem, trwożnie oglądając się za siebie. Kiedy się zbliżył, zauważyłem w jego boku wielką ranę, z wyraźnymi śladami pazurów. W rozoranym ciele bieleły zębra.

Na widok tak okaleczonego psa ogarnęła mnie dzika wściekłość. Groźnie wywijając kijem wskoczyłem w krzaki, z których przed chwilą wyłonił się Pepper. Kiedy przedzierałem się przez gęstwinę, odniosłem wrażenie, iż słyszę czyjś oddech. Jeszcze chwila i znalazłem się na małej odkrytej polanie w momencie, gdy jakaś sinobiała postać zniknęła między krzewami po przeciwnej stronie. Krzycząc wniebogłose rzuciłem się w tamtym kierunku. Gorączkowo zacząłem przeczesywać gąszcz wałąc

kijem w gałęzie. Nic jednak nie znalazłem i wróciłem do Peppera. Przemylem wodą ranę psa i zrobiłem opatrunek ze zmoczonej chustki do nosa, po czym obaj wycofaliśmy się z mroku wąwozu na światło dzienne.

W domu zaniepokojona siostra wypytywała, co się stało Pepperowi. Wyjaśniłem, że stoczył walkę z jednym z dzikich kotów, o których mówiono, że całe ich stada żyją w okolicy.

Czułem, że lepiej zrobię ukrywając przed nią prawdę, tym bardziej iż sam właściwie jej nie znałem. Jednego byłem pewien: postać, która mignęła w krzakach, nie była dzikim kotem. Wydawała się znacznie od niego większa, a jej skóra, jak zdążyłem zauważyć, przypominała skórę wieprza o bladym, niezdrowym, trupim kolorze. Potwór biegł na tylnych nogach, wyprostowany tak, jak chodzą ludzie. Tyle zdążyłem zauważyć w ciągu krótkiej chwili i muszę przyznać, że kiedy zastanawiałem się nad całym zdarzeniem, oprócz uczucia rozbudzonej ciekawości ogarnął mnie wielki niepokój.

Opisany przeze mnie incydent miał miejsce rano.

Nieco później, po obiedzie, siedziałem zatopiony w lekturze. W pewnej chwili podniosłem wzrok i zobaczyłem, że coś zagląda przez okno — zdołałem dostrzec tylko oczy i uszy.

— Na Jowisza, toż to świnia! — krzyknąłem zrywając się na równe nogi. Znalazłem się teraz blisko okna i stwierdziłem, że nie była to świnia. Zresztą Bóg jeden wie, co to było. Przypominało ogromnego Potwora, który odwiedził wielką arenę wśród gór. Zaglądający do pokoju stwór miał groteskowe ludzkie usta i szczęki, nie zauważyłem jednak brody. Nos kończył się ryjem, który razem z małymi oczkami i dziwnymi uszami sprawiał, iż podobieństwo do świni było uderzające. Do tego niskie czoło i cała twarz trupiobladego koloru.

Przez chwilę stałem wpatrując się w tę postać, nie mogąc opanować uczucia odrazy i panicznego strachu. Potwór bezmyślnie poruszał wargami, a raz nawet chrząknął niczym prawdziwa świnia. Myślę, że najbardziej zafascynowały mnie jego oczy, z przerażeniem zauważyłem w nich przejaw ludzkiej inteligencji; wzrok potwora ślizgał się po pokoju i wyraźnie unikał mego spojrzenia.

Zjawa opierała się o parapet dwoma rękami w kształcie szponów, które w przeciwieństwie do twarzy, były brązowego gliniastego koloru i przypominały ręce człowieka, miały bowiem cztery palce i kciuk, połączone płetwą zupełnie jak u kaczek. Zauważyłem też paznokcie, długie i mocne, niczym pazury orła.

Jak już wcześniej zaznaczyłem, czułem dziwny strach z domieszką odrazy, jaka nas nawiedza w chwili zetknięcia się z czymś odpychająco plugawym, czymś szatańskim, należącym do nieznanego nam świata.

W ciągu krótkiej chwili nie sposób było zauważyć wszystkich szczegółów wyglądu stwora. Jego obraz, przechowywany w głębi pamięci, dopiero później wracał z całą wyrazistością.

Chyba przez chwilę wpatrywałem się w dziwną bestię. Wreszcie uspokoiłem się trochę, przewyciężyłem zwierzęcy strach i zbliżyłem się do okna. Na mój widok stwór cofnął się i zniknął. Podbiegłem do drzwi i szybko wyjrzałem na zewnątrz, ale zobaczyłem jedynie splątaną gęstwinię krzaków i drzew.

Wróciłem do pokoju, zabrałem strzelbę i poszedłem przeszukać ogród. A może niedawny gość był tym samym stworem, którego widziałem rano w zaroślach?

Miałem ochotę zabrać Peppera ze sobą, ale doszedłem do wniosku, że jego rana szybciej się zagoi, jeżeli nie będzie się ruszał. Poza tym, nie na wiele by mi się przydał, jeśli rzeczywiście postać za oknem była bestią, która go rano zaatakowała.

Zacząłem systematycznie przeszukiwać ogród. Za wszelką cenę pragnąłem rozwiązać zagadkę potwora przypominającego świnie. Pocieszałem się, że mam przynajmniej do czynienia z przeciwnikiem z krwi i kości.

Najpierw starannie przeszkąłem zarośla, cały czas zachowując czujność, pamiętałem bowiem, co niedawno spotkało Peppera. Jednak po kilku godzinach, kiedy nie zauważyłem w wielkim, pustym ogrodzie nic podejrzanego, stałem się mniej ostrożny. Czulem, że widok zjawy ucieszyłby mnie nawet. Wszystko było lepsze od ciszy i strachu na myśl, że potwór może się kryć w każdym z mijanych krzaków. Później całkiem zapomniałem o niebezpieczeństwie i przetrząsając kolbą strzelby gałęzie, coraz bardziej zagłębiałem się w zarośla.

Kilka razy krzyknąłem, ale odpowiedziało mi tylko echo. Czyżbym uderzył i przestraszył potwora, tak że boi się teraz pokazać? Jedynym rezultatem mych nawoływań było pojawienie się siostry Marii, zaniepokojonej dziwnym hałasem. Wyjaśniłem, że wypatrzyłem dzikiego kota, który pokaleczył Peppera, i usiłuję wypędzić go z ogrodu. Siostra zdawała się wątpić w prawdziwość mych słów i wróciła do domu z wyrazem niedowierzania na twarzy. Czyżby coś zauważyła? Dziwne, gdyby domyślała się prawdy. Przez resztę popołudnia kontynuowałem poszukiwania. Czulem, że nie zasnę, wiedząc, iż dziwny stwór grasuje po ogrodzie. Nadszedł jednak wieczór i nic nie znalazłem. Dopiero kiedy wracałem do domu, usłyszałem krótki, trudny do określenia odgłos wśród krzaków z prawej strony. Natychmiast zawróciłem, błyskawicznie złożyłem się do strzału i wypaliłem mierząc w miejsce, skąd dochodził hałas. Usłyszałem, jak coś ucieka w zarośla. Musiało biec dość szybko, bo już po chwili nastała cisza. Jeszcze kilka kroków i zrezygnowałem z dalszych poszukiwań zrozumiawszy ich bezcelowość wśród raptownie

zapadających ciemności. Zmęczony i przygnębiony wróciłem do domu.

W nocy, kiedy siostra poszła już spać, obszedłem wszystkie okna i drzwi na parterze, sprawdzając, czy są dobrze zamknięte. Nie musiałem martwić się o okna, gdyż te na niższym piętrze mają mocne kraty, co się jednak tyczy drzwi, których jest aż pięćcioro, postąpiłem bardzo roztropnie, ponieważ żadne z nich nie były zamknięte.

Sprawdziłem wszystkie zamki i wróciłem do gabinetu, gdzie po raz pierwszy poczułem się nieswojo; duży pokój rozbrzmiewał nieprzyjemnym echem. Przez chwilę usiłowałem czytać, a kiedy okazało się to niemożliwe, zszedłem z książką do kuchni i usiadłem przy kominku, na którym płonął wielki ogień.

Musiałem czytać dobrych kilka godzin, kiedy nagle usłyszałem dźwięk, który sprawił, że natychmiast odłożyłem książkę i cały zamieniłem się w słuch. Był to odgłos skrobania i majstrowania przy tylnych drzwiach. W pewnej chwili zawiasy skrzypnęły głośno, jak gdyby ktoś na nie silnie napierał. Przerazenie odjęło mi mowę, nie mogłem się poruszyć, ręce zaczęły dygotać, ciało pokrył zimny pot i trząsałem się cały jak w febrze.

Dopiero po dłuższej chwili uspokoiłem się nieco. Tajemnicze odgłosy za drzwiami ustały.

Przez następną godzinę siedziałem nieruchomo, nasłuchując. Nieoczekiwanie powrócił strach. Chociaż wokół panowała cisza, czułem się jak zwierzę obserwowane przez węża. Nie miałem wątpliwości, że jakieś tajemnicze prądy działają w pokoju.

Stopniowo udało mi się wyłowić ledwo słyszalny dźwięk, słaby pomruk, który stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu przeszedł w przytłumiony, niemniej potężny chór upiornych krzyków dochodzących z głębi ziemi.

Popadłem w stan odrętwienia, z którego wyrwał mnie nagły łoskot spadającej na podłogę książki. Potem siedziałem już tylko nieruchomo i tak zastał mnie świt, kiedy wślizgnął się do środka przez okratowane wysokie okna wielkiej kuchni.

Wraz z nastaniem dnia opuściło mnie uczucie strachu i odrętwienia. Powrócił dawny spokój.

Podniosłem książkę i nasłuchując zacząłem skradać się do drzwi. Żaden jednak dźwięk nie przerwał złowrogiej ciszy. Przez kilka minut stałem nieruchomo, a potem bardzo powoli i ostrożnie odsunąłem zasuwę i uchyliwszy drzwi wyjrzałem na zewnątrz.

Moja ostrożność okazała się zbyt duża. Ujrzałem bowiem tylko szarą masę ponurych splełanych krzewów i drzew.

Wzdrygnąłem się, zamknąłem drzwi i bezszelestnie wspiąłem się po schodach do sypialni.

ROZDZIAŁ VI

Świniostwory

Zdarzyło się to wieczorem, tydzień później. Siostra siedziała w ogrodzie i robiła na drutach, podczas gdy ja spacerowałem zatopiony w lekturze. Strzelba stała oparta o ścianę domu, bowiem od chwili pojawienia się dziwnej postaci w ogrodzie uznałem, że rozsądniej będzie zachować wszelkie środki ostrożności. Przez cały tydzień nie wydarzyło się nic szczególnego; żaden niezwykły dźwięk czy widok nie zaprzętnął mej uwagi, mogłem więc spokojnie rozmyślać o niedawnych wypadkach. Muszę przyznać, że ostatnie zajścia oprócz zdziwienia rozbudziły też we mnie wielką ciekawość.

Jak już wspomniałem, pochłonięty lekturą, spacerowałem tam i z powrotem, kiedy nagle usłyszałem jakiś hałas dochodzący z okolic Piekła.

Szybko odwróciłem się w stronę wąwozu i w zapadającym zmroku ujrzałem ogromny słup pyłu wznoszący się wysoko w niebo.

Siostra zerwała się na równe nogi z głośnym okrzykiem strachu i zdziwienia.

Poleciłem jej, aby nie ruszała się z miejsca, sam zaś wziąłem strzelbę i pobiegłem w kierunku Piekła. Zbliżywszy się do otchłani usłyszałem miarowy dudniący huk gwałtownie przechodzący w grzmot, przerywany głośniejszym łoskotem obsuwającej się ziemi, i z głębi wąwozu wydobył się nowy słup pyłu.

Dudnienie ucichło, ale gęsta zasłona wciąż unosiła się nad ziemią.

Zbliżyłem się do krawędzi przepaści i spojrzałem w dół, ale ujrzałem jedynie chmurę wirującego pyłu. Powietrze przepelnione było jego drobnymi cząsteczkami. Czułem, iż ślepnę i zaczynam dusić się od kaszlu. Musiałem cofnąć się, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Stopniowo pył zaczął opadać i gromadzić się nad otworem przepaści.

Mogłem się tylko domyślać, co się stało. Nie ulegało wątpliwości, że nastąpiło obsunięcie się ziemi, którego przyczyny nie mogłem pojąć; snułem na ten temat różne domysły. Przypomniałem sobie teraz spadające kamienie i dziwną postać na dnie Piekła, chociaż wciąż nie rozumiałem, co to wszystko ma znaczyć.

Powoli kurz osiadał, aż w końcu mogłem się zbliżyć do krawędzi i spojrzeć w dół.

Przez chwilę na próżno wyteżalem wzrok, starając się coś dojrzeć poprzez gęstą zaslonę pyłu. Mijały minuty, aż wreszcie zobaczyłem jakąś postać z lewej strony. Uważnie śledziłem jej ruchy i nagle tuż obok wyrosły dwie inne postacie. Widziałem trzy zamazane sylwetki jakichś stworów, które najwyraźniej wspinały się po ścianie Piekła! Kiedy oszołomiony nie mogłem od nich oderwać wzroku, usłyszałem gdzieś z

prawej strony odgłos spadających kamieni. Odwróciłem się w tamtym kierunku, ale nic nie mogłem zobaczyć. Pochyliłem się nad otworem, żeby zajrzeć do wnętrza przepaści i nagle tuż pod stopami, w odległości zaledwie kilku kroków mignęła ohydna biała twarz przypominająca pysk świni. Niżej zobaczyłem ich znacznie więcej. Stwór zauważył mnie i zapiszczał przeraźliwie, a wtedy usłyszałem tysiące podobnych pisków w różnych częściach Piekła. Cały ten zgiełk wywołał we mnie strach i uczucie grozy, pochyliłem się nad otworem i wystrzeliłem mierząc prosto w łeb potwora. Natychmiast zniknął i dobiegł mnie odgłos obsuwającej się ziemi i odłamków skał.

Nastąpiła chwila ciszy, której prawdopodobnie zawdzięczam życie, gdyż w czasie jej trwania usłyszałem szybki tupot licznych stóp i kiedy odwróciłem się, zobaczyłem całą grupę bestii biegnących wprost na mnie. Błyskawicznie uniosłem strzelbę i wypaliłem mierząc w najbliższego stwora, który zaczął spadać w czeluści Piekła z rozpaczliwym wyciem. Nie zwlekając zerwałem się do ucieczki. Mniej więcej w połowie drogi do domu spotkałem siostrę, która wyszła mi naprzeciw. W ciemnościach nie mogłem dojrzeć jej twarzy, niemniej kiedy pytała, dlaczego strzelałem, wyczułem strach w jej głosie.

— Uciekaj! — krzyknąłem w odpowiedzi. — Uciekaj, jeśli ci życie miłe!

Nie zwlekając schwyciła spódnicę w obie ręce i pognała w stronę domu. Poszedłem za jej przykładem. W pewnej chwili obejrzałem się za siebie. Potwory biegły wyprostowane, na tylnych nogach, od czasu do czasu opadając na wszystkie cztery łapy.

Myślę, że to strach w moim głosie zdopingował Marię do szaleńczego biegu, gdyż jestem pewien, że nie zdążyła zobaczyć ścigających nas diabelskich stworów.

Biegliśmy więc ile tchu w piersiach, pierwsza Maria.

Z każdą chwilą tupot stóp za nami wydawał się bliższy i bałem się, że potwory nas dogonią. Dobrze, że prowadzę raczej czynny tryb życia, chociaż wyścig zaczął mi się dawać już mocno we znaki.

Wreszcie ujrzałem przed sobą tylne drzwi domu — na szczęście otwarte. Biegłem teraz parę kroków za Marią i z trudem łapałem oddech. Nagle poczułem czyjś dotyk na ramieniu. Szybko odwróciłem się i zobaczyłem tuż za sobą jedną z upiornych białych twarzy. Któraś z bestii musiała wyprzedzić swych towarzyszy i prawie mnie dogoniła. Kiedy na nią spojrzałem, wyciągnęła łapę w moją stronę. Zebrałem resztki sił i skoczyłem w bok, uniosłem strzelbę i lufą wyrznąłem w głowę obrzydliwego potwora. Upadł wydając z siebie niemal ludzki jęk.

W ciągu tej krótkiej chwili mało brakowało, żeby dogoniła mnie reszta stworów, nie tracąc więc czasu pobiegłem w stronę drzwi.

Wpadłszy do sieni, błyskawicznie zatrzasnąłem i zaryglowałem drzwi w momencie, kiedy pierwsza bestia runęła na nie z całym impetem.

Siostra dysząc osunęła się na krzesło. Wydawała się bliska omdlenia, nie miałem jednak czasu, aby się nią zająć. Musiałem się upewnić, czy drzwi w całym domu są zamknięte. Na szczęście były. Na końcu sprawdziłem drzwi w moim gabinecie prowadzące do ogrodu. Ledwie zdążyłem się upewnić, że wszystko jest w porządku, usłyszałem dziwny hałas z zewnątrz. Cały zamieniłem się w słuch. Ależ tak! Wyraźny szept i odgłos skrobania. Oczywiście kilka stworów musiało szukać zamka wyposażonymi w szpony łapami.

Fakt, że bestie tak szybko znalazły drzwi, był dla mnie niezbitym dowodem ich wysoko rozwiniętej inteligencji. Byłem teraz pewien, że nie

mam do czynienia ze zwykłymi zwierzętami. Już przedtem, kiedy widziałem bestię zaglądnącą przez okno do pokoju, przysła mi do głowy podobna myśl. Przerazająca zjawą wydawała się przybyszem nie z tego świata i instynktownie przeczuwałem, że niewiele ma wspólnego ze zwykłym zwierzęciem. Kryła w sobie coś diabelskiego, będącego przeciwieństwem wszystkich pozytywnych cech w człowieku. Krótko mówiąc, widziałem stwora obdarzonego inteligencją, ale stwora, który nie był człowiekiem. Sama myśl o nocnym gościu napełniała mnie obrzydzeniem.

Przypomniałem sobie teraz siostrę, wyciągnąłem z kredensu butelkę koniaku oraz kieliszek i z zapaloną świecą w ręku zszedłem do kuchni. Maria już nie siedziała na krześle, tylko leżała na podłodze twarzą do ziemi.

Obróciłem ją delikatnie i uniosłem nieco jej głowę, próbując wlać w usta koniak. Po chwili poruszyła się nieznacznie, westchnęła kilka razy i otworzyła oczy. Spojrzała na mnie zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem. Powieki opadły jej powoli i wtedy wlałem w nią jeszcze trochę koniaku. Przez moment leżała spokojnie, oddychając głęboko. Potem znów otworzyła oczy i w jej rozszerzonych źrenicach wraz z powracającą świadomością pojawił się strach. Usiadła tak nieoczekiwanie, że zaskoczony, aż się cofnąłem. Widząc, iż siostra nie mogąc złapać równowagi lekko się chwieje, wyciągnąłem rękę, aby ją podtrzymać. Wydała przeźliwy okrzyk, zerwała się na równe nogi i uciekła.

Zdziwiony zastygłem na klęczkach z butelką koniaku w ręce. Czyżby Maria mnie się obawiała? Wprost nie do uwierzenia! Ale dlaczego? Jedynym racjonalnym wyjaśnieniem mógł być zły stan jej nerwów, który tłumaczył chwilowe załamanie. Usłyszałem głośne trzaśnięcie zamykanych na górze drzwi i zrozumiałem, że skryła się w swoim pokoju.

Szybko postawiłem butelkę na stole, gdyż całą moją uwagę przyciągnął hałas dobiegający zza drzwi. Zbliżyłem się do nich, starając się wyłować jakieś dźwięki. Futryny chwiały się w ścianie pod naporem atakujących bestii, na szczęście drzwi były zbyt solidne i wyważenie ich nie należało do łatwych zadań.

W głębi ogrodu panował nieopisany zgiełk. Przygodny słuchacz pomyślałby pewnie, że słyszy chrząkanie i kwik stada świń. Ale mnie nieprzerwany jazgot wydawał się po dłuższej chwili rodzajem rozmowy. Zauważyłem nawet zaskakujące podobieństwo do ludzkiej mowy — trochę nieporadnej i niewyraźnej, jak gdyby artykulacja każdego słowa wymagała dużego wysiłku, coraz bardziej utwierdzałem się jednak w przekonaniu, że nie jest to bezładna paplanina, ale szybka wymiana poglądów.

Mrok zapadł i ciemności zakradły się do wszystkich pomieszczeń. Zewsząd napływały jakieś szepty i jęki, którymi stare domy rozbrzmiewają po zapadnięciu nocy. Wszechobecna cisza potęguje wtedy każdy, najlżejszy nawet szmer. Być może też nagły spadek temperatury po zachodzie słońca ma wpływ na zmiany w strukturze budowli i dom kurczy się w ciągu nocy. Jakakolwiek była przyczyna dziwnych dźwięków, tamtego wieczoru wołałbym ich nie słyszeć. Każde skrzypnięcie desek, każdy najlżejszy szelest przywodził mi na myśl piekielne stwory grasujące po ciemnych korytarzach, chociaż w głębi duszy wiedziałem, że jest to niemożliwe, sam bowiem sprawdziłem zamki wszystkich drzwi.

W miarę upływu czasu rozlegające się wokół szmery coraz bardziej zaczęły działać mi na nerwy. Czulem, że muszę, choćby tylko w celu ukarania własnego tchórzostwa, jeszcze raz obejść piwnice i dzielnie stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. Dopiero wtedy będę mógł wrócić do swego pokoju, wiedziałem bowiem, że nie zasnę w domu

otoczonym przez bestie nie z tego świata.

Zdjąłem lampę naftową z haka na ścianie i rozpocząłem długą wędrówkę po piwnicach, przez kolejne pokoje, spiżarnię i komórkę na węgiel. Mijałem korytarze, niezliczone małe ślepe pomieszczenia i ukryte zakamarki tworzące podziemia starego domu. Dopiero kiedy miałem pewność, że sprawdziłem każdy kąt i szczelinę, wszystkie możliwe kryjówki i nigdzie nie znalazłem nic podejrzanego, skierowałem się w stronę schodów na górę.

Stawiałem właśnie stopę na pierwszym stopniu, kiedy odniosłem wrażenie, że coś rusza się w spiżarni po lewej stronie schodów. Było to jedno z pierwszych miejsc, jakie przeszukałem, a jednak nie ulegało wątpliwości, że słuch mnie nie myli. Nerwy miałem napięte do ostatecznych granic. Podniosłem wysoko lampę i pchnąłem drzwi. Pobieźny rzut oka przekonał mnie, że pomieszczenie jest całkiem puste, zauważyłem tylko ciężkie kamienne płyty podtrzymywane przez ceglane kolumny. Kiedy cofając się kierowałem się do wyjścia przekonany, że musiałem się pomylić, światło lampy padło na dwie jasne plamki za oknem gdzieś wysoko. Zastygłem utkwivszy w nich wzrok. Nagle plamki poruszyły się — obróciły powoli wysyłając kolejno zielone i czerwone błyski. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Domyśliłem się wtedy, że są to oczy.

Stopniowo wyśledziłem niewyraźny zarys sylwetki jednego ze stworów. Bestia trzymała się krat próbując wspiąć się na okno. Zbliżyłem się do niej i podniosłem lampę do góry. Nie miałem powodu do obaw, kraty były mocne i potwór wyraźnie nie mógł dać sobie z nimi rady. I nagle, pomimo pewności, że zwierz nie może mi nic zrobić, poczułem, jak ogarnia mnie paniczny strach, podobny do tego, który nawiedził mnie pamiętnej nocy w ubiegłym tygodniu. Ta sama świadomość bezradności,

obezwładniającej niemocy. Byłem jak zauroczony. Potwór patrzył mi w oczy nieruchomym, nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem. Chciałem odejść i nie mogłem. Widziałem teraz zarysy okna jak przez mgłę. Wydało mi się, że dostrzegam nową parę oczu, a potem jeszcze jedną; w żaden sposób nie mogłem oprzeć się zniewalającej sile galaktyki złośliwych, świdrujących ślepi.

Czułem, że kręci mi się w głowie i krew gwałtownie pulsuje w skroniach. Lewa dłoń piekła żywym ogniem. W końcu ból stał się nie do zniesienia i musiałem oderwać wzrok od okna. Spojrzałem na rękę i w tej samej chwili czar prysnął. Zrozumiałem, że w zdenerwowaniu nieświadomie chwyciłem za rozgrzany szklany klosz lampy i fatalnie poparzyłem sobie palce. Szybko zerknąłem w stronę okna. Postać stwora zniknęła i widziałem teraz całą masę zwierzęcych twarzy. W przystępie dzikiej furii uniosłem lampę i z impetem cisnąłem w okno. Przeleciała między kratami tłukąc szkło i wpadła do ogrodu rozlewając płonąca naftę. Usłyszałem przeraźliwe krzyki bólu i kiedy wzrok mój oswoił się z ciemnościami, zauważyłem, że potwory gdzieś znikły.

Opanowałem zdenerwowanie, poszukałem po omacku drzwi i zacząłem wspinać się po schodach, potykając się na każdym stopniu. Przed oczami widziałem gwiazdy jak po otrzymanym ciosie. Jednocześnie dokuczał mi ostry ból poparzonej ręki, a niepohamowana wściekłość nie dawała spokoju.

Wszedłem do gabinetu i zapaliłem świecę. Światło płomieni odbijało się od metalowych podpórek na strzelby przymocowanych do jednej ze ścian. Ten widok uzmysłowił mi, że mam przecież do dyspozycji broń, która już przedtem okazała się równie zgubna dla potworów co dla zwyczajnych zwierząt. Postanowiłem przystąpić do ofensywy.

Najpierw jednak zabandażowałem oparzoną rękę, gdyż ból stawał się nic do zniesienia. Opatrunek zmniejszył nieco cierpienie i podszedłem wtedy do kolekcji broni. Wybrałem dużą dubeltówkę — starą i wypróbowaną strzelbę, wziąłem cały zapas amunicji i wspiałem się na jedną z niskich wież, jakie otaczają dach domu.

Niestety, z wierzchołka wieży nic nie było widać. Ogród przedstawiał zamazaną plamę cieni — może trochę ciemniejszych w miejscu, gdzie stały drzewa. I nic więcej; wiedziałem, jak bezcelowe jest strzelanie w gęstniejącym mroku. Jedyne, co mogłem zrobić, to czekać na pojawienie się księżyca, którego światło umożliwiłoby przeprowadzenie niewielkiej egzekucji.

Siedziałem cicho, nasłuchując. Ogród wydawał się względnie spokojny, od czasu do czasu dochodziły tylko sporadyczne pochrząkiwania i kwiki. Nie podobała mi się ta cisza, zastanawiałem się, co też mogą knuć przewrotne stwory. Dwa razy schodziłem, żeby obejść cały dom, ale nigdzie nie zauważyłem żadnych zmian.

W pewnej chwili usłyszałem głośny huk od strony Piekła, jak gdyby obsuwały się nowe warstwy ziemi. Po tych odgłosach przez kilkanaście minut ogród rozbrzmiewał niespokojnym jazgotem, który jednak się skończył i z nów zapanowała cisza.

Minęła godzina i w końcu znad dalekiego horyzontu wypłynął jasny księżyc. Siedząc na wieży dojrzałem poprzez gałęzie jego srebrną tarczę, ale dopiero kiedy wzniosł się nad wierzchołki drzew, mogłem rozróżnić zarysy przedmiotów w ogrodzie. Wciąż jednak nie widziałem stworów, wychyliłem się jak mogłem najdalej i wreszcie ujrzałem całe ich mrowie. Leżały twarzą do ziemi tuż pod ścianą domu. Nie mogłem zrozumieć, co tam robią. Nadarzyła się jednak szansa, której nie wolno mi było zmarnować, szybko złożyłem się do strzału mierząc w najbliższą bestię. Usłyszałem przeraźliwy pisk i, kiedy dym opadł, ujrzałem zwierzę leżące na

plecach i wijące się z bólu. Potem nastąpiła cisza. Inne stwory zniknęły.

Zaraz potem rozległ się głośny kwik od strony Piekła. Odpowiedziały mu setki podobnych głosów w głębi ogrodu. Dało mi to pewne rozeznanie co do ilości stworów i odniosłem wrażenie, że niebezpieczeństwo jest znacznie większe, niż mi się na początku wydawało.

Kiedy siedziałem na wieży i w napięciu obserwowałem ogród, zaczęły mnie męczyć różne myśli. Co to wszystko znaczy? Kim są dziwne stworzy? Skąd przyszły? Przypomniał mi się widok Równiny Ciszy, chociaż wciąż podejrzewam, że był to chyba jakiś sen. Skąd się wzięła? Nie miałem pojęcia. A ohydna postać na arenie w środku gór? Wzdrygnąłem się na samą myśl o niej. Wreszcie obraz domu na placu wśród skał, domu, który tak bardzo w każdym szczególe budowy przypominał mój własny, iż jeden z nich mógłby być dokładną kopią drugiego. Jakoś nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy.

Moje rozmyślenia przerwał nagły przeciągły pisk od strony Piekła. Potem usłyszałem kilka krótszych krzyków. W jednej chwili ogród zatrzęsł się od wrzasku tysięcy gardzieli. Szybko wstałem i wychyliłem się przez okno. Światło księżyca padało na krzaki, które ruszały się i wyginały na wszystkie strony, zupełnie jak gdyby wiał silny, wciąż zmieniający kierunek wiatr. Z dołu dobiegał nieustanny szelest trawy i odgłos pędzących stóp. Kilka razy, w świetle księżyca, udało mi się wypatrzeć biegnącą jasną postać między drzewami i dwa razy strzeliłem w jej kierunku. Po drugim strzale usłyszałem krótki jęk bólu.

Chwilę potem w ogrodzie nastąpiła cisza. Tylko Piekło rozbrzmiewało głośnym, ochrypłym jazgotem świńskich kwików. Czasami czyjś wściekły pomruk zagłuszał inne głosy, a wtedy odpowiadały mu liczne pochrząkiwania. Odniosłem wrażenie, że stwory zorganizowały naradę,

być może w celu omówienia sposobów wejścia do domu. Wydawały się też mocno poirytowane, prawdopodobnie mymi celnymi strzałami.

Uznałem, iż nadeszła odpowiednia chwila, żeby dokonać ostatecznego przeglądu fortyfikacji. Zabrałem się do tego bezzwłocznie, raz jeszcze zaglądając do podziemi domu i sprawdzając wszystkie zasuwę i zamki. Na szczęście drzwi zbudowano z twardego dębu i wzmocniono żelaznymi sztabami. Na końcu wszedłem na parter, chcąc obejrzeć gabinet. Najbardziej niepokoiłem się o drzwi tego pokoju, wykonano je bowiem znacznie później z dużo gorszego materiału i chociaż wykończono je niezwykle starannie, nie były dostatecznie mocne.

Chciałbym dodać, że właśnie za tymi drzwiami rozciąga się mały trawnik — dlatego też okna mego gabinetu mają kraty. Inne wejścia do domu — z wyjątkiem nigdy nieotwieranej wielkiej bramy — mieszczą się na półpiętrze.

ROZDZIAŁ VII

Atak

Główną moją troską stało się zabezpieczenie drzwi gabinetu. Zszedłem do kuchni i z wielkim trudem wciągnąłem po schodach kilka ciężkich belek. Przystawiłem je ukośnie do drzwi i przybiłem gwoździami u góry i na dole. Pracowałem w pocie czoła przez pół godziny, ale pomimo zmęczenia byłem zadowolony z rezultatu mych wysiłków.

Widok wzmocnionych drzwi podniósł mnie na duchu i z zapalem wziąłem się do załatwienia kilku spraw przed powrotem na wieżę. Nagle usłyszałem szmer za drzwiami, jakby ktoś próbował podnieść zasuwę.

Wstrzymałem oddech i czekałem. Wkrótce doszły mnie głosy wielu stworów. Pochrząkiwały do siebie cicho. Potem przez chwilę panowała cisza. Wreszcie ostry niski kwik zagłuszył pozostałe szmery i drzwi skrzyknęły pod gwałtownym naporem. Jestem pewien, że nie wytrzymałyby siły ataku, gdyby niepodtrzymujące je belki. Nieoczekiwanie bestie zrezygnowały ze szturmu i zaczęły się naradzać.

Jeden z potworów zakwicział cicho, jakby zwoływał towarzyszy. Nastąpiła krótka wymiana pomruków, a potem znów cisza i zrozumiałem, że bestie organizują nowe posiłki. Przeczuwając, że za chwilę nastąpi główny atak, stałem czujnie z bronią gotową do strzału. Jeśli stwory wyważą drzwi, postaram się przynajmniej położyć ich trupem jak najwięcej.

Usłyszałem cichy sygnał, drzwi po raz wtóry zadrżały pod naporem wielkiej siły i trzeszczały przez dobrą minutę; zamarłem przygotowany, że za chwilę wpadną do środka z wielkim hukiem. Ale nie, belki trzymały się i wysiłek stworów okazał się bezowocny. Słyszać było przerażającą, pełną kwików rozmowę, którą przerwał tupot stóp nowych przybyszów.

Po długiej naradzie, podczas której drzwi kilka razy drżały w zawiasach, jeszcze raz zapadła cisza i domyśliłem się, iż bestie przystępują do trzeciej próby wtargnięcia do domu. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Wzmocniające drzwi belki zostały poważnie uszkodzone w trakcie dwóch poprzednich ataków i zacząłem się obawiać, że już długo nie wytrzymają.

I kiedy wszystko wskazywało na to, iż sytuacja jest beznadziejna, przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Wiedząc, że nie ma ani chwili do stracenia, wybiegłem z pokoju i popędziłem po schodach na górę. Tym razem nie wspiąłem się na żadną z wież, tylko wszedłem na płaski ołowiany dach, zbliżyłem się do wystającego gzymsu i spojrzałem w dół.

Właśnie wtedy usłyszałem krótki kwik będący sygnałem do natarcia, a po nim skrzyp atakowanych drzwi.

Bez chwili namysłu pochyliłem się, złożyłem szybko do strzału i wypaliłem. Głośny huk wystrzału złał się z gwizdem kuli. Na dole rozległo się rozpaczliwe wycie i nagle drzwi przestały trzeszczeć. Odsunąłem się od wystającej krawędzi dachu i właśnie wtedy wielki kawał gzymsu oderwał się spod mych stóp i z głuchym łoskotem spadł w sam środek rozproszonej grupy stworów. Ciszę nocną przerwały przeraźliwe wrzaski, a potem usłyszałem tupot wielu stóp. Ostrożnie rozejrzałem się dookoła. Księżyc wyraźnie oświetlał wielki kawał gzymsu leżący przed samym progiem drzwi. Wydało mi się, że coś wystaje spod kamienia... kilka białych ciał, ale nie byłem pewien.

Minęło kilka minut.

Nagle jakaś postać wynurzyła się zza węgła domu. Był to jeden ze stworów. Bezszelestnie podszedł do kamienia i pochylił się nad nim. Nie mogłem dojrzeć, co tam robił. Po chwili wyprostował się. Trzymał coś w szponach, podniósł to coś do ust i zaczął szarpać...

Nie byłem w stanie pojąć, co znaczy dziwne zachowanie stwora. Potem powoli zrozumiałem. Postać znów się pochyliła. Nie mogłem tego dłużej znieść. Błyskawicznie nabiłem strzelbę. Potwór obejmował teraz kamień usiłując go obrócić. Zacząłem celować w stronę głazu i pociągnąłem za cyngiel. Bestia padła na twarz rozpaczliwie kopiąc nogami ziemię.

Niemal jednocześnie z odgłosem wystrzału usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Naładowawszy broń szybko opuściłem dach i zbiegłem po schodach.

Zatrzymałem się na podeście, nasłuchując. Brzęk powtórzył się... jakby dochodził z niższego piętra. Zdenerwowany pokonywałem schody z nieopisaną szybkością, kierując się w stronę, skąd dochodził intrygujący hałas. Wreszcie znalazłem się przy drzwiach jednej z pustych sypialni

na tyłach domu. Wpadłem do środka. Pokój tonął w półmroku; światło księżycza zasłaniały poruszające się postacie za oknem. W pewnej chwili jeden ze stworów wlaźł do sypialni przez wybitą szybę. Uniosłem strzelbę i wypaliłem mierząc prosto w intruza — potężny huk głośnym echem rozszedł się po domu. Dym opadł i zobaczyłem, że pokój jest pusty, a za oknem nie ma nikogo. W sypialni było teraz znacznie więcej światła. Przez wybite szyby napływało zimne wilgotne powietrze. Z głębi nocy dochodziły ciche jęki i niespokojne pomruki.

Podszedłem do okna, naładowałem broń i czekałem. Słyszałem teraz odgłosy szamotaniny. Stałem w cieniu i mogłem obserwować ogród, sam pozostając niewidoczny.

Głosy zdawały się przybliżać i nagle ujrzałem bestię, która chwytając za ramę okienną wspinała się na parapet. Na tle jasnego drewna wyraźnie dostrzegłem dłoń i ramię. Jeszcze chwila i twarz świniostwora stała się całkiem widoczna. Zanim zdążyłem zrobić użytek ze strzelby czy też wykonać jakikolwiek ruch, usłyszałem głośny trzask i framuga okienna załamała się pod ciężarem intruza. Głuchy łomot i przeraźliwy krzyk obwieściły, że stwór wylądował na ziemi. Wyjrzałem przez okno, przepelniony głęboką nadzieją, iż spadając zabił się. Księżyc schował się właśnie za chmury i nic nie mogłem dojrzeć, chociaż nieprzerwany odgłos pokwikiwania na dole świadczył o obecności większej ilości bestii.

Stałem, patrzyłem na ogród i nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób udało się stworom wspiąć tak wysoko. Ściana domu jest w tym miejscu bardzo gładka, a odległość od ziemi musi wynosić co najmniej osiemdziesiąt stóp.

Wychyliłem się, jak mogłem najdalej, i rozejrzawszy wokół, zobaczyłem czarną linię niewyraźnie przecinającą szarą ścianę domu. Linia

mijała okno z lewej strony w odległości około dwóch stop. Była nią rynna, pamiętałem, że założono ją kilka lat temu. Jakoś zupełnie o niej zapomniałem. Teraz zrozumiałem, w jaki sposób potwory mogły wdrapać się na okno. W tej samej chwili usłyszałem cichy chrobot i szuranie nóg; wiedziałem, że kolejny stwór wspina się po rynnie. Odczekałem cierpliwie kilka sekund, wychyliłem się na zewnątrz i poszukałem ręką rynny. Z radością stwierdziłem, że nie jest przymocowana do muru, i bez trudu oderwałem ją od ściany, używając strzelby jako łomu. Pracowałem szybko. Złapałem rynnę w obie dłonie, szarpnąłem gwałtownie i spuściłem w dół razem, z obejmującym ją kurczowo stworem.

Przez kilka minut czekałem nasłuchując, ale po pierwszym chóralnym wrzasku, nie udało mi się wyłowić żadnego dźwięku. Wiedziałem, że nie muszę obawiać się dalszych ataków, przynajmniej w tej części domu, zniszczyłem bowiem jedyną drogę dostania się do okna. Na szczęście pozostałe okna domu nie sąsiadują z rynnami zachęcającymi do wspinaczki, wzrosły więc moje nadzieje, że uda mi się umknąć szponom bestii.

Zszedłem na dół do gabinetu. Chciałem się przekonać, jak dalece drzwi wytrzymały próbę ostatniego ataku. Zapaliłem dwie świece i w ich blasku zobaczyłem, że jedna z potężnych belek ustąpiła i w tym miejscu drzwi przesunęły się do środka o jakieś sześć cali.

To cud, że zdołałem przepędzić bestie dosłownie w ostatniej chwili. No i ten kawał gzymsu! Zastanawiałem się, w jaki sposób mógł spaść. Kiedy składałem się do strzału, nawet go nie zauważyłem, a potem, gdy wstawałem, nieoczekiwanie oderwał się spod mych stóp... Czulem, że wycofanie się stworów bardziej zawdzięczam głazowi niż strzelbie. Korzystając z chwilowego spokoju, postanowiłem raz jeszcze wzmocnić

drzwi. Co prawda, przerażone spadającym gzymsem bestie gdzieś zniknęły, mogły jednak wrócić w każdej chwili.

Nie zwlekając, energicznie zabrałem się do naprawy drzwi. Zacząłem od starannego przeszukiwania piwnic, gdzie znalazłem kilka ciężkich dębowych desek. Wtaszczyłem je do gabinetu i usunąwszy poprzednie belki oparłem deski o drzwi. Następnie przybiłem górne części desek do drzwi, a dolne do podłogi. W ten sposób wsparte na deskach drzwi stały się mocne, jak nigdy przedtem, i byłem przekonany, że wytrzymają ataki znacznie gwałtowniejsze od dotychczasowych.

Po skończonej pracy zapaliłem lampę, którą przyniosłem z kuchni, i zszedłem na dół, aby sprawdzić okna na półpiętrze.

Widok uszkodzeń świadczących o wielkiej sile stworów przeraził mnie i zacząłem bać się o okna na parterze, chociaż wiedziałem, że są porządnie okratowane.

Najpierw zszedłem do spiżarni, pamiętając o niedawnych w niej przeżyciach. Wewnątrz powiało chłodem, a wiatr, który wpadał do środka przez wybitą szybę, zawodził żałośnie. To samo, dobrze znane ponure pomieszczenie. Zbliżyłem się do okna i obejrzałem dokładnie kraty; były grube i solidne. Kiedy jednak przysunąłem do nich twarz, wydało mi się, że środkowy pręt jest lekko wygięty, była to jednak drobna zmiana, która mogła powstać wiele lat temu. Jakoś nigdy przedtem nie interesowałem się kratami mego domu.

Włożyłem rękę w otwór po wybitej szybie i usiłowałem potrząsnąć kratą. Nawet nie drgnęła. Być może stwory próbowały ją wyrwać, ale przekonawszy się, że przekracza to ich możliwości, zrezygnowały. Po kolei obchodziłem wszystkie okna i oglądałem je dokładnie, ale wyglądały jak zawsze. Wreszcie wróciłem do gabinetu i nalałem sobie kieliszek koniaku. Potem wspiąłem się na wieżę do mego punktu obserwacyjnego.

ROZDZIAŁ VIII

Po ataku

Zbliżała się trzecia rano i niebo na wschodzie zajaśniało nadchodzącym świtem. W świetle dnia przetrząsałem wzdłuż i wszerz cały ogród, ale nigdzie nie natknąłem się na obecność bestii. Pod ścianą domu znalazłem miejsce, gdzie powinien leżeć potwór zastrzelony przeze mnie minionej nocy. Ciało zniknęło. Podejrzewam, że inne stwory usunęły je pod osłoną ciemności.

Wspiąłem się na dach i podszedłem do wyrwy, jaka powstała po oderwaniu się gzymsu. Spojrzałem w dół. Kamień leżał w tym samym miejscu, gdzie go ostatni raz widziałem, ale nic spod niego nie wystawało. Nie mogłem też znaleźć bestii, która spadła na ziemię razem z rynną. Wszystkie ciała zniknęły. Wróciłem do gabinetu. Nieludzko zmęczony usiadłem ciężko w fotelu. Było już całkiem widno, chociaż słońce dopiero wschodziło. Zegar wybił godzinę czwartą...

Nagle ocknąłem się przerażony i nerwowo rozejrzałem się dookoła. Zegar w kącie pokoju wskazywał godzinę trzecią. Minęło więc południe. Musiałem spać prawie jedenaście godzin.

Zdenerwowany zacząłem nasłuchiwać. W domu panowała niczym niezmacona cisza. Powoli wstałem i ziewnąłem. Czułem się wciąż przeraźliwie zmęczony, więc opadłem z powrotem na fotel, zastanawiając się, co też mnie mogło obudzić.

Doszedłem do wniosku, że musiało to być bicie zegara. Uspokojony znów zapadłem w drzemkę, kiedy nieoczekiwany hałas jeszcze raz wyrwał mnie ze snu. Był to odgłos kroków, jak gdyby ktoś ostrożnie skradał się w stronę mego pokoju. Zerwałem się na równe nogi i chwyciłem strzelbę. Wstrzymując oddech, czekałem. Czyżby potwory wdarły się do

środka w czasie mego snu? Tymczasem kroki zbliżyły się, nastąpiła chwila ciszy, po czym usłyszałem, jak ktoś cicho oddała się. Podeszedłem na palcach do drzwi i wyjrzałem na korytarz. Na widok siostry, która akurat zbliżała się do schodów, doznałem uczucia ulgi skazańca, któremu odroczone egzekucję.

Wybiegłem na korytarz i już miałem zawołać Marię, kiedy zdziwiło mnie jej dziwne zachowanie. Dlaczego się skradała? Przez moment zacząłem nawet podejrzewać, że to nie siostra, ale jakaś nowa tajemnicza postać. Ale kiedy zobaczyłem jej starą spódnice, nie miałem już wątpliwości i prawie się roześmiałem. Tylko Maria ubierała się tak staromodnie. Zdziwiła mnie jednak jej obecność tutaj. Pamiętałem, jaki wpływ miały na nią przeżycia ubiegłego wieczoru, postanowiłem więc pójść za nią — uważając, aby jej nie przestraszyć — i przekonać się, jakie są jej zamiary. Jeśli w zachowaniu siostry nie zauważę nic podejrzanego, zostawię ją w spokoju, w przeciwnym razie będę musiał szybko interweniować, nie mogłem bowiem pozwolić na najmniejszą nieostrożność w obliczu niebezpieczeństwa, jakie nam groziło.

Zatrzymałem się przy schodach i nagle usłyszałem dźwięk, który sprawił, że jak szalony zacząłem pędzić po stopniach na dół — był to odgłos przesuwanych rygli. Moja głupia siostra najspokojniej otwierała drzwi do ogrodu!

Znalazłem się przy niej w chwili, kiedy manipulowała przy ostatniej zasuwie. Nie widziała, gdy się zbliżyłem, i nagle poczuła, że coś chwytła ją za ramię. Podniosła na mnie wzrok przerażonego zwierzęcia i głośno krzyknęła.

— Mario! — zacząłem stanowczym głosem. — Co to wszystko ma znaczyć? Czyżbyś nie rozumiała, jakie nam grozi niebezpieczeństwo? Nie chcesz chyba, abyśmy zginęli?

Milczała, ale widziałem, że popłakuje i cała drży ze strachu.

Przez dłuższą chwilę przekonywałem siostrę, że musimy być ostrożni, i pocieszałem ją, jak tylko umiałem. Tłumaczyłem, że nie ma się teraz czego obawiać — wiele bym dał, aby to była prawda — musi być rozsądna i nie powinna wychodzić z domu przez kilka dni.

W końcu zamilkłem zrezygnowany. Moje słowa nie odniosły żadnego skutku, miałem wrażenie, że Maria wcale mnie nie słucha. W końcu poradziłem jej, aby zamiast robić głupstwa, wróciła do swego pokoju.

Maria wciąż nie reagowała na moje słowa, bez dalszych więc ceregieli wziąłem ją na ręce i zaniosłem na górę. Zaczęła głośno krzyżeć, ale zanim doszedłem do schodów, umilkła i tylko trzęsła się ze strachu. W pokoju położyłem ją na łóżku. Leżała cicho, przestała szlochać i nie skarżyła się, ale całym jej ciałem, jak w gorączce, wstrząsały dreszcze. Chwyciłem narzutę ze stojącego obok fotela i przykryłem nią Marię. Nic więcej nie mogłem dla niej zrobić, podszedłem więc do Peppera, który leżał w wielkim koszu. Siostra zajmowała się nim od dnia wypadku. Często zmieniała opatrunki na jego pokaleczonym boku, gdyż rana okazała się znacznie poważniejsza, niż myślałem. Z radością stwierdziłem, że Maria pomimo przeżytego szoku opiekuje się starym psem niezwykle troskliwie. Pochyliwszy się nad Pepperem zawołałem go po imieniu, a on w odpowiedzi polizał mnie lekko w dłoń. Był zbyt słaby, aby się podnieść.

Wychodząc z pokoju zbliżyłem się do siostry i spytałem, jak się czuje, ale na mój widok znów zaczęła drżeć; moja obecność wyraźnie powiększała jej zdenerwowanie.

Postanowiłem nie zakłócać jej więcej spokoju, zamknąłem drzwi i ukryłem klucz w kieszeni. Nic innego, nie mogłem zrobić.

Resztę czasu spędziłem kursując między wieżą a gabinetem. Za całonocny posiłek służył mi przyniesiony ze spiżarni bochenek chleba i trochę czerwonego wina.

Cóż to był za długi i męczący dzień! Jakże marzyłem choćby o krótkim spacerze po ogrodzie — przymus przebywania w cichym domu, w którym jedynym towarzystwem była nienormalna kobieta i chory pies, mógł wyprowadzić z równowagi najbardziej wytrzymałego człowieka. Ale na zewnątrz wśród splątanych krzewów otaczających dom czekały — byłem tego pewien — bestie z piekła rodem, wypatrując nowej szansy wtargnięcia do domu. Czy ktoś znalazł się kiedyś w podobnych tarapatach?

Tamtego dnia dwukrotnie odwiedziłem siostrę w jej sypialni na górze. W czasie drugiej wizyty zastałem ją pochyloną nad Pepperem. Na mój widok skoczyła jak oparzona i skryła się w najdalszym kącie pokoju. Biedna kobieta! Jej strach smucił mnie i martwił; postanowiłem nie narzucać się bez potrzeby. Miałem nadzieję, że za kilka dni siostra poczuje się lepiej, do tego czasu nie należało jej niepokoić. Zdecydowałem zamykać jej pokój na klucz, chociaż Bóg mi świadkiem, ile mnie to kosztowało. Zauważyłem, że Maria zjadła trochę z tego, co jej uprzednio przyniosłem, i fakt ten bardzo mnie ucieszył.

I tak minął dzień.

Nadszedł wieczór, powietrze stało się wilgotne; zacząłem przygotowywać się do spędzenia kolejnej nocy na wieży. Tym razem zabrałem na górę dwie dodatkowe strzelby i gruby płaszcz. Nabiłem strzelby i położyłem je obok starej dubeltówki; obiecałem sobie, że jeśli zobaczę jakiegoś stwora, to go porządnie naszpikuję ołowiem. Miałem masę amunicji i chciałem dać bestiom taką nauczkę, aby zrozumiały, iż wszelkie próby wtargnięcia do domu są bezcelowe.

Jeszcze raz starannie obszedłem dom, ze szczególną uwagą przyjrzałem

się podporom wzmacniającym drzwi gabinetu i przekonawszy się, że nie zapomniałem o żadnym detalu, wróciłem na wieżę odwiedzając po drodze siostrę i Peppera. Pies spał mocno, ale na odgłos mych kroków obudził się i pomachał ogonem. Jego rana szybko się goiła. Siostra leżała w pościeli, chociaż nie wiem, czy spała. Na palcach wycofałem się z pokoju.

Wdrapawszy się na wieżę usadowiłem się w najwygodniejszym miejscu z zamiarem obserwowania okolicy przez całą noc. Zapadły ciemności i wkrótce zarysy ogrodu rozplynęły się w mroku. W ciągu pierwszych godzin czuwania starałem się wyłowić odgłosy świadczące o jakimś poruszeniu na dole. Noc była zbyt ciemna, abym mógł cokolwiek zobaczyć.

Godziny mijały powoli i nic niezwykłego się nie wydarzyło. Na niebie pojawił się księżyc i oświetlił ogród — pusty i cichy. Przez resztę nocy nie zauważyłem nic podejrzanego.

Nad ranem skostniałem z zimna po długim czuwaniu, coraz bardziej irytowała mnie też przedłużająca się cisza w ogrodzie. Nie ufałem stworom; marzyłem, aby otwarcie zaatakowały dom — wiedziałbym wtedy przynajmniej, co mi grozi, i mógłbym podjąć jakieś stanowcze kroki. Bezczynność stawała się męcząca, wyobrażenia wciąż podsuwała przerażające obrazy, aż bałem się, że zwariuję. Wreszcie zacząłem łudzić się nadzieją, że może potwory sobie poszły, ale tak naprawdę nie bardzo w to wierzyłem.

ROZDZIAŁ IX

Piwnice domu

W końcu zmarznięty, zmęczony i coraz bardziej podenerwowany postanowiłem zejść na dół i jeszcze raz sprawdzić wszystkie piętrowości.

Najpierw udałem się do gabinetu, gdzie nałapałem sobie dla rozgrzewki koniaku. Przy okazji dokładnie obejrzałem drzwi tego pokoju, jednakże nie zauważyłem żadnych zmian od ubiegłego wieczora.

Kiedy schodziłem z wieży, właśnie świtało, ale dom wciąż spowijały gęste ciemności, zabrałem więc z gabinetu świecę. Kończyłem sprawdzanie parteru, gdy blade promienie słońca zaczynały przeciskać się przez okratowane okna. Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Wszystko było w jak najlepszym porządku i już miałem zdmuchnąć płomień świecy, kiedy wpadłem na pomysł, żeby jeszcze raz obejrzeć wszystkie piwnice. Nie byłem w nich, o ile mnie pamięć nie myli, od czasu gdy bestie po raz pierwszy zaatakowały dom.

Dziwne, że przez chwilę zawahałem się. Oczywiście każdy na moim miejscu chciałby przeszukać stare lochy, bowiem ze wszystkich wielkich i zadziwiających pomieszczeń domu, piwnice są najprzestronniejsze i najbardziej tajemnicze. Ogromne, mroczne pieczary, do których nigdy nie docierał promień światła. Wiedziałem, że muszę do nich zajrzeć, w przeciwnym razie będę zwyczajnym tchórzem. Pocieszałem się, iż piwnice są ostatnim miejscem, gdzie mógłbym być narażony na niebezpieczeństwo, gdyż dostać się do nich można tylko przez ciężkie dębowe drzwi, do których klucz zawsze noszę w kieszeni.

W najmniejszej piwnicy, na końcu schodów w ciemnym pomieszczeniu trzymam wina i rzadko kiedy zagłębiam się dalej. Muszę przyznać, że nigdy przedtem nie obszedłem wszystkich piwnic, nie licząc oczywiście ostatnich odwiedzin, o których już wspomniałem.

Otworzyłem wielkie drzwi nad schodami i w tej samej chwili raptownie cofnąłem się czując dziwny zapach stęchlizny. Ze strzelbą wysuniętą do przodu zacząłem powoli schodzić po zmurzałych stopniach,

coraz bardziej zagłębiając się w mrok podziemnych regionów.

Wreszcie schody skończyły się i przez moment stałem nasłuchując. Wokół panowała cisza przerywana jedynie dalekim kapaniem wody, której krople wyraźnie spadały gdzieś z lewej strony. Zauważyłem, że płomień świecy pali się spokojnie i miarowo, co świadczyło o całkowitym braku jakiegokolwiek ruchu powietrza.

Systematycznie zacząłem oglądać piwnice. Nie mogłem sobie przypomnieć, jaki jest ich rozkład. Ostatnia wizyta w podziemnych pieczarach pozostawiła jedynie mgliste wspomnienia. Zapamiętałem labirynt przestronnych pomieszczeń a także jedną piwnicę większą od innych, ze sklepieniem wspartym na kolumnach, poza tym utkwiło mi w pamięci wrażenie chłodu, mroku i cienia. Tym razem jednak pomimo wewnętrznego niepokoju byłem wystarczająco opanowany, aby podczas obchodu zwrócić uwagę na strukturę i rozmiary kolejnych lochów.

Słaby płomień uniemożliwiał wychwycenie wszystkich szczegółów budowy pomieszczeń, niemniej zdążyłem zauważyć, iż ściany wykończono z zadziwiającą wręcz precyzją i artyzmem. Tu i ówdzie wyrastała pojedyncza masywna kolumna, podtrzymując niskie sklepienie kolejnego lochu.

W końcu wszedłem do znanej mi ogromnej piwnicy. Prowadzi do niej łukowate wejście z dziwnymi fantastycznymi ornamentami rzucającymi w blasku świecy tajemnicze cienie. Kiedy zamyślony stałem podziwiając niezwykłą architekturę podziemnej pieczary, zastanowiło mnie, dlaczego tak mało znam własny dom. Nie ma w tym, jednak nic dziwnego, jeśli się weźmie pod uwagę olbrzymie rozmiary wiekowej budowli oraz fakt, że mieszkam w niej sam ze starą siostrą w kilku wybranych przez nas pokojach.

Podniosłem świecę wysoko i wszedłem do przestronnej piwnicy. Staralem się posuwać wzdłuż prawej ściany i powoli dotarłem do samego jej końca. Poruszałem się cicho, cały czas uważnie rozglądając się dookoła. Nie zauważyłem jednak nic podejrzanego.

Kiedy trafiłem na koniec ściany, skręciłem w lewo i znów trzymałem się blisko muru. W ten sposób obszedłem dookoła szeroką komnatę. Zauważyłem, że podłogę lochu stanowi twarda skała, tu i ówdzie pokryta wilgotną pleśnią, miejscami zaś naga lub niknąca pod cienką powłoką kurzu.

Zatrzymałem się dopiero przy drzwiach, następnie zawróciłem i poszedłem w stronę środka lochu. Mijałem kolumny, uważnie rozglądając się na wszystkie strony. Mniej więcej w połowie drogi uderzyłem stopą o jakiś przedmiot, który wydał metaliczny dźwięk. Natychmiast pochyliłem się i w blasku świecy ujrzałem szeroką metalową obręcz. Nie zwlekając usunąłem z niej kurz i przekonałem się, że jest to uchwyt ciężkiej, czarnej od starości kłapy.

Ogarnęło mnie nagle podniecenie, za wszelką cenę chciałem zobaczyć, dokąd prowadzi osobliwa kłapa. Położyłem strzelbę na ziemi i wetknąwszy świecę w bezpiecznik cyngla chwyciłem obręcz obiema rękami i ze wszystkich sił pociągnąłem. Usłyszałem przeraźliwy skrzyp — który rozszedł się doniosłym echem po wielkim lochu, i kłapa powoli się uchyliła.

Oparłem dębową krawędź o kolano, sięgnąłem po świecę i zbliżywszy płomień do otworu zacząłem zataczać świecą koła, ale nic nie zobaczyłem. Zdziwiło mnie to i jednocześnie zastanowiło. Żadnych schodów, żadnego choćby śladu po nich. Tylko ciemna jama. Zupełnie jakbym patrzył w studnię bez dna. Kiedy oszołomiony, na próżno wbijałem wzrok w tajemnicze ciemności, wydawało mi się, że słyszę gdzieś w dole, na końcu nieodgadnionych czeluści cichy dźwięk. Szybko zbliżyłem głowę do otworu, wyteżając słuch. Co prawda mogło to być przywidzenie,

niemniej przysiągłbym, że słyszę daleki chichot przechodzący we wstrętny złośliwy śmiech, słaby i niewyraźny. Przestraszony cofnąłem się gwałtownie pozwalając klapie opaść z głuchym; trzaskiem i na krótką chwilę piwnica znów rozbrzmiała głośnymi echami. Wciąż jeszcze miałem w uszach szyderyczy natrętny chichot, chociaż podejrzewałem, iż jest to raczej wytwór mojej chorej wyobraźni. Dochodzący z głębi czeluści śmiech był bowiem zbyt słaby, żeby go można było usłyszeć przez grubą klapę.

Przez chwilę stałem roztrzęsiony, rozglądając się nerwowo dookoła, ale w wielkiej piwnicy było cicho jak w grobie. Powoli zacząłem odzyskiwać spokój. Wróciła ciekawość, a z nią pragnienie sprawdzenia, dokąd prowadzi otwór pod klapą, zabrakło mi jednak odwagi, żeby podjąć dalsze poszukiwania. Wiedziałem, iż klapa powinna zostać zabezpieczona. Przykryłem ją kilkoma wielkimi kamieniami, które przedtem zauważyłem idąc wzdłuż wschodniej ściany.

Zajrzałem jeszcze do pozostałych piwnic, znalazłem drogę prowadzącą do schodów i wreszcie wydostałem się na światło dzienne przepelniony nieopisanym uczuciem ulgi na myśl, że nieprzyjemna inspekcja została zakończona.

ROZDZIAŁ X

Czas oczekiwania

Słońce świeciło teraz mocno i gorące promienie tworzyły cudowny kontrast z ciemnym i ponurym wnętrzem piwnic. Było mi jakoś lżej na duchu, kiedy wspinałem się na wieżę, żeby rzucić okiem na ogród. Na dole panował spokój i po kilku minutach zszedłem do pokoju Marii.

Zapukałem do drzwi i usłyszawszy odpowiedź przekręciłem klucz w zamku. Siostra siedziała nieruchomo na łóżku, jak gdyby na coś czekała. Przypominała dawną Marię, nie próbowała uciekać na mój widok, chociaż zauważyłem, że niespokojnie przygląda się mej twarzy, jakby chciała samą siebie przekonać, że nie ma powodu do obaw.

Na pytanie, jak się czuje, odpowiedziała dość reżolutnie, że jest głodna i jeśli się zgodzę, pragnie zejść do kuchni i przygotować śniadanie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy bezpiecznie będzie wypuścić ją na wolność. W końcu przystałem na jej prośbę pod warunkiem, że obieca nie podejmować próby uciezki i będzie się trzymała jak najdalej od drzwi do ogrodu. Sam dźwięk słowa drzwi wywołał przerażenie na jej twarzy; ale szybko opanowała się, obiecując dostosować się do mych życzeń, po czym cicho wyszła.

Zbliżyłem się do kąta, w którym leżał Pepper. Kiedy otwierałem drzwi, pies obudził się, ale poza cichym radosnym szczeknięciem i ledwo widocznymi ruchami ogona pozostał apatyczny. Zacząłem go głaskać, raptem zebrał wszystkie siły i wstał, zaraz jednak upadł na bok z cichym skowytem.

Nakazałem Pepperowi, aby leżał spokojnie. Byłem zachwycony znaczną poprawą stanu jego zdrowia i wzruszony dobrocią siostry, która pomimo załamania nerwowego tak troskliwie opiekowała się chorym zwierzęciem. Po chwili zostawiłem psa i szedłem na dół do gabinetu.

Wkrótce pojawiła się Maria niosąc tacę, na której dymiło gorące śniadanie. Wchodząc do pokoju zauważyła podpory przy drzwiach i na ich widok zagryzła wargi; odniosłem też wrażenie, że lekko zbladła, ale nic nie powiedziała. Postawiła tacę przede mną i już kierowała się do wyjścia, kiedy poprosiłem, aby została. Zbliżyła się trochę nieśmiało,

jakby przestraszona, i zauważyłem, że jej palce nerwowo ściskają brzeg fartucha.

— Uspokój się, Mario — powiedziałem. — Głowa do góry! Sprawy wyglądają znacznie lepiej. Nie widziałem stworów od wczorajszego ranka.

Rzuciła w moją stronę zdziwione spojrzenie, jak gdyby nie wiedziała, o czym mówię. Potem w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia i strach, ale nie zrobiła żadnej uwagi, tylko mruknęła coś pod nosem. Umilkłem bojąc się, że jakakolwiek wzmianka na temat stworów pogorszy jeszcze zły stan jej nerwów.

Po śniadaniu wróciłem na wieżę. Przez większą część dnia prowadziłem z jej wierzchołka dokładne obserwacje ogrodu. Kilkakrotnie schodziłem na dół, aby zobaczyć, jak czuje się Maria. Była spokojna i dziwnie potulna. Podczas drugiej wizyty odważyła się nawet sama wszcząć rozmowę, mówiąc o jakiejś domowej sprawie, którą należało się zająć. Jej słowa, chociaż wciąż nieśmiałe, powitałem z prawdziwą radością, odezwała się bowiem po raz pierwszy od dnia, kiedy przyłapałem ją, gdy odryglowywała drzwi, usiłując uciec do ogrodu między czekające tam potwory. Byłem ciekawy, czy Maria pamięta, co wtedy robiła, i czy wie, jak bardzo zagrożone było wówczas jej życie, powstrzymałem się jednak od wszelkich pytań, postanawiając nie nękać jej więcej.

Tego wieczoru po raz pierwszy od dwóch nocy poszedłem spać do łóżka. Rano wstałem wcześniej i dokładnie sprawdziłem cały dom. Wszystko zastałem w jak najlepszym porządku, wróciłem więc na wieżę, aby rzucić okiem na ogród. Wciąż żadnego szmeru czy poruszenia.

Przy śniadaniu z przyjemnością zauważyłem, że Maria jest całkiem opanowana, zachowywała się naturalnie, rozmawiała spokojnie i rzeczowo, starając się jednak nie wspominać wydarzeń ostatnich dni.

Pomagałem jej w tym jak umiałem, starannie unikając drażliwych tematów.

Wczesnym rankiem poszedłem zobaczyć Peppera. Wyraźnie wracał do zdrowia i wszystko wskazywało, że lada dzień zacznie chodzić o własnych siłach. Wstając od stołu napomknąłem o szybko gojącej się ranie psa. Wywiązała się krótka rozmowa i ze zdziwieniem odkryłem, że siostra nadal tkwi w błędzie, iż Pepper padł ofiarą ataku ze strony wymyślonego przeze mnie dzikiego kota. Wstydiłem się tego małego oszustwa. Moje kłamstwo miało jednak na celu uchronić Marię przed strachem. Myślałem, że później, kiedy stwory zaatakowały dom, odkryła całą prawdę.

Cały dzień wypatrywałem bestii, jak zwykle większość czasu spędzając na wieży, ale nie zauważyłem żadnego śladu świniostworów. Nie usłyszałem też nic szczególnego. Już przedtem podejrzewałem, że bestie opuściły ogród, ale aż do tej pory bałem się w to uwierzyć, teraz jednak uznałem, iż mam prawo żywić taką nadzieję. Już od trzech dni nie widziałem żadnego stwora, postanowiłem jednak nie zmniejszać środków ostrożności; mogło się bowiem okazać, że przedłużająca się cisza jest pułapką, mającą zmusić mnie do wyjścia z domu prosto w objęcia bestii. Myśl o takiej ewentualności nakazywała zdwojoną czujność.

Minął spokojnie czwarty, piąty i szósty dzień, a ja wciąż nie opuściłem domu.

Szóstego dnia znów odwiedziłem Peppera i tym razem z prawdziwą przyjemnością stwierdziłem, że pies stoi o własnych siłach; chociaż był jeszcze bardzo słaby, towarzyszył mi dzielnie przez cały dzień.

ROZDZIAŁ XI

Poszukiwania w ogrodzie

Czas płynął wolno i ogród wciąż wydawał się pusty.

W końcu dziewiątego dnia postanowiłem zaryzykować — jeśli można było jeszcze mówić o ryzyku — i wymknąć się z domu. Z tą też myślą nabiłem starannie dubeltówkę, którą wybrałem spośród innych strzelb jako bardziej skuteczną przy strzałach z małej odległości. Po raz ostatni rzuciłem okiem z wieży na okolicę i przywoławszy Peppera zbiegłem na dół.

Muszę się przyznać, że zanim otworzyłem drzwi do ogrodu, przeżyłem chwilę rozterki. Myśl o tym, co może mnie spotkać wśród ciemnych krzaków, nie zachęcała jakoś do wyjścia z domu. Moment wahania nie trwał jednak długo, zdecydowanie odsunąłem zasuwę i wyszedłem na ścieżkę przed drzwiami.

Pepper podązał za mną. Nagle stanął i podejrzliwie obwąchał próg, wodził też nosem po framugach, jakby wyczuł jakiś zapach. Potem zaczął oddalać się od domu zataczając półkola wokół drzwi, aż w końcu znów zatrzymał się przy progu i jeszcze raz go obwąchał.

Stałem obserwując psa, jednocześnie kątem oka bacznie śledziłem dziki gąszcz ogrodu otaczającego dom. Następnie zbliżyłem się do Peppera i nachyliwszy się obejrzałem powierzchnię drzwi, którą obwąchiwał. Deski we wszystkich miejscach poprzecinane były głębokimi rysami tworzącymi beładną pogmatwaną sieć. Co więcej, na framugach zauważyłem wyraźne ślady zębów. Nic nowego nie udało mi się wypatrzyć, ruszyłem więc dalej wzdłuż ściany domu.

Widząc, że się oddalam, Pepper natychmiast przestał się interesować drzwiami i pobiegł przodem, cały czas węsząc i tropiąc. Chwilami przystawał, żeby obwąchać wszystko, co go ciekawiło. Raz była to dziura po kuli na ścieżce, kiedy indziej opalony prochem gałgan, to znów kawałek

porwanej darni lub jakieś zielsko. Poza tym nic jednak nie znalazł. Nie spuszczałem psa z oka, ale nie zauważyłem nic niepokojącego w jego zachowaniu, nic, co by wskazywało, że poczuł bliskość stworów, miałem więc coraz większą pewność, że ogród jest pusty, przynajmniej w chwili obecnej. Niełatwo było oszukać Peppera, wiedziałem, że potrafi wyczuć niebezpieczeństwo i zawsze zdoła ostrzec mnie na czas.

Podszedłem do miejsca, gdzie zastrzeliłem pierwszego stwora, obejrzałem dokładnie ziemię, ale nic nie zauważyłem. Następnie poszukałem fragmentu gzymsu, który spadł z dachu. Głaz leżał przewrócony jak tamtej nocy, kiedy zabiłem potwora usiłującego go przesunąć. W odległości kilku stóp zobaczyłem wielką jamę znaczącą miejsce, w którym upadł. Drugi koniec kamienia do połowy wrył się w ziemię. Podszedłem bliżej i przyjrzałem mu się dokładnie. Był to naprawdę imponujący przykład solidnej roboty murarskiej. A jednak potwór bez trudu zdołał go obrócić jedną ręką!

Zbliżyłem się do drugiego końca głazu i zajrzałem w ciemniejszą pod nim szczelinę, głęboką na kilka stóp. Zdziwiłem się, że nie ma w niej ani jednego stwora. Już przedtem podejrzewałem — o czym zresztą wspominałem — że ciała zostały usunięte, nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego nie zostały żadne śladów. Sam przecież widziałem, jak kamień z wielką siłą spadł na kilka bestii, dosłownie wgniatając je w ziemię. Teraz jednak nie znalazłem ani szczątków ciał, ani choćby jednej plamy krwi.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiałem, tym większe było moje zdziwienie, nie mogłem bowiem zrozumieć tej nowej zagadki, podobnie jak wielu poprzednich tajemnic domu.

Całą uwagę skoncentrowałem teraz na drzwiach gabinetu. Wyraźnie ucierpiałą po niedawnym ataku, chociaż dziwne, że pomimo

podpierających je belek, zdołały tak dobrze wytrzymać siłę szturmujących bestii. Żadnych śladów ciosów; bestie wyrwały po prostu drzwi z zawiasów. Zauważyłem pewien szczegół, który wstrząsnął mną do głębi – jedna z podpór przebiła na wylot drzwi. Zrozumiałem, z jak dziką energią musiały pracować stwory nad wyważeniem drzwi i jak niewiele brakowało, żeby osiągnęły swój cel.

Obszedłem jeszcze raz dom dookoła, ale nie znalazłem nic godnego uwagi poza oderwanym w nocy kawałkiem rynny, na który natknąłem się w wysokiej trawie tuż pod wybitym oknem.

Wróciłem do domu i zaryglowawszy tylne drzwi wspiąłem się na wieżę. Spędziłem tam całe popołudnie, czytając i od czasu do czasu lustrując ogród. Postanowiłem, że jeśli tej nocy nic się nie wydarzy, wyruszę z samego rana do wąwozu i postaram się znaleźć wytłumaczenie wszystkiego, co się stało. Dzień się skończył i nastąpiła noc, która nie przyniosła jednak żadnych zmian.

Kiedy wstałem, był przyjemny i słoneczny ranek. Postanowiłem nie odkładać wyprawy do wąwozu. W czasie śniadania szczegółowo obmyśliłem cały plan, po czym zajrzałem do gabinetu, żeby zabrać dubeltówkę. Ukryłem też w kieszeni mały rewolwer, który uprzednio nabiłem. Przeczuałem, że niebezpieczeństwo może nadejść od strony Piekła, ale nie miałem zamiaru dać się zaskoczyć.

Wyszedłem z domu w towarzystwie Peppera, sprawdziłem pobieżnie ogród i nie zwlekając ruszyłem w stronę Piekła. Po drodze rozglądałem się uważnie dookoła, cały czas trzymając broń w pogotowiu. Pepper biegł przodem, ale nie zauważyłem, żeby był czymś przestraszony. Z jego zachowania wywnioskowałem, iż nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, przyspieszyłem więc kroku, starając się nie tracić psa z oczu.

Pepper dotarł już do Piekla i z nosem przy ziemi biegł wzdłuż krawędzi wąwozu.

Chwilę później byłem tuż obok niego. Zajrzałem w przepaść i nie mogłem wprost uwierzyć, że patrzę na dawny wąwóz, tak bardzo się zmienił. Mroczna, porośnięta drzewami rozpadlina sprzed dwóch tygodni, po której dnie ospale płynął ukryty pod liśćmi strumień, przestała właściwie istnieć. Podo mną rozpościerała się nierówna otchłań, prawie do połowy wypełniona ponurym jeziorem o mętnej wodzie. Jedna ściana wąwozu całkiem straciła roślinność stając się skalistym zboczem. Lewa część Piekla przesunęła się lekko i utworzyła na powierzchni stromej skały głęboką szczelinę w kształcie litery V. Rozpadlina biegła od górnej krawędzi wąwozu prawie do samej wody, wciskając się w ścianę Piekla na głębokość około czterdziestu stóp. Bardziej od dziwnego pęknięcia w skale zainteresowała mnie jednak wielka dziura przy samym zwężeniu litery V. Kształtem przypominała łuk drzwi, teraz skryła się trochę w cieniu i nie mogłem jej dokładnie obejrzeć.

Przeciwległa ściana Piekla zachowała warstwę zieleni, miejscami zniszczoną i wszędzie pokrytą kurzem i śmieciami, tak że właściwie niewidoczną.

Zrozumiałem, że obsunięcie się ziemi nie mogło tłumaczyć wszystkich zmian, jakie przyszło mi oglądać. No i ta woda...? Odwróciłem się gwałtownie, usłyszałem nagle z prawej strony jakby szum wody. Nic nie zobaczyłem, niemniej wywnioskowałem, że dźwięk ów rozlega się gdzieś we wschodnim końcu Piekla.

Zacząłem powoli iść w tamtym kierunku, w miarę zbliżania się szmer przybierał na sile. Wciąż jednak nie wiedziałem, skąd pochodzi, musiałem kłębnać i pochylić się nad przepaścią. Usłyszałem wtedy wyraźny szum i oczom moim ukazał się strumień czystej wody, który wytrysnął z

niewielkiej szczeliny w ścianie Piekła i spływał po zboczu do leżącego niżej jeziora. Nieco dalej ujrzałem kolejny potok w skale, a potem jeszcze dwa mniejsze. Ich obecność mogła tłumaczyć dużą ilość wody w Piekle i jeśli spadające kamienie oraz grudki ziemi zablokowały ujście strumienia, nie ulegało wątpliwości, że przyczyniły się w ten sposób do powstania jeziora na dnie wąwozu.

Zachodziłem w głowę, dlaczego wąwóz tak bardzo się zmienił — skąd wzięły się liczne potoki i głęboka szczelina w skale. Samo obsunięcie się ziemi nie tłumaczyło jeszcze tak licznych zmian. Pomyślałem o trzęsieniu ziemi lub jakimś wielkim wybuchu, które mogły wpłynąć na obecny wygląd otchłani, ale żaden z tych kataklizmów przecież nie nastąpił. W tym momencie zerwałem się na równe nogi, przypomniałem sobie bowiem niedawny huk i chmurę pyłu wystrzelającą zaraz po nim wysoko w niebo. Kręciłem głową niedowierzająco. Nie! Musiałem wtedy słyszeć odgłos spadających skał i ziemi, którym towarzyszył tuman kurzu. Myśl ta, chociaż logiczna, wydała mi się jednak mało prawdopodobna, ale nie potrafiłem jakoś znaleźć lepszego wytłumaczenia. Kiedy trudziłem się nad rozwiązaniem tej zagadki, Pepper cierpliwie czekał, siedząc na trawie. W końcu ruszyłem w stronę północnej ściany wąwozu, pies zerwał się i pobiegł za mną.

Powoli, rozglądając się bacznie na wszystkie strony, okrążyłem Piekło, ale właściwie nic nowego nie zauważyłem. Na zachodnim krańcu wąwozu zobaczyłem wyraźne linie czterech wodospadów. Wypływały z miejsca oddalonego od powierzchni jeziora o jakieś pięćdziesiąt stóp.

Jeszcze przez chwilę kręciłem się nad otchłanią w nadziei wypatrzenia czegokolwiek, ale wąwóz pozostawał cudownie spokojny i oprócz monotonnego szumu wody na dnie otchłani, żaden inny dźwięk nie zakłócał ciszy.

Przez cały czas Pepper nie zdradzał oznak zdenerwowania, co było dla mnie wskazówką, że nie muszę obawiać się świniostworów, przynajmniej na razie. Nagle pies z zapalem zabrał się do drapania i obwąchiwania trawy na krawędzi wąwozu. Czasami oddalał się od otchłani i zaczynał biec w stronę domu, jak gdyby trafił na ślad niewidzialnego tropu, ale za każdym razem wracał po kilku minutach. Nie miałem wątpliwości, że wywąchał ślady stóp świniostworów. Każdy trop prowadził jednak z powrotem do Piekła, wszystkie więc bestie musiały wrócić do miejsca, z którego wyszły.

O dwunastej poszedłem do domu na obiad. Po południu w towarzystwie Peppera częściowo przeszukałem ogród, ale nie natrafiłem na żaden ślad obecności stworów.

W pewnej chwili, kiedy przedzieraliśmy się przez zarośla, Pepper skoczył między krzaki z głośnym szczekaniem. Cofnąłem się przerażony i wysunąłem strzelbę składając się do strzału. Wreszcie Pepper wynurzył się z gęstwiny i na widok biednego kota, którego gonił, roześmiałem się nerwowo. O zmroku zrezygnowałem z dalszych poszukiwań i skierowałem się w stronę domu. Mijaliśmy właśnie wielką kępę krzaków po prawej stronie, kiedy Pepper zniknął. Zaczął węszyć i warczeć w zaroślach, jakby zobaczył coś podejrzanego. Rozsunąłem gąszcz lufą strzelby i zajrzałem w środek kępy. Zauważyłem tylko wiele połamanych i powyginanych gałęzi, jak gdyby jakieś zwierzę całkiem niedawno zrobiło sobie tutaj kryjówkę. Pomyślałem, że było to prawdopodobnie jedno z miejsc zajętych przez świniostwory podczas nocnego ataku.

Nazajutrz raz jeszcze przeszukałem ogród, ale bez rezultatu. Zanim zapadł zmrok, zdążyłem sprawdzić każdy zakątek i utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że żaden ze stworów nie czai się w otaczających

dom zaroślach. Odtąd często nawiedzała mnie myśl, iż moje pierwsze przypuszczenie było słuszne — stwory uciekły zaraz po ataku.

ROZDZIAŁ XII

Podziemne korytarze

I tak minął kolejny tydzień, w ciągu którego wiele czasu spędziłem przyglądając się wewnątrz Piekla. Już wcześniej doszedłem do wniosku, że wygięta w kształcie łuku dziura na samym końcu wielkiej szczeliny jest otworem, przez który świniostwory wydostawały się z jakiegoś upiornego miejsca w środku ziemi. Ile prawdy było w tym przypuszczeniu, miałem się wkrótce przekonać.

Nie muszę chyba tłumaczyć, jak bardzo męczyła mnie ciekawość — nie wolna przecież od strachu — żeby sprawdzić, do jakiej piekielnej krainy prowadziła szczelina w skale, aczkolwiek do tej pory nie myślałem poważnie o dokładnych oględzinach wąwozu. Zbyt świeże było jeszcze wspomnienie niedawnych przeżyć, abym z własnej woli narażał się na spotkanie z dzikimi bestiami.

W miarę upływu czasu wspomnienia bladły i po kilku dniach, ku memu zdziwieniu, nabrałem ochoty, aby zsunąć się po ścianie i zajrzeć do szpary w skale. Wciąż jednak bałem się tak wielkiego ryzyka podejrzewając, że wejście do posępnego otworu oznacza pewną śmierć. Jakże silna jest jednak ludzka ciekawość, a myśl, co kryje w sobie mroczne wejście w ścianie wąwozu, nie dawała mi spokoju.

Mijały dni i stopniowo mój strach przed stworami stawał się emocją przeszłości, niemiłym wspomnieniem przeżyć, w które wprost trudno było uwierzyć.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy wolny od wszelkich urojeń i obaw zabrałem z domu linę, przymocowałem jeden jej koniec do wielkiego drzewa blisko krawędzi Piekła, drugi zaś rzuciłem w szczelinę, tak że znalazł się w samym środku czarnej szpary.

Nie mając pewności, czy nie podejmuję się szaleńczego zadania, zacząłem ostrożnie spuszczać się po linie, aż dotarłem do otworu. Wciąż z liną w ręce oparłem stopy o skałę i zajrzałem do środka. Wszędzie panowały nieprzeniknione ciemności i śmiertelna cisza. Po chwili wydało mi się jednak, że z głębi jamy dociera jakiś dźwięk. Wstrzymałem oddech i wytężyłem słuch — cisza, aż w uszach dzwoni, odetchnąłem więc swobodniej. I wtedy powtórzył się ten sam dźwięk, zupełnie jakby ktoś głośno dyszał. Zamarłem, przerażony, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu. I znowu hałas ustał i zapadła grobowa cisza.

Zdenerwowany nieopatrznie pchnąłem stopą kamień, który wpadł w ciemną jamę z głuchym stukiem. W jednej chwili echo podchwyciło odgłos powtarzając go nieskończoną ilość razy, potem dźwięk stawał się coraz słabszy i słabszy, aż w końcu rozpląnął się gdzieś bardzo daleko. Nastąpiła cisza, w której usłyszałem znane mi miarowe oddechy. Za każdym razem, kiedy nabierałem powietrza w płuca, odpowiadało mi czyjeś sapanie. Odgłosy były teraz bliższe, potem usłyszałem inne, słabsze i bardziej odległe. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie złapałem końca liny i nie opuściłem tego niebezpiecznego miejsca. Ogarnęła mnie dziwna niemoc, pot zrosił ciało, językiem zwilżałem zeschnięte wargi. Poczulem nagłą suchość w gardle i musiałem odchrząknąć. Natychmiast z głębi szczeliny odpowiedział niekończący się, szyderczy kaszel. Wbiłem wzrok w czarną jamę, na próżno starając się coś wypatrzyć. Zaczęło dusić mnie w gardle i znów odchrząknąłem. Jeszcze raz echo przechwyciło

nowy dźwięk, który na przemian to rósł, to malał, aż w końcu stopniowo rozplynął się w łagodnej ciszy.

Nagle olśniła mnie pewna myśl i wstrzymałem oddech. Sapanie w ciemnościach zamarło. Wypuściłem powietrze z płuc i odgłosy odżyły. Ale teraz już się nie bałem. Wiedziałem, że dziwne dźwięki nie pochodzą od czających się w głębi jamy świniostworów, ale są po prostu echem moich własnych oddechów.

Przeżyty strach zmęczył mnie jednak do tego stopnia, że z przyjemnością wdrapałem się na szczyt wąwozu wciągając za sobą linę. Byłem zbyt roztrzęsiony i zdenerwowany, aby zagłębiać się w ciemny korytarz, postanowiłem więc wrócić do domu. Nazajutrz czułem się znacznie lepiej, nie znalazłem jednak w sobie dość odwagi, żeby powtórzyć wyprawę do szczeliny w skałach.

Przez cały czas woda w Piekło stopniowo podnosiła się, powoli zbliżając się do otworu. Wiedziałem, że wzbierając w tym tempie, osiągnie poziom szpary w ciągu niespełna tygodnia i jeśli się nie pośpieszę, być może nigdy nie zobaczę wnętrza jamy.

Właśnie ta myśl stała się chyba bodźcem do działania, faktem jest bowiem, że parę dni później stałem nad rozpadliną gotów do wykonania zadania.

Tym razem byłem zdecydowany przezwyciężyć strach i do końca rozwiązać tajemnicę Piekle. Z tym też zamiarem przyniosłem ze sobą oprócz liny kilkanaście świec, które miały mi służyć za pochodnie, oraz dubeltówkę. Do pasa przypiąłem ciężki pistolet naładowany grubym śrutem.

Najpierw przymocowałem linę do drzewa. Następnie mocnym sznurkiem przywiązałem strzelbę do pleców i zacząłem zsuwać się po ścianie wąwozu. Widząc to Pepper, który cały czas bacznie obserwował moje poczynania, zerwał się i zaczął biec w moją stronę wyjąc i poszczekując na przemian, jak gdyby chciał mnie przed czymś ostrzec. Ale nic

nie mogło już zmienić mojej decyzji i nakazałem psu spokój. Miałem ogromną ochotę zabrać Peppera ze sobą, jednakże w tych warunkach było to całkiem niemożliwe. Kiedy już tylko głowa wystawała mi nad krawędź wąwozu, Pepper zaczął lizać mnie w usta, po czym złapał rękaw mej kurtki i pociągnął z całej siły. Wyraźnie sprzeciwiał się mej wyprawie. Nie miałem jednak zamiaru się wycofać i nie przestając schodzić coraz niżej, krzyknąłem ostro na psa, żeby mnie puścił. Biedny stary przyjaciel stał na górze, ujadając i skomlać niczym porzucony szczeniak.

Ostrożnie przeskakiwałem z jednej półki skalnej na drugą, wiedząc, że jeden fałszywy krok i mogę wylądować w wodzie jeziora.

W końcu dotarłem do szczeliny w skale, puściłem linę i odwiązałem strzelbę. Po raz ostatni rzuciłem okiem na niebo — gwałtownie zaczęło się chmurzyć — zrobiłem kilka kroków do przodu, chcąc schować się przed wiatrem, po czym zapaliłem świecę. Uniosłem ją wysoko i ściskając mocno strzelbę, ruszyłem przed siebie, uważnie rozglądając się na wszystkie strony.

Przez chwilę dochodził z góry skowyt Peppera, ale w miarę zagłębiania się w ciemny korytarz, ujadanie stawało się coraz słabsze, aż wreszcie całkiem umilkło. Ścieżka opadała w dół i skręcała w lewo. Potem znów się ciągnęła, cały czas zbaczając w lewo i nagle zorientowałem się, że musi prowadzić w stronę domu.

Szedłem bardzo ostrożnie i co kilka kroków przystawałem nasłuchując. Przebyłem już bez mała sto jardów, kiedy z tyłu dobiegł mnie niewyraźny dźwięk. Serce niespokojnie załomotało mi w piersiach i zneruchomiałem. Dźwięk przybierał na sile i odniosłem wrażenie, że coś szybko zbliża się w moją stronę. Słyszałem teraz wyraźnie odgłos lekkiego tupotu uciekających stóp. W pierwszej chwili obezwładniającego

strachu stałem oszołomiony, nie mogąc się zdecydować, czy iść do przodu, czy też się cofać. Pod wpływem nagłego olśnienia przytuliłem się do skalnej ściany po prawej stronie i trzymając świecę nad głową oraz broń gotową do strzału zastygłem w oczekiwaniu. W głębi ducha przeklinałem nieposkromioną ciekawość, która kazała mi wyruszyć na tak niebezpieczną wyprawę.

Nie musiałem długo czekać, już po kilku sekundach ujrzałem w blasku świecy parę oczu jarzących się w ciemnościach. Jedną ręką uniosłem dubeltówkę błyskawicznie składając się do strzału. W tej samej chwili coś wielkiego wyskoczyło z ciemności i usłyszałem przeraźliwie głośne, radosne szczekanie, które obudziła echo potężne jak uderzenie pioruna. Był to Pepper. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób udało mu się wgramolić do szczeliny. Oszołomiony zacząłem głaskać go po grzbiecie i spostrzegłem, że sierść ma wilgotną. Bez wątpienia pies próbował iść za mną, po czym wpadł da wody, z której jak widać nie było mu trudno się wydostać.

Odczekałem chwilę, aby przyjść do siebie, i znów zagłębiłem się w mrok tunelu. Pepper spokojnie biegł za mną. Nieoczekiwany widok starego przyjaciela sprawił mi wielką radość. Nie byłem już sam i czując obecność Peppera jakoś mniej się bałem. Wiedziałem także, iż jego wyostrzony słuch natychmiast wyłowi obecność niemiłych stworów, o ile jakieś jeszcze się kryły w otaczających nas ciemnościach.

Przez kilka minut posuwaliśmy się powoli ścieżką, która najwyraźniej zmierzała w stronę domu i wkrótce wydało mi się, że jesteśmy tuż pod nim. Początkowo prowadziłem, idąc ostrożnie, potem stanąłem i wysoko uniosłem świecę, za co niech Bogu będą dzięki, ponieważ trzy kroki przede mną ścieżka urywała się nagle przechodząc w czarną przepaść bez dna, której widok przyprawił mnie o drżenie serca.

Powoli zbliżyłem się do krawędzi i spojrzałem w dół, ale nic nie mogłem dojrzeć. Skręciłem więc w lewo szukając znanej ścieżki. Przy samej ścianie odkryłem wąskie przejście, szerokie na trzy stopy, które musiało przecież gdzieś prowadzić. Zacząłem posuwać się do przodu, ale już po chwili żałowałem swojej decyzji. Po kilku krokach wąska ścieżka zamieniła się w półkę, skalną, która z jednej strony graniczyła z twardą nieprzyjemną skałą — wznosiła się ona wysoką ścianą w stronę niewidzialnego sklepienia — z drugiej zaś z czarnym otworem przepaści. Nie mogłem się oprzeć myśli, jak beznadziejne byłoby moje położenie w wypadku jakiegoś ataku. W wąskim przejściu nie mogłem się nawet obrócić, zaś próba użycia strzelby na pewno skończyłaby się wpadnięciem do przepaści.

Nieco dalej odetchnąłem z ulgą widząc, że ścieżka gwałtownie rozszerza się i wraca do swych poprzednich rozmiarów. Jeszcze kilkanaście kroków, a ścieżka wciąż uparcie skręcała w prawo i po kilku minutach odkryłem, iż nie posuwam się do przodu, ale po prostu obchodzę dookoła wielką przepaść.

Najwyraźniej musiałem dotrzeć do końca długiego szlaku.

Parę minut później znalazłem się dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyłem, musiałem więc okrążyć szeroką przepaść o średnicy co najmniej stu jardów. Przez dłuższą chwilę stałem zatopiony w myślach, oniemiały ze zdziwienia. Co to wszystko ma znaczyć?— nurtowało mnie pytanie.

Nagle wpadłem na pewien pomysł. Zacząłem rozglądać się szukając niewielkiego kamienia i w końcu znalazłem odłamek skały wielkości małego bochenka chleba. Umieściwszy pionowo świecę w szczelinie kamiennej podłogi, odszedłem jak najdalej od krawędzi przepaści, rozpędziłem się i cisnąłem kamień mierząc w sam środek otworu, tak, aby

spadając nie obijał się o skaliste ściany. Potem pochyliwszy się nad czarną jamą, nasłuchiwałem przez co najmniej minutę, ale żaden dźwięk nie nadszedł z głębin czeluści.

Zrozumiałem wtedy, jak ogromne muszą być rozmiary otchłani, gdyby bowiem kamień natrafił po drodze na jakąś przeszkodę, obudziłby bez wątpienia głośnie echo i wznicił niekończące się szepty. Same tylko odgłosy mych kroków pieczara powtarzała po tysiąckroć. Poczuliem się nieswojo i z przyjemnością opuściłbym ciemne korytarze rezygnując z odkrycia ich tajemnic, byłoby to jednak przyznaniem się do przegranej.

Potem wpadłem na pomysł, żeby zajrzeć do wnętrza otchłani. Rozumiałem, iż jeśli ustawię świece wokół krawędzi otworu, prawdopodobnie uda mi się coś zobaczyć w przyćmionym ich świetle. Chcę tu nadmienić, że zabrałem z domu aż piętnaście świec i rozmieściłem je teraz wokół przepaści w równych odstępach.

Kiedy skończyłem układanie koła ze świec, wyteżyłem wzrok, ale natychmiast zorientowałem się, iż migotliwe płomienie tylko w niewielkim stopniu zdołały rozproszyć mroki otchłani. Moje przypuszczenia dotyczące rozmiarów czeluści okazały się słuszne i chociaż nie odkryłem nic nowego, niemniej kontrast, jaki płomienie świec tworzyły z gęstymi ciemnościami, dziwnie mnie ucieszył. Zupełnie jakby piętnaście małych gwiazd rozbłysło nagle w mroku podziemnej krainy.

Nieoczekiwanie Pepper zawył głośnie i przez chwilę echo powtarzało jego żalony skowyt o upiornym brzmieniu. Szybkim ruchem uniosłem do góry jedną ze świec i oświetliłem nią psa, jednocześnie odniosłem wrażenie, że z głębi cichej do tej pory przepaści wydobywa się jakiś diabelski chichot. Zerwałem się do ucieczki, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, iż prawdopodobnie słyszę echo wycia psa.

Pepper zdążył się już oddalić, widziałem, jak biegł korytarzem z nosem przy ziemi i wydało mi się, że słyszę chlupot wody pod jego łapami! Trzymając nisko świecę zacząłem iść w stronę psa. Nagle poczułem, że mam mokro w butach i coś połyskliwego przepływa szybko między stopami, zmierzając prosto w stronę Piekła. Pochyliłem się wyżej wzrok i aż krzyknąłem ze zdumienia. Z wyższych części szczeliny spływał wartki strumień wody i z każdą chwilą się powiększał.

Jeszcze raz Pepper zawył żałośnie, po czym podbiegł i złapawszy zębami brzeg mej kurtki z całej siły zaczął ciągnąć mnie w stronę wyjścia. Niecierpliwym ruchem odpędziłem psa od siebie i instynktownie przytulilem się do ściany. Cokolwiek się teraz wydarzy, będę miał przynajmniej mur za plecami.

Kiedy niespokojnie rozglądałem się dookoła, ujrzałem w blasku świecy migotliwą jasność gdzieś na końcu ścieżki. Jednocześnie usłyszałem monotony, wzbierający na sile ryk, od którego zadrżały ściany pieczary. Natychmiast Piekło odpowiedziało głębokim, przejmującym echem przypominającym łkanie olbrzyma. Błyskawicznie wskoczyłem na wąski występ skalny opasujący przepaść i w tej samej chwili ujrzałem ocierającą się niemal o mnie ścianę spienionej wody, która z potężnym hukiem runęła w rozwartą otchłań. Pył wodny zgasił świecę i przemoczył mi ubranie do suchej nitki. Cały czas kurczowo ścisnąłem strzelbę, nie chcąc jej stracić. Bliżej stojące świece zgasły, ale dalsze paliły się migotliwym niewyraźnym płomieniem. Po pierwszym gwałtownym spadku wody uformował się spokojny strumień, głęboki na stopę, chociaż mogłem to stwierdzić dopiero po przyniesieniu jednej z zapalonych świec. Na szczęście, kiedy uciekałem na półkę skalną, Pepper skoczył za mną i mocno przestraszony nie odstępował mnie ani na krok.

Krótki rzut oka przekonał mnie, że woda wypełniła cały skalny korytarz, a co gorsza z każdą sekundą przybywało jej coraz więcej. Mogłem jedynie snuć domysły, co się stało. Nie ulegało kwestii, że woda z dna wąwozu musiała wdrzeć się do szczeliny w skałach. Zrozumiałem, że strumień będzie się wciąż powiększał, aż w końcu opuszczenie pieczary stanie się całkiem niemożliwie. Poczułem, jak włosy jeżą mi się na głowie. Nie było chwili do stracenia — musiałem jak najszybciej stąd się wydostać.

Wetknąłem strzelbę do strumienia, chcąc zbadać głębokość wody. Sięgała prawie kolan. Potok wpadał do otchłani z ogłuszającym hukiem. Zawołałem Peppera i zsunąłem się do wody podpierając się strzelbą. Pędząca z nieopisaną szybkością woda sięgała mi najpierw kolan, a później prawie brzucha. Przez moment omal nie straciłem równowagi, ale myśl o tym, co może mnie spotkać w mrocznym korytarzu, dodawała mi sił i zmusiła do cofania się krok za krokiem w stronę wyjścia.

Zajęty walką z żywiołem nie miałem pojęcia, gdzie jest Pepper i kiedy nagle pies pojawił się tuż obok, bardzo się ucieszyłem. Dzielnie torował sobie drogę ku wyjściu. Na szczęście Pepper jest dużym psem o długich smukłych nogach, dlatego łatwiej poruszał się w wodzie niż ja. W każdym razie radził sobie nie najgorzej i cały czas szedł przodem, na wszystkie sposoby walcząc z siłą napierającego potoku. I tak powoli, krok za krokiem, posuwaliśmy się do przodu, aż w końcu zziębnięci i nie-ludzko zmęczeni pokonaliśmy odległość stu kroków. Nagle, nie wiem, czy moja uwaga uległa przytępieniu, czy też może natrafiłem na zbyt gładką skałę, niemniej poślizgnąłem się i upadłem. W jednej chwili zniknąłem pod masą spienionej kipieli, która z przerażającą szybkością zaczęła ciągnąć mnie w stronę bezdennej otchłani. Usiłowałem stawić

opór ścianie wody, ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć oparcia pod stopami. Byłem bezradny, woda wdzierала mi się już do gardła i zacząłem tonąć. Nagle poczułem, że coś chwyta mnie za kurtkę i pomaga stanąć na nogach. Wierny Pepper musiał zauważyć moje zniknięcie i zawrócił, aby mnie odnaleźć w czarnej masie wody, po czym trzymał mnie zębami tak długo, aż mogłem stanąć o własnych siłach.

Pamiętam jak przez mgłę, że w tamtej krótkiej chwili pod wodą widziałem blask wielu światel, chociaż mogło to być tylko przywidzenie. Zanim Pepper przyszedł mi z pomocą, potok zniósł mnie prawdopodobnie na samą krawędź straszliwej przepaści i podejrzewam, że dalekie migające punkty były niczym innym, jak tylko płomieniami zostawionych wokół otworu świec. Mogę jednak się mylić, gdyż oczy zalewała mi woda, no i przeżyłem szok.

I tak znalazłem się bez strzelby, bez świecy, w strumieniu wciąż podnoszącej się wody, modląc się w duchu, aby niezawodny przyjaciel Pepper jak najprędzej wyprowadził mnie z tego piekielnego miejsca.

Staralem się stać pod prąd, był to bowiem jedyny sposób utrzymania równowagi, wiedziałem, że jeśli nie pomogę Pepperowi, wierny pies nigdy nie wyciągnie mnie z potoku rwącej wody.

Następna minuta zadecydowała chyba o moim życiu, zebrałem resztki sił i znów podjąłem morderczą wędrówkę w stronę wyjścia. I tak rozpoczęła się najbardziej zacięta walka z żywiołem, z której za wszelką cenę pragnąłem wyjść zwycięzcą. Mozolne, zajadłe, niemal beznadziejne zmaganie. A wierny Pepper nie przestawał prowadzić mnie do wyjścia, ciągnąc wciąż naprzód i naprzód, aż wreszcie ujrzałem wąskie pasmo błogosławionego światła. Jeszcze kilka kroków wśród oszalałej kipieli i oto stałem w szczelinie w skałach.

Teraz dopiero zrozumiałem przyczynę katastrofy. Na zewnątrz szalała ulewa, z nieba lały się potoki rześistego deszczu. Powierzchnia jeziora podniosła się do poziomu otworu, a nawet wyżej, znacznie ponad dno szczeliny. Bez wątplenia ulewa zwiększyła ilość wody w jeziorze i spowodowała podniesienie się jego poziomu. Pamiętam, że poprzednie tempo narastania wody w wąwozie pozwoliło sądzić, że otwór pozostanie suchy jeszcze przez kilka dni.

Na szczęście lina, po której spuściłem się na dół, wciąż wisiała przy wejściu tuż nad wpadającą do środka wodą. Złapałem za jej koniec i obwiązałem nią mocno Peppera. Zacisnąwszy zęby rozpocząłem niebezpieczną wspinaczkę po skale. Kiedy dotarłem na szczyt wąwozu, byłem kompletnie wyczerpany. Wiedziałem jednak, że muszę się zdobyć na jeszcze jeden wysiłek i jak najszybciej wciągnąć Peppera na górę.

Z ogromnym trudem, powoli, ciągnąłem linę i coraz częściej miałem ochotę się poddać. Pepper jest bowiem, ciężkim psem i byłem już u kresu wytrzymałości. Gdybym jednak zostawił starego przyjaciela, skazałbym go na pewną śmierć i sama myśl o tym zmobilizowała mnie do większego wysiłku. Jak przez mgłę pamiętam, co się później działo. Pracowałem uparcie, ale lina zdawała się nie mieć końca. Wreszcie po jakimś czasie ujrzałem nad krawędzią wąwozu pysk Peppera. A potem cały świat zniknął za czarną zasłoną.

ROZDZIAŁ XIII

Kłapa w wielkim lochu

Musiałem zemdleć i kiedy w końcu przyszedłem da siebie, był już zmierzch. Zorientowałem się, że leżę na plecach, a Pepper liże mi uszy. Zesztywniałem cały z zimna i straciłem czucie w nodze poniżej kolana.

Przez chwilę leżałem oszołomiony, potem z wielkim trudem usiadłem i rozejrzałem się dookoła.

Ulewa ustała, ale drzewa wciąż smętnie ociekały kroplami deszczu. Z otchłani dobiegał monotony szum płynącej wody. Byłem zmarznięty i wstrząsały mną dreszcze. Ubranie całkiem przemokło i bolały mnie wszystkie kości. Stopniowo w zdrętwiałej nodze wracało czucie i po chwili usiłowałem wstać. Wreszcie przy kolejnej próbie udało się, ale stałem niepewnie i miałem zawroty głowy. Czyżbym się rozchorował? Zataczając się pokuśtykałem w stronę domu. Było mi słabo i przy każdym kroku czułem ostry przeszywający ból.

Zdołałem zrobić kilkanaście kroków, kiedy usłyszałem głośnie szczekanie Peppera. Byłem tak zdrętwiały, że odwrócenie się kosztowało mnie niemało trudu. Wierny pies na próżno usiłował pobiec za mną — lina, którą go obwiązałem, wciąż przymocowana była do drzewa. Zacząłem niezdarnie rozplątywać supły; były wilgotne i mocne, więc nie mogłem sobie z nimi poradzić. Na szczęście przypomniałem sobie o nożu i szybko przeciąłem nim węzły.

Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób udało mi się wreszcie dotrzeć do domu, i jeszcze mniej wiem, co działo się w ciągu następnych dni. Jestem jednak pewien, że nie pisałbym teraz tego pamiętnika, gdyby nie miłość siostry i jej niestrudzone o mnie staranie.

Kiedy odzyskałem przytomność, dowiedziałem się, że leżałem chory bez mała przez dwa tygodnie. Musiało jeszcze minąć parę dni, zanim poczułem się na tyle dobrze, aby chwiejnym krokiem wyjść do ogrodu. Wiedziałem jednak, że spacer do Piekła byłby dla mnie zbyt męczący. Miałem ochotę zapytać siostrę, jak wysoko podniosła się woda w wąwozie, ale czułem, że lepiej zrobię nie poruszając tego tematu. Postanowiłem

już nigdy nie rozmawiać z Marią o dziwnych rzeczach, jakie dzieją się w wielkim starym domu.

Znów upłynęło kilka dni i wreszcie byłem na tyle silny, aby dojść do Piekla. Stałem nad otchłanią i dziwiłem się, że podczas mej kilkutygodniowej nieobecności zaszły tak wielkie zmiany. Zamiast częściowo wypełnionego wodą wąwozu widziałem ogromne jezioro, którego łagodna tafla obojętnie odbijała światło dnia. Woda zatrzymała się na wysokości sześciu stóp od krawędzi Piekla. Tylko w jednym miejscu jezioro było niespokojne, gdzie głęboko pod cichymi wodami otwierało się wejście do podziemnych korytarzy. Widziałem, jak woda nieustannie się tam burzy i od czasu do czasu dziwne bulgotanie wydobywało się z głębin na powierzchnię. Nie miałem pojęcia, co kryje się pod taflą jeziora. Nagle zrozumiałem, że podnosząca się woda przyniosła wybawienie zamykając na dobre otwór, przez który świniostwory wydostawały się z mrocznych podziemi. Nareszcie przestały mi zagrażać! Szkoda tylko, że nigdy już nie dowiem się prawdy o miejscu, z którego wyszły bestie z piekła rodem. Zostało definitywnie odcięte od świata i na zawsze ukryte przed ludzką ciekawością.

Jakże trafna wydawała się nazwa Piekla po tym wszystkim, co przeżyłem w podziemnych korytarzach. Ciekawe, skąd się właściwie wzięła? Nie ulega wątpliwości, że kształt i głębokość wąwozu nasuwają skojarzenia z piekłem. Ale może nazwa wąwozu kryje w sobie głębsze znaczenie; jest jakąś aluzją i dotyczy znacznie większego i bardziej przerażającego Piekla, które rozciąga się głęboko w ziemi pod starym domem. Tak, pod moim własnym domem! Nawet teraz ta myśl przeraża mnie i dziwi. Przekonałem się bowiem na własne oczy, że Piekło leży tuż pod domem, który wznosi się na wielkiej skale wyrastającej ze środka otchłani.

Pewnego razu, kiedy zszedłem po coś do piwnic domu, przyszło mi do głowy, żeby odwiedzić wielki loch, z klapą w podłodze i sprawdzić, czy nic się w nim nie zmieniło od czasu ostatniej mojej tam wizyty.

Wszedłszy do piwnicy zacząłem szukać jej środka, aż w końcu znalazłem się przy klapie. Przykryta stertą kamieni wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Miałem ze sobą latarnię i wpadłem na pomysł, żeby zobaczyć, co kryje się pod wielką dębową płytą. Postawiłem latarnię na ziemi, zrzuciłem kamienie i chwyciwszy za wystający krążek kłapy z całej siły szarpnąłem. W jednej chwili piwnica zadrżała od głośnego grzmotu wydobywającego się z niezgłębionych, czeluści. Jednocześnie poczułem na policzkach powiew wiatru, który niósł ze sobą mokry pył. Zdziwiony i lekko przestraszony szybko opuściłem klapę.

Przez chwilę stałem oszołomiony, ale nie bałem się. Obezwładniający strach przed świniostworami dawno już mnie opuścił, czułem ciekawość i narastające podniecenie. Pod wpływem nagłego impulsu jeszcze raz uniosłem klapę. Trzymając ją w górze sięgnąłem po latarnię i uklękawszy zbliżyłem światło do otworu. W tej samej chwili poczułem na twarzy powiew mokrego pyłu, który zmusił mnie do zamknięcia oczu. Kiedy znów spojrzałem w otwierającą się pode mną przepaść, mój wzrok natopkał jedynie ciemności i wirujące opary. Zresztą trudno było coś dojrzeć w tak niewyraźnym świetle, zacząłem więc nerwowo szukać kawałka sznurka, przy pomocy którego chciałem, spuścić latarnię w głąb otworu. Ale kiedy niezdarnie szperałem w kieszeniach, latarnia wysunęła mi się nagle z rąk i wpadła w przepaść. Przez krótką chwilę wyraźnie widziałem w jej świetle chmury białej mgły wirujące niedaleko krawędzi otworu. Potem znów zapadła ciemność. Zrozumiałem teraz, skąd bierze się w piwnicy wilgoć i hałas. Wielki loch łączył się z Piekiełm, kłapa w

podłodze leżała tuż nad nim, a wilgoć w powietrzu pochodziła z wody spadającej w podziemną przepaść.

Miałem oto wytłumaczenie tajemnic, nad rozwiązaniem których bieżę się do tej pory bezskutecznie. Zrozumiałem wreszcie, dlaczego podczas ataku bestii na dom niektóre dźwięki zdawały się dochodzić wprost spod ziemi. No i ten szyderczy chichot, który usłyszałem, gdy po raz pierwszy otworzyłem klapę! Kilka świniostworów musiało znaleźć się tuż pod podłogą lochu.

Zaniepokoiła mnie teraz inna sprawa. Czyżby wszystkie stwory zatęnęły i czy ich zatęnięcie w ogóle było możliwe? Przypomniałem sobie, że nie udało mi się znaleźć żadnych śladów po stworach, do których strzelałem. Ciekawe więc, czy owe bestie to istoty z tego świata, czy też może wampiry? Takie i inne myśli przychodziły mi do głowy, kiedy stałem w ciemnościach szukając w kieszeniach zapalek. W końcu zapaliwszy ogień, ostrożnie spuściłem klapę. Następnie przywalilem ją stertą kamieni, po czym opuściłem piwnice.

Podejrzewam, że woda nadal płynie spadając z hukiem w bezdenną piekielną otchłań. Czasami mam dziwną ochotę, żeby zejść do wielkiego lochu, uchylić kłapy i spojrzeć w nieprzeniknioną, mokrą od pyłu wodnego ciemność. Chwilami pragnienie to jest tak intensywne, że prawie mu ulegam. Myślę, że to nie ciekawość zachęca mnie do działania, ale raczej wpływ jakichś tajemniczych sił. A jednak nigdy nie schodzę do podziemi, starając się pokonać dziwną tęsknotę, tak jakbym walczył z grzeszną myślą o samobójstwie.

Sama myśl o działaniu sił nie z tego świata może się wydawać wytworem fantazji. A jednak instynkt szepcze mi, że nie jest to tylko fantazja. W tych sprawach, mniej chyba należy wierzyć rozumowi niż intuicji.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej niepokojącej mnie kwestii. Mieszkam w bardzo dziwnym i ponurym domu i zaczynam się zastanawiać, czy dobrze robię w nim zostając. Gdybym jednak go opuścił, gdzieś pójść i znaleźć tak bardzo potrzebną mi do życia samotność, a przede wszystkim świadomość obecności mej ukochanej?

ROZDZIAŁ XIV

Morze Snu

Po ostatnich wypadkach, które szczegółowo opisałem w dzienniku, zacząłem poważnie rozważać możliwość opuszczenia dziwnego domu i pewnie bym to uczynił, gdyby nie cudowne zdarzenie, o którym zaraz opowiem.

Cieszę się, że pomimo niewyjaśnionych tajemnic i niezrozumiałych wizji posłuchałem jednak głosu serca i nie wyjechałem, gdybym bowiem tak postąpił, nigdy już nie ujrzałbym drogiej mi twarzy. Mało kto — chyba tylko moja siostra Maria — wie o tej, którą kochałem i niestety straciłem.

Opiszę teraz historię słodkich chwil z przeszłości. Będzie to trochę jak rozdrapywanie starych ran, chociaż ostatnie przeżycia przytępiły nieco mą wrażliwość.

Pamiętam, jak pojawiła się nie wiadomo skąd. Dziwiłem się, dlaczego wciąż ostrzega mnie przed niebezpieczeństwami tego domu i błaga, abym go opuścił. Przyznała jednak, że tylko tutaj może mnie odwiedzać.

* BARDZO NIEJASNA DYGRESJA, KTÓREJ POPRZEDNIE PARTIE RĘKOPISU NIE WYJAŚNIAJĄ. STAJE SIĘ JEDNAK BARDZIEJ ZROZUMIAŁA W ŚWIETLE NASTĘPNYCH WYDARZEŃ.

Nie przestawała prosić tłumaczac, iż dom ten dawno temu przejął we władanie diabeł i działają w nim siły nieczyste, niezrozumiałe dla

człowieka. Ale gdy znów ją spytałem, czy przyjdzie do mnie, jeśli zamieszkał gdzie indziej, stała milcząca.

I tak odwiedziłem miejsce, które jej słodkie usta nazwały Morzem Snu. Późnym wieczorem siedziałem czytając w gabinecie i musiałem zasnąć nad książką. Nagle obudziłem się i przestraszony usiadłem. Przez chwilę niespokojnie wodziłem wzrokiem po pokoju czując, że coś dziwnego unosi się w powietrzu. Pokój tonął we mgle, która nadawała konturom mebli dziwnej miękkości.

Mgła napływała nie wiadomo skąd, wciąż gęstniała i rosła. Później ujrzałem przyćmione białe światło, w którym płomienie świec wyraźnie zbladły, a meble stały się jakieś dziwne i nierzeczywiste, zupełnie jakbym zamiast materialnej powłoki widział ich duszę.

Stopniowo kształty przedmiotów rozpływały się, aż w końcu całkiem zniknęły. Znów spojrzałem na świece. Ich płomienie migotały blado, stawały się coraz bardziej nierealne i wreszcie zgasły. Do pokoju wślizgnął się łagodny blady świt, jakby utkany z delikatnej świetlistej mgły. Poza tym nic nie widziałem. Zniknęły nawet ściany.

Nagle ciszę przerwał daleki, monotony dźwięk. Zacząłem uważnie nasłuchiwać. Wciąż przybierał na sile, aż w końcu okazał się jednostajnym szumem wielkiego oceanu. Minęło kilka minut — otaczająca mnie mgła stała się przezroczysta i zorientowałem się, że stoję nad ogromnym cichym morzem, którego rozległy brzeg niknie gdzieś w dali. Przedemną wznosiła się nieruchoma masa uśpionego oceanu. Chwilami miałem wrażenie, że wzrok mój wychwytuje słabe migotanie światła pod powierzchnią wody, ale może było to tylko złudzenie. Nieco z tyłu wyraźnie stała wysoka ściana ponurych czarnych skał; w górze rozpościerało się monotonne szare niebo. Zdumiewająca kula bladego ognia, która

unosila się nad dalekim horyzontem, rzucała opalizujące światło na spokojne wody oceanu.

Poza cichym szumem morza nie słyhać było innych dźwięków. Przez długą chwilę wpatrywałem się w nieruchomą taflę i oto nagle z głębi oceanu wystrzelił mały bąbelek białej piany i — sam nie wiem, jak się to stało — zobaczyłem... jej twarz, jej duszę. Patrzyła na mnie spojrzeniem pełnym radości i smutku. Oszałały ze szczęścia zacząłem biec w jej stronę. Pod wpływem strachu, nadziei i obudzonych wspomnień, błagałem, aby zbliżyła się do mnie. Obojętna na me prośby stała nieruchomo, potrząsając smutnie głową, chociaż jej oczy rozbłysły ciepłem dawnej miłości, jaka nas łączyła, zanim los nas rozdzielił.

Jej przewrotność doprowadzała mnie do rozpacz. Chciałem do niej podejść i nie mogłem, zupełnie jakby jakaś niewidzialna siła powstrzymywała mnie; stałem więc i wołałem łamiącym się głosem: — Zbliź się, najdroższa! — Wzruszenie zaparło mi dech i nic więcej nie mogłem powiedzieć. Powoli zbliżyła się i poczułem jej dotknięcie. Wydało mi się, że jestem w raju. Ale kiedy wyciągnąłem do niej ręce, odsunęła mnie pełnym miłości, lecz stanowczym gestem, więc zmieszałem się...

UWAGA. W TYM MIEJSCU PISMO STAJE SIĘ NIECZYTELNE, GDYŻ TA CZĘŚĆ RĘKOPISU ULEGŁA ZNISZCZENIU. PONIŻEJ PRZYTACZAM FRAGMENTY, KTÓRE UDAŁO MI SIĘ ODCYFROWAĆ.

FRAGMENTY

(CZYTELNE PARTIE USZKODZONYCH STRON)

... przez łzy... słyzałem szum wszechświata, rozstaliśmy się... Tak ją kochałem. O mój Boże!...

Długo tkwiłem w stanie dziwnego zamroczenia, potem otoczyły mnie ciemności nocy. Wiedziałem, że znów wracam do znanego świata. Wreszcie zasłona mroku rozsunała się i zbliżyłem się do gwiazd... długi czas... słońce dalekie i zamazane.

Wkroczyłem w próżnię oddzielającą nasz Układ od innych Układów Słonecznych. Przemierzając bezkres nocy widziałem coraz intensywniejszy blask słońca i wciąż powiększające się rozmiary słonecznej kuli. W pewnej chwili obejrzałem się za siebie i odniosłem wrażenie, że gwiazdy przesuwają się za mną na tle czarnego nieba, tak wielka była szybkość, z jaką mój bezcielesny duch podróżował.

Zbliżyłem się do Układu Słonecznego i ujrzałem blask Jowisza. Później wzrok mój wyłowił zimną, niebieską poświatę ziemi... Przeżyłem chwilę wielkiego zdziwienia. Jasne ciała dookoła słońca przesuwają się po orbitach z ogromną prędkością. W głębi, w pobliżu oślepiającego blasku słońca, krążyły dwa świetlne punkty, jeszcze dalej szybowiała błękitna migocząca plamka, którą bez wątplenia była ziemia. Okrążała słońce w czasie, który nie wydawał się dłuższy od minuty.

...bliżej z wielką szybkością. Widziałem teraz blask Jowisza i Saturna wirujących po odległych orbitach z nieopisaną wprost prędkością. Ze wzrastającym zdziwieniem przyglądałem się widocznemu ruchowi planet wokół matki-słońca. Czas jakby przestał istnieć i rok nie trwał dla mnie — bezcielesnego ducha — dłużej niż krótka chwila dla mieszkańca ziemi.

Szybkość obrotu planet jeszcze się zwiększyła i w końcu ujrzałem słońce w aureoli wielu cienkich jak włos różnokolorowych promieni — były to drogi planet pędzących z wielką szybkością wokół centralnego ognia...

...słońce stało się ogromne, jakby wyruszyło mi na spotkanie...

Minąłem orbity zewnętrznych planet i poszybowałem w stronę ziemi wylaniającej się z delikatnej błękitnej mgły i okrążającej słońce z niewiarogodną prędkością...

UWAGA. POMIMO USILNYCH STARAŃ NIE UDAŁO MI SIĘ ODCYFROWAĆ NIC WIĘCEJ W ZNISZCZONEJ CZĘŚCI MANUSKRYPTU. STAJE SIĘ ON ZNOWU CZYTELNY W MIEJSCU, W KTÓRYM ZACZYNA SIĘ ROZDZIAŁ ZATYTULOWANY: „HAŁAS W NOCY”.

ROZDZIAŁ XV

Hałas w nocy

A teraz przechodzę do opisania najdziwniejszych ze wszystkich zdarzeń, jakie przyszło mi przeżyć w domu pełnym tajemnic. To, co się wydarzyło jakiś miesiąc później, było chyba końcem świata. Ale spróbuję po kolei wszystko opowiedzieć.

Nie wiem, dlaczego nigdy do tej pory nie udało mi się opisać przebiegu wypadków w dniu, w którym miały miejsce. Może musiałem odczekać pewien czas, aby odzyskać równowagę ducha i przetrawić wszystko, co słyszałem lub widziałem. Ośmielałem się twierdzić, że miałem rację, gdyż perspektywa czasu pozwala zobaczyć rzeczy w prawdziwym świetle i opisać je ze spokojem i rozwagą. Ale to tylko dygresja.

Nadszedł koniec listopada. Historia, jaką opiszę, dotyczy wydarzeń pierwszego tygodnia tego miesiąca.

Działo się to w nocy około godziny jedenastej. Siedzieliśmy sobie z Pepperem w gabinecie, czyli w wielkim starym pokoju, gdzie zwykle czytam i pracuję. Zastanawiające, że akurat czytałem Biblię. Ostatnio dość często zacząłem zaglądać do tej wielkiej i starej księgi. Nagle ściany domu zadrżały i rozległ się słaby, niewyraźny warkot, który raptownie

przeszedł w daleki stłumiony krzyk. Dziwne, że dźwięk ten przypominał odgłos tykającego zegara, w chwili, gdy złamane zapadki powodują obsuniecie się ciężarka. Warkot nadchodził gdzieś z bardzo wysoka, z samego środka nocnego nieba. Drganie ścian nie powtórzyło się jednak. Kątem oka spojrzałem na Peppera, ale pies spał spokojnie.

Stopniowo przedziwny dźwięk oddalał się i nastąpiła cisza.

Zobaczyłem nagle światło w oknie położonym w najbardziej wysuniętej części domu, skąd widoczne są zarówno wschody, jak i zachody słońca. Jasność na zewnątrz zaskoczyła mnie i po chwili wahania podszedłem do okna i rozsunąłem zasłony. Ujrzałem wówczas wychylające się zza horyzontu słońce, które ruchem jednostajnym, niezmordowanie wędrowało ku górze. Po chwili ognista kula przeświecała już przez wierzchołki drzew. Jeszcze trochę wyżej i tak oto nastał dzień. Gdzieś z tyłu dobiegało świdrujące brzęczenie, zupełnie jakby bzykał komar. Odwróciłem się i stwierdziłem, że jest to dźwięk zegara. Kiedy patrzyłem na tarczę, wskazówki przesunęły się o całą godzinę. Wskazówka minutowa poruszała się po cyferblacie prędkiej od zwykłego sekundnika, podczas gdy krótka wskazówka szybko przeskakiwała z miejsca na miejsce. Stałem całkiem oniemiały. Chwilę później wydało mi się, że obie świece zgasły niemal równocześnie. Spojrzałem szybko w okno, zauważyłem bowiem na podłodze cień ram okiennych, który przesunął się w moją stronę, zupełnie jakby na zewnątrz ktoś prznosił wielką lampę.

Słońce wzniosło się już wysoko i nadal można było obserwować jego wędrówkę po niebie. Płynnym ruchem zatoczyło łuk i skryło się za domem. Kiedy okno znalazło się w cieniu, ujrzałem inną dziwną rzecz.

Typowe dla ładnej pogody chmury nie płynęły spokojnie po niebie, ale pędziły, gnane wiatrem, z prędkością co najmniej stu mil na godzinę. Zauważyłem też, że zmieniały kształt wiele razy na minutę, jakby wstąpił w nie jakiś niespokojny duch, po czym znikwały. Ale natychmiast zjawiały się nowe i mknęły z tą samą prędkością.

Słońce zbliżało się do horyzontu łagodnym, niemniej szybkim ruchem. Na wschodzie cienie wszystkich przedmiotów zwały się z nadchodzącym mrokiem. Wyraźnie widziałem tajemniczy taniec zdeformowanych cieni drzew poruszanych wiatrem. Był to zaiste dziwny widok.

W jednej chwili w pokoju zapanował mrok. Słońce zniżyło się do linii horyzontu i niemal w ułamku sekundy zniknęło z pola widzenia. W ciemnościach szybko zapadającego wieczoru ujrzałem srebrny sierp księżycy, który przesuwiał się z południa na zachód. Wieczór błyskawicznie przeszedł w noc. W górze ujrzałem liczne konstelacje gwiazd bezszelestnie zataczające dziwne koła w stronę zachodu. Księżyc zniknął gdzieś w bezkresnej otchłani nocy i tylko gwiazdy świeciły...

Właśnie wtedy warkot w kącie pokoju ucichł. Zrozumiałem, że mechanizm się popsuł i zegar musiał stanąć. Minęło kilka minut i znów zobaczyłem rozjaśniające się na wschodzie niebo. Szary smutny świt wyparł ciemności i ukrył pochód gwiazd. Pokryte ciężkimi ołowianymi chmurami niebo kołysało się i tańczyło, chociaż wiem, że w warunkach normalnego dnia na ziemi wydałoby się całkiem nieruchome. Słońce pozostało ukryte, ale obraz świata kolejno rozjaśniał się i ciemniał w delikatnych smugach światła i cienia...

Światło przesuwawało się wciąż na zachód i w końcu na ziemię spłynęła noc, która przyniosła obfity deszcz i przeraźliwe wycie wiatru. Całonocne zwodzenie wichury nie trwało jednak minuty.

Kiedy huragan umilkł, chmury rozsunały się i znów ujrzałem niebo. Gwiazdy z zadziwiającą szybkością przesuwały się na zachód. Po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, że chociaż wycie wiatru ustało, wciąż jeszcze mam w uszach monotonny daleki szum. Dopiero kiedy stał się wyraźny, zrozumiałem, że musiał mi towarzyszyć przez cały czas. Był to szum poruszającego się świata.

Jednocześnie horyzont na wschodzie znów zajaśniał złotym blaskiem. Tym razem słońce wschodziło nie dłużej, niż trwa kilka uderzeń serca. Czerwona kula świeciła za, drzewami, a potem nad ich wierzchołkami. Wznosiła się coraz wyżej, aż wszędzie stało się jasno. Szybkim, miarowym ruchem słońce osiągnęło swój zenit, po czym zaczęło się chylić ku zachodowi. W ten sposób w ciągu krótkiej chwili minął dzień. Kilka jasnych chmur popłynęło na północ i zniknęło. Słońce wykonało gwałtowny skok i po paru sekundach otoczyła mnie szarość zapadającego zmierzchu.

W południowej, a potem zachodniej części nieba żeglował księżyc. Nadeszła noc. Jeszcze chwila i oto księżyc opuścił czarne przestrzenie nieba, a horyzont na wschodzie zajaśniał nadchodzącym świtem. Słońce skoczyło w górę z zatrważającą gwałtownością i jeszcze szybciej niż poprzednio osiągnęło zenit. Potem ujrzałem nowe zjawisko. Z południa zaczęła napływać czarna, gradowa chmura i w ciągu krótkiego czasu zasłoniła całe niebo. Kiedy się zbliżała, widziałem jej nabrzmiałe deszczem cielsko, wirujące i falujące z koszmarną sugestywnością, które zakryło niebo niczym czarne sukno monsturalnych rozmiarów. Zaczął padać ulewny deszcz i tysiące oślepiających błyskawic kaskadami spływało na ziemię. Szum świata ucichł zagłuszony przez ryk wiatru i w uszach poczułem silny ból wywołany głośnym grzmotem piorunów.

W środku burzy nadeszła noc, potem, w ciągu jednej chwili burza

minęła i słyszałem tylko jednostajny, daleki szum wędrujących ciał niebieskich. Na niebie gwiazdy kierowały się na zachód. Ich niesamowita szybkość uświadomiła mi po raz pierwszy, że ogromna ciemna masa, wyraźnie poruszająca się w ich świetle, to krążący z nieopisaną prędkością wszechświat.

Świt i słońce pojawiły się jednocześnie; słońce zakreślało długą krzywą, osiągnęło zenit, opadło nad horyzont i zniknęło. Nawet nie wiem, kiedy minął wieczór, tak krótko trwał. Potem widziałem wędrujące konstelacje i śpieszący na zachód księżyc, który świecił na czarnym niebie dosłownie kilka sekund, po czym) znów nastał świt.

Zauważyłem teraz dziwne przyśpieszenie. Słońce wykonało jeden wyraźny skok na niebie i zniknęło za horyzontem na zachodzie. Z podobnym pośpiechem minęła kolejna noc.

Kiedy nadszedł dzień, ujrzałem padający na ziemię śnieg. Przyszła noc, a po niej niemal natychmiast dzień. Słońce wyjrzało na chwilę i zobaczyłem, że śnieg zniknął. Potem znów była noc.

Muszę przyznać, że chociaż widziałem już w życiu wiele nieprawdopodobnych zjawisk, ale nigdy jeszcze zdziwienie moje nie było tak wielkie. Stałem się bowiem świadkiem, trwających zaledwie kilka sekund wschodów i zachodów słońca; w nocy obserwowałem dziwne skoki srebrnego, wciąż powiększającego się księżyc, który z zatrważającą prędkością żeglował szerokim łukiem po nieboskłonie, jakby uciekał przed ścigającym, go słońcem. Potem znów widziałem noc z tajemniczym ruchem gwiazd. Trudno było się nie dziwić, jeśli świt zlewał się ze zmierzchem, a noc coraz szybciej przechodziła w dzień.

Trzy kolejne wędrówki słońca po niebie ukazały pokrytą śniegiem ziemię, która w nocy, w świetle szybko przesuwanego się księżyc,

nabierała dziwnie tajemniczego wyglądu. W końcu niebo skryło się za oceanem rozkołysanych ołowianoszarych chmur, jaśniejszych w ciągu dnia, a ciemnych w nocy.

Chmury rozpierzchnęły się i jeszcze raz zobaczyłem tarczę gwałtownie skaczącego w górę słońca, a potem długi cień zmierzchu. Coraz szybciej i szybciej kręcił się świat. Każdy kolejny dzień i noc nie trwały teraz dłużej niż kilka sekund.

Później słońce zaczęło ciągnąć za sobą warkocz ognia — domyśliłem się, że powstał na skutek szybkości, z jaką poruszało się po niebie. W miarę upływu dni, z których każdy mijał szybciej od poprzedniego, słońce coraz bardziej przypominało ogromną jaskrawą kometę*, od czasu do czasu rozjaśniającą niebo. W nocy księżyc także przyjął postać komety; samotna gorejąca kula ciągnęła za sobą warkocz zimnych płomieni. Gwiazdy wyglądały teraz jak cienkie kosmyki ognia na tle czarnego nieba.

* AUTOR MA TU Z PEWNOŚCIĄ NA MYŚLI KOMETĘ W POPULARNYM ZNACZENIU TEGO SŁOWA.

Pamiętam, że w pewnej chwili oderwałem wzrok od okna i spojrzałem na Peppera. W świetle dnia zauważyłem, że pies śpi spokojnie, powróciłem więc do obserwacji dziwnych zjawisk na zewnątrz.

Słońce wystrzeliło teraz zza horyzontu niczym ogromna rakietka i drogę ze wschodu na zachód przebyło w czasie nie dłuższym od kilku sekund. Niebo wyraźnie pociemniało, a ruch chmur był tak szybki, że wzrok mój nie mógł za nimi nadążyć. Trwające mgnienie chwili nocy straciły swą intensywną czerń i obraz ognistych warkoczy przesuwających się gwiazd stał się zamazany. W miarę narastania szybkości obrotu planet słońce bardzo powoli zaczęło się kołysać w kierunku z południa na północ i z powrotem.

I tak godzinami trwałem w stanie kompletnego oszołomienia.

Przez cały ten czas Pepper wciąż spał. W końcu, czując się nieswojo i samotnie, zwołałem go cicho, ale nie zareagował. Krzyknąłem znowu, tym razem nieco głośniej. Nawet nie drgnął. Podszedłem więc do psa i chcąc zmusić go do wstania, szturchnąłem go lekko końcem buta, ale chociaż dotknięcie było bardzo delikatne, Pepper dosłownie rozpadł się na kawałki. Wcale nie przesadzam — w ułamku sekundy zmienił się w wielki stożek kości i prochu.

Przez chwilę oniemiały wpatrywałem się w bezkształtne szczątki cielesnej powłoki wiernego przyjaciela. Czulem zamęt w głowie. Nie mogłem zrozumieć, co się stało i skąd się wzięła ta dziwna góra szarego pyłu. Kiedy poruszyłem ją lekko stopą, przyszło mi na myśl, że powstała pewnie w ciągu bardzo długiego czasu. Kilkunastu, a może kilkudziesięciu lat.

Za oknem świat tonął w rozedrganym nużącym blasku; stałem w pokoju starając się zrozumieć, co znaczą zeschnięte kości i gruba warstwa pyłu na dywanie. Nie byłem w stanie uporządkować myśli.

Rozejrzałem się dookoła i teraz dopiero po raz pierwszy zauważyłem, jak przerażający wygląd przedstawia cały mój pokój. Zwały gruzu piętrzyły się w kątach, a gruba warstwa kurzu pokrywała wszystkie meble. Dywan zniknął pod całunem szarego pyłu. Kiedy zrobiłem kilka kroków, spod stóp uniosły się tumany kurzu, które drażniły w nosie i zmuszały do kichania.

Jeszcze raz spojrzałem na szczątki Peppera i zatrzymawszy się usiłowałem zebrać myśli. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście upłynęły wszystkie te długie lata, a niesamowity obraz wirującego wszechświata nie jest jedynie wytworem chorej wyobraźni. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Nie zwlekając zacząłem iść — po raz pierwszy

zauważyłem, że posuwam się chwiejnym krokiem — w stronę wielkiego lustra. Gruba warstwa brudu na jego powierzchni całkiem zasłaniała moje odbicie. Trzęsącymi się rękami zacząłem ścierać kurz i w końcu ujrzałem twarz. Moje podejrzania w pełni się sprawdziły. Zamiast wysokiego, czerstwego mężczyzny, który wcale nie wyglądał na pięćdziesiąt lat, miałem przed sobą obraz zgiętego wpół, zgrzybiałego staruszka o zgarbionych plecach i twarzy poranej zmarszczkami. Kruczoczarne kilka godzin temu włosy były teraz śnieżnobiałe. Tylko oczy nie straciły dawnego blasku. Stopniowo odkrywałem w wiekowym staruszku ślady podobieństwa do mężczyzny, jakim byłem.

Odwrociłem się i pokuśtykałem w stronę okna. Zrozumiałem, że jestem stary, a mój chwiejny krok zdawał się potwierdzać ten fakt. Zamysłony obserwowałem zamazany obraz zmieniającego się krajobrazu. W ciągu niespełna minuty upłynął rok. Rozzłoszczony machnąłem ręką i szybko odsunąłem się od okna. Jednocześnie zauważyłem, że moja dłoń trzęsie się od starczego paraliżu i na ten widok krótki szloch wyrwał mi się z piersi.

Dygocząc na całym ciele zacząłem przechadzać się między oknem a stołem i rozglądałem się wokół niespokojnie. Jakże nieporządnie wyglądał cały pokój. Wszędzie leżał kurz. Żelazny parawan przed kominkiem pokryła rdza. Łańcuchy podtrzymujące mosiężne ciężarki zegara dawno już przeżarła rdza, a same ciężarki leżały na podłodze niczym dwa pokryte śnieżką stożki.

Wodząc wzrokiem po pokoju wyraźnie widziałem zmurszałe i rozpadające się meble. Nie było to żadne przywidzenie, gdyż w pewnej chwili wypełniona książkami półka na jednej ze ścian runęła na ziemię, przegniłe drewno rozpadło się na kawałki, a książki wznosząc chmurę

duszącego pyłu rozsypały się w nieładzie po podłodze.

Czułem się nieludzko zmęczony. Przy każdym ruchu słyszałem, jak trzeszcza mi stawy. Byłem ciekaw, co stało się z siostrą. Czyżby i ona nie żyła? Wszystko wydarzyło się tak szybko i nagle. Nie ulegało kwestii, że widziałem początek końca świata. Pomyślałem, że powinienem odnaleźć Marię, ale zupełnie nie miałem sił. Poza tym siostra tak dziwnie zachowywała się parę dni temu. Parę dni temu! Powtórzyłem te słowa i rozśmiałem się smutno, zrozumiałem bowiem, że wspominam czas sprzed połowy stulecia. Czyżby tylko połowy? A może dwa razy tyle!

Powoli, zbliżyłem się do okna i jeszcze raz wyjrzałem na zewnątrz. Noce i dni wyglądały teraz jak wielkie mrugnięcia światła i cienia. Z każdą chwilą prędkość upływającego czasu zwiększała się, a księżyc zaczął przypominać rozedrganą smugę bladego ognia, która z wyraźnej linii światła zmieniała się w mglistą, chwilami znikającą ścieżkę.

Dnie i noce mijały coraz szybciej. Światło dnia przygasło i wokół zapanaował dziwny mrok. Noce stały się teraz tak jasne, że aż trudno było zobaczyć, gdzie świecą gwiazdy, i tylko czasami dostrzegałem ognisty warkocz, który kołysał się wraz z księżycem.

Coraz szybciej i szybciej dzień przechodził w noc i oto nagle odniosłem wrażenie, że zmiany całkiem ustały. Świat tonął w blasku niezmiennego światła pochodzącego z wiecznej rzeki ognia, która wielkimi skokami przesuwała się w górę i w dół, na północ i południe.

Niebo wyraźnie pociemniało i jego prawie czarna powierzchnia rzucała ponury cień na ziemię. Jednocześnie pozostało przerażająco przejrzyste i straszło swą niezbadaną głębią. Chwilami widziałem ciemną smugę ognia, która zmierzała w stronę błyszczącej rzeki słońca, a potem

na przemian znikala i odradzała się. Wiedzialem, że jest to prawie niewidoczny księżyc.

Obserwując krajobraz znów usłyszałem znajomy niewyraźny dźwięk, przypominający warkot. Wydawał się nadchodzić od strony rozkołysanego strumienia słońca. A może był rezultatem niesłuchanie szybkich zmian na powierzchni ziemi? Co kilka sekund gruba warstwa śniegu otulała świat, po czym szybko znikala, zupełnie jakby niewidoczny olbrzym rozkładał i zdejmował białe prześcieradło.

Czas płynął i czułem się coraz bardziej stary i zmęczony. W końcu opuściłem okno i zacząłem przemierzać pokój, a kurz tłumił odgłosy moich kroków. Każdy następny krok kosztował mnie więcej wysiłku od poprzedniego. Kiedy zataczając się, niepewnie torowałem sobie drogę, czułem we wszystkich członkach trudny do zniesienia ból.

Doszedłem do ściany i zmęczony przystanąłem usiłując sobie przypomnieć, jaki jest właściwie cel mego spaceru. Spojrzałem w bok i zauważyłem stary fotel. Perspektywa odpoczynku podniosła mnie nieco na duchu. Byłem przecież stary i bardzo zmęczony. Chwiejąc się na nogach modliłem się w duchu, abym zdołał przejść te kilka kroków do fotela. Nigdy w życiu nie byłem tak wyczerpany. Tęsknym wzrokiem spoglądałem na podłogę jak na miejsce, gdzie mógłbym odpocząć, ale pokrywała ją gruba warstwa czarnego pyłu. Wreszcie zmobilizowałem wszystkie siły i pokonałem niewielką odległość dzielącą mnie od fotela. Usiadłem z westchnieniem ulgi.

Wnętrze pokoju rozplywało się w zapadającym zmierzchu. Wszystko wydawało się takie dziwne, wprost nie do uwierzenia. Jeszcze wczoraj byłem dość silnym, chociaż już starszym mężczyzną i cóż się ze mną stało w ciągu zaledwie kilku godzin? Zerknąłem na niewielki stożek

prochu — resztki po Pepperze. Czyżby minęły tylko godziny? Roześmia-
łem się słabym, pełnym goryczy śmiechem, który zabrzmiał jak skrze-
czący pisk, drażniąc uśpione zmysły.

Później chyba zasnąłem. Nagle, przerażony, szeroko otworzyłem
oczy. Z głębi pokoju dobiegał przytłumiony odgłos spadających przed-
miotów. Spojrzałem w stronę, skąd dochodził, i jak przez mgłę ujrzałem
chmurę pyłu wznoszącego się nad stertą gruzu. Coś ciężkiego upadło z
wielkim hukiem niedaleko drzwi. Była to jedna z szaf, ale byłem zbyt
zmęczony, aby się tym bliżej zainteresować. Przymknąłem oczy i zapa-
dłem w półsen. Kilka razy słyszałem niewyraźne dźwięki, jak gdyby do-
chodziły zza grubej zasłony. Później musiałem zasnąć na dobre.

ROZDZIAŁ XVI

Przebudzenie

Obudziłem się mocno przestraszony. Przez chwilę nie mogłem zro-
zumieć, gdzie jestem. Wreszcie przypomniałem sobie...

Pokój wciąż wypełniało dziwne światło — jakby połączony blask
słońca i księżyca. Czulem się wypoczęty, męczący dokuczliwy ból minął.
Powoli zbliżyłem się do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Na niebie rzeka
ognia wciąż wznosiła się i opadała w tańczących półkolach płomienia,
nieustannie przemieszczając się na północ i południe. Czas płynął teraz
tak szybko, że nie byłem w stanie prześledzić wędrówki słońca ze
wschodu na zachód. Jedynym dostrzegalnym zjawiskiem stały się gwał-
towne skoki ognistej rzeki słońca.

I kiedy wyglądałem przez okno, nieoczekiwanie powróciło wspomnienie niedawnej podróży po Zewnętrznych Światach.*

* ZDANIE TO Z PEWNOŚCIĄ ODNOŚCI SIĘ DO WYPADKÓW OPISANYCH NA BRAKUJĄCYCH LUB ZNISZCZONYCH STRONACH RĘKOPISU (ZOB. „FRAGMENTY” S. 94).

Przypomniałem sobie obraz, jaki zobaczyłem, kiedy zbliżyłem się do Układu Słonecznego — szybko wirujące wokół słońca planety. Czas jakby stracił swą władczą moc i mechanizm wszechświata pokonywał długie stulecia w ciągu zaledwie paru godzin. Byłem pewien, że widziałem wówczas świat przyszłości. Wspomnienie pierchło; spojrzałem w okno na drgający coraz szybciej strumień słońca. Wiedziałem, że oto mija czas trwania życia kilku pokoleń.

Nagle uderzyła mnie smutna i zarazem zabawna myśl — zastanawiałem się, dlaczego właściwie jeszcze żyję. Pomyślałem o prochach psa. Jak to się stało, że nie podzieliłem jego losu? Pepper dożył pewnie późnych lat i w końcu zgasł ze starości. Ale ja wciąż żyłem, chociaż musiały upłynąć setki tysięcy wieków od spodziewanej daty mej śmierci.

Oszołomiony próbowałem uporządkować myśli. Wczoraj... — urwałem gwałtownie. Nie było przecież żadnego wczoraj! Wczoraj, o którym myślałem, rozplynęło się w bezmiarze lat minionych wieków. Od niezliczonych domysłów zaczęło mi się kręcić w głowie.

Oddalwszy się od okna rozejrzałem się po pokoju. Wydawał się jakiś dziwny, zupełnie niepodobny do znanego mi gabinetu. Nagle zrozumiałem, na czym polega różnica. Był całkiem pusty, nie znalazłem w nim żadnego mebla czy choćby jakiegoś przedmiotu. Nie zdziwiłem się jednak, gdyż zrozumiałem, że widzę oto nieunikniony rezultat procesu rozpadu, który rozpoczął się, zanim jeszcze zapadłem w sen, i trwał tyśiące, a może nawet miliony lat.

Podłogę pokrywała gruba, sięgająca niemal parapetu okna warstwa pyłu. Musiała urosnąć podczas mego snu i tworzył ją kurz nagromadzony w ciągu długich stuleci. Rozpadające się powoli meble bez wątpienia powiększały jej rozmiary i podejrzewałem, że gdzieś w środku spoczywają prochy mojego dawno nieżyjącego Peppera.

A jednak zupełnie nie pamiętałem, abym po przebudzeniu stąpał zanurzony po kolana w pyłe. Zrozumiałem, iż minął nieprawdopodobnie długi czas, odkąd zbliżyłem się do okna, był on jednak krótką chwilą wobec niezliczonych lat, jakie musiały upłynąć w trakcie mego snu. Przypomniałem sobie teraz, że zasnąłem siedząc. Czyżby mebel się rozpadł? Przyjrzałem się miejscu, w którym kiedyś stał. Oczywiście nie było żadnych śladów mebla. Zastanawiałem się, czy fotel zniknął w czasie snu, czy zaraz po moim przebudzeniu. Gdyby załamał się pode mną, na pewno obudziłbym się spadając na ziemię. Chociaż gruby, przykrywający podłogę pył mógł złagodzić siłę mego upadku. Czyżbym leżąc w miękkim kurzu przespał miliony lat?

Podobne myśli bez końca przelatywały mi przez głowę. Od niechcenia jeszcze raz spojrzałem na miejsce, gdzie kiedyś stał fotel. Po raz pierwszy zauważyłem, że ślady moich stóp między meblem a oknem gdzieś zniknęły. No, ale minęły przecież całe stulecia od chwili, kiedy się przebudziłem.

Jeszcze raz przyjrzałem się uważnie miejscu, gdzie na pewno stał kiedyś fotel. Tym razem, wyteżywszy wzrok, zobaczyłem coś konkretnego, jakiś falisty długi kształt pod grubą powłoką kurzu. Widziałem wyraźne wybrzuszenie pod wiekowym pyłem i domyśliłem się, skąd pochodzi. Zdrętwiałem z przerażenia, uświadomiwszy sobie, że to, co widzę, jest ciałem człowieka zmarłego przed wiekami, niedaleko miejsca, gdzie zasnąłem. Człowiek leżał na prawym boku, plecami zwrócony w

moją stronę. Wzrok mój wyłowił każde załamanie i dokładny zarys ciała, którego kontury łagodził miękki czarny pył. Snułem różne domysły, starając się odgadnąć przyczynę obecności człowieka na podłodze. Nagle, ku memu nieopisanemu zdziwieniu, zrozumiałem, że ciało leży w miejscu, gdzie musiałem upaść po złamaniu się fotela.

Zaczęła innie teraz prześladować myśl, która wstrząsnęła mną do głębi. Wydawała się straszna i odpychająca, w końcu jednak przekonała mnie swą oczywistością. Ciało, które skryło się pod całunem kurzu, było ni mniej, ni więcej tylko moją własną cielesną powłoką. Nie potrzebowałem na to żadnych, dowodów. Miałem niezbitą pewność, że tak właśnie jest, i aż dziwiłem się, iż wcześniej na to nie wpadłem. Byłem więc teraz bezcielesną zjawą!

Przez chwilę trwałem w bezruchu starając się oswoić z nową myślą. W miarę upływu czasu — sam nie wiem, jak wielu tysięcy lat — osiągnąłem pewien spokój umożliwiający obserwację dziejących się wokół zjawisk.

Widziałem, jak długi, falisty kształt rozpada się i niknie w wypełniającym pokój pyłe. Wkrótce świeży lekki kurz kolejnych lat przykrył rozpadającą się materię minionych wieków. Długą chwilę stałem odwrócony plecami do okna. Powoli odzyskiwałem równowagę ducha, podczas gdy świat niezmiernie pokonywał stulecia śpiesząc ku przyszłości.

Zacząłem dokładnie oglądać pokój. Czas wszędzie dokonał już dzieła zniszczenia i nie oparł mu się nawet dziwny stary dom. Fakt, że nie zawalił się przez wszystkie długie lata, był jeszcze jednym dowodem, jak bardzo różnił się od normalnych budowli. Jakoś nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad jego długowiecznością. Sam nie wiem dlaczego. Dopiero teraz, po głębszym namyśle, doszedłem do wniosku, że nie

mógł być zbudowany ze zwyczajnego materiału, gdyby bowiem tak było, dawno już uległby niszczycielskiemu działaniu czasu. Teraz jednak zaczynał się powoli rozpadać. Tynk zniknął ze ścian, a wszystkie drewniane przedmioty nie istniały już od wieków.

Kiedy stałem zatopiony w myślach, usłyszałem cichy brzęk, kryształowa szyba niewielkiego, podłużnego okna rozprysła się na drobne kawałki, które spadły na pokryty grubym pyłem parapet. Po chwili ujrzałem światło w szparze między kamieniami zewnętrznej ściany domu. Domyśliłem się, że zaprawa murarska zaczęła się rozkruszać...

Jeszcze raz poszukałem wzrokiem okna. Czas płynął z niesłychaną prędkością. Migotanie słonecznego strumienia było teraz tak szybkie, że zamieniło tańczące półkola płomienia w zasłonę ognia, która zakryła połowę południowego nieba od wschodu do zachodu.

Przeniosłem wzrok z nieba na ogród. Wyglądał jak zamazana brunatnozielona plama. Odniosłem wrażenie, że drzewa przybliżyły się do domu i do okna mego pokoju, jak gdyby ogród się rozrósł. Pozostał jednak wciąż w dole, gdyż skała nad otworem wąwozu, na której stoi dom, jest bardzo wysoka.

Dopiero później zauważyłem, że brunatnozielony kolor ogrodu zaczyna się zmieniać, coraz bardziej blednie i wreszcie przechodzi w biel. Minął jakiś czas, drzewa przybrały szarobiałą barwę i takie pozostały przez bardzo długo. W końcu jednak ich szarość zaczęła tracić swą intensywność, tak jak się to przedtem stało z zielenią, i przeszła w martwą biel. Więcej zmian w krajobrazie już nie zauważyłem, pozostał niezmienny i nieruchomy, domyśliłem się więc, że północna część świata skryła się pod śniegiem.

I tak mijały miliony lat, czas nieubłaganie zmierzał do kresu swej wędrówki — końca świata — który zawsze wydawał się czymś bardzo

dalekim i tajemniczym, teraz jednak zbliżał się z zastraszającą szybkością.

Pamiętam, iż ogarnęła mnie wtedy trudna do zwalczenia i jednocześnie chorobliwa ciekawość, jak wygląda koniec świata, i dziwiłem się, że nie mogę sobie tego wyobrazić.

Tymczasem trwał nieubłagany proces rozkładu materii. Nieliczne pozostałe kawałki szkła już dawno zniknęły. Od czasu do czasu jakiś głuchy łoskot albo niewielka chmura wznoszącego się pyłu uświadamiały mi, że oderwał się kolejny kawałek tynku lub muru,

Jeszcze raz rzuciłem okiem na migoczącą wysoko w południowej części nieba zasłonę. Wydało mi się teraz, że ogień stracił swą poprzednią intensywność i nabrał ciemniejszej, głębszej barwy.

Spojrzałem na zamazany, wyblakły obraz świata, a potem znów na zasłonę ciemnego płomienia, która była słońcem. Duży cichy pokój, pokryty dywanem wielowiekowego pyłu, ogarniały coraz większe ciemności...

I kiedy głęboko zatopiony w myślach śledziłem ulatujące lata, poczułem nagle nową falę zmęczenia.

ROZDZIAŁ XVII

Zamierające obroty wszechświata

Minęło chyba milion lat i nie miałem już cienia wątpliwości, że rozedrgana zasłona oświetlająca świat zaczyna powoli gasnąć.

Upłynął jeszcze jeden wiek i potężny płomień migotał teraz miedzianym blaskiem, który stopniowo nabierał czerwonego połysku i chwilami przechodził w intensywną purpurę dziwnie przypominającą krew.

Światło było teraz słabsze, chociaż słońce poruszało się z tą samą szybkością i ognista zasłona nadal rozciągała się na niebie.

O ile się mogłem zorientować, świat skrył się w ponurym mroku, jak gdyby jego koniec miał już niedługo nastąpić.

Słońce najwyraźniej gasło, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, ale ziemia nie przestała poruszać się w czasie i przestrzeni. Pamiętam, że ogarnęło mnie wtedy wielkie zdziwienie. Zatopiony w myślach gubiłem się w dziwnym chaosie fragmentarycznych wspomnień współczesnych teorii i starej biblijnej historii o końcu świata.

Potem po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, że słońce z całym układem planet od wieków wciąż podróżuje w przestrzeni z niezwykłą szybkością. Tylko dokąd tak zmierza? — męczyło mnie pytanie. Przez chwilę starałem się znaleźć na nie odpowiedź, ale stwierdziwszy jałowość moich wysiłków, zacząłem rozmyślać o innych sprawach. Byłem ciekaw, ile lat zdoła wytrzymać jeszcze dom i czy pozostanę bezcielesnym duchem na ziemi, nawet kiedy świat zniknie w nadchodzących ponad wszelką wątpliwość ciemnościach. I znów próbowałem zgadnąć, w jakim kierunku podąża słońce. Tymczasem mijały kolejne wieki.

W miarę upływu lat poznałem chłód mroźnej zimy. Zrozumiałem, że gasnące słońce przyczyniło się do spadku temperatury. Kiedy stulecia przechodziły w wieczność, na ziemię powoli spływał coraz intensywniejszy, czerwony mrok. Ciemny płomień na, firmamencie migotał teraz posępny, mętnym blaskiem.

Potem wydało mi się, że dostrzegam wreszcie jakąś zmianę. Rozedrgana zasłona ciemnego ognia, która zakrywała południową część nieba, nieoczekiwanie zmniejszyła się i skurczyła. Znów ujrzałem przesuwający

się z zawrotną prędkością na północ i południe strumień słońca, którego ruch przypominał drgania gwałtownie poruszanych strun harfy.

Zasłona ognia stopniowo znikła i wyraźnie widziałem słabnący, chociaż wciąż szybki rytm słonecznego strumienia. Jednocześnie nieustannie zmniejszał się blask gorejącego w górze łuku. W dole majaczył świat — zamazana ponura kraina.

Na niebie rzeka płomienia toczyła się coraz wolniej i wolniej i ociążalym trwającym parę sekund ruchem! przeskakiwała na północ i południe. Znów minęła spora chwila i teraz jedno przepłynięcie rzeki trwało niecałą minutę. Kolejne ruchy stały się nie do odróżnienia i po martwym niebie zaczął płynąć jednostajny strumień ciemnego płomienia.

Nie wiem, ile lat upłynęło, kiedy nagle łuk ognia zaczął tracić swe kontury. Był teraz znacznie mniejszy i od czasu do czasu wydawało mi się, że widzę ciemne smugi. W końcu płynny ruch ustał i świat na krótką chwilę regularnie niknął w mroku.

Znów nad męczącą swym widokiem ziemię zaczęła wracać noc w miarowych odstępach.

Noce i dni nieustannie wydłużały się i trwały teraz po kilka sekund. Jeszcze raz pokazało się słońce. Przypominało niewyraźną miedziano-czerwoną kulę ciągnącą za sobą welon połyskliwej mgiełki. Odpowiednikami ciemnych linii, jakie chwilami ukazywały się w tym welonie, były wielkie czarne pasy na zamazanej powierzchni słońca.

I tak mijał rok za rokiem. Dnie i noce trwały już minuty. Słońce zgubiło gdzieś swój warkocz. Obserwowałem teraz, wschody i zachody olbrzymiej kuli o połyskliwym, miedzianobrunatnym odcieniu, w pewnych miejscach obrzeżonej paskiem koloru krwi, a w innych poprzecznanej ciemnymi pasami, o których już wspomniałem. Zarówno czerwone, jak i czarne obręcze były różnej grubości. Przez chwilę zastanawiałem

się nad przyczyną ich powstania. Doszedłem do wniosku, że słońce stygło nierównomiernie i ślady na jego powierzchni były prawdopodobnie rezultatem różnicy temperatur odległych od siebie rejonów; czerwień znaczyła miejsca najgorętsze, natomiast czern te najbardziej wyziębłe.

Najpierw nie mogłem zrozumieć, dlaczego gasnące części słońca wyglądają jak równomierne pasy, ale potem wydedukowałem, że mogły to być plamy, którym nieprawdopodobna szybkość przesuwającej się kuli nadawała wygląd pasów. Samo słońce było znacznie większe niż kiedyś i domyśliłem się, że musiało znajdować się dużo bliżej ziemi.

W nocy nadal świecił księżyc *, ale mały i daleki, a jego światło było teraz ciemne i słabe, zupełnie jakbym widział małego, niepozornego ducha dawnego księżycy.

* NIE ZNAJDUJĘ DALEJ ŻADNYCH WZMIANEK NA TEMAT KSIĘŻYCA. Z PRZYTOCZONEGO OPISU WYNIKA, ŻE NASZ SATELITA ZNACZNIE ODDALIŁ SIĘ OD ZIEMI. NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE W MIARĘ UPLYWU STULECI, CAŁKIEM OPUŚCIŁ STREFĘ PRZYCIĄGANIA ZIEMSKIEGO. POZOSTAJE MI TYLKO ŻAŁOWAĆ, ŻE SPRAWA TA NIE ZOSTAŁA WYJAŚNIONA DO KOŃCA.

Dnie i noce nie przestawały się wydłużać, aż w końcu trwały prawie całą dawną godzinę; słońce wschodziło i zachodziło niczym wielki czerwobrnatny krążek poprzecinany czarnymi jak atrament pasmami. Mniej więcej w tym czasie znów zobaczyłem ogród za oknem, bowiem świat na zewnątrz jakby zastygł w bezruchu. Muszę jednak przyznać, że to, co ujrzałem, trudno było nazwać ogrodem, jaki otaczał kiedyś dom. Zamiast drzew jak okiem sięgnąć rozpościerała się wielka równina. Nieco z lewej strony ujrzałem niski łańcuch wzgórz. Ziemię pokrywała jednolita biała warstwa śniegu. Tu i ówdzie widać było grzbiet pola

lodowego lub jakieś małe wzniesienie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że musiało napadać ogromnie dużo śniegu. Miejscami wydawał się bardzo głęboki — na przykład z prawej strony wyrastała nieruchoma, falista góra śniegu, chociaż niewykluczone, że częściowo powstała w wyniku ruchów tektonicznych ziemi. Dziwne, że wieczne śniegi nie wszędzie pokrywały wspomniane już łańcuch niskich wzgórz, wyraźnie widziałem nagie ciemne skały przeświecające w kilku miejscach. Wokół królowała uroczysta śmiertelna cisza i trwał niezmienny przerażający bezruch umierającego świata.

A dni i noce wydłużały się wyraźnie. Każdy dzień trwał teraz od świtu do zmroku około dwóch godzin. Kiedy nadeszła noc, ze zdziwieniem stwierdziłem, że na niebie świeci bardzo mało gwiazd; były niewielkie i migotały niezwykle mocnym blaskiem, którego intensywność tłumaczyłem kontrastem z czarnym czystym niebem.

Daleko na północy wzrok mój wyłowił jakąś mglistą jasność, przypominającą fragmenty Drogi Mlecznej. Mogła to być daleka gwiazdna konstelacja albo — olśniła mnie nagle myśl — gwiazdny wszechświat, który zdążyłem poznać, a potem opuściłem na zawsze — mała, niewyraźnie migocząca gromada gwiazd, gdzieś daleko w niezbadanych przestrzeniach.

A dni i noce powoli wydłużały się. Każdego ranka słońce wydawało się ciemniejsze, a czarne pasy na jego powierzchni szersze.

Mniej więcej w tym czasie coś się wydarzyło. Słońce, ziemia i niebo pociemniały gwałtownie i całkiem zniknęły na krótką chwilę. Niewiele mogąc dojrzeć, domyśliłem się, że gęsty śnieg znów zaczął prószyć na ziemię. Potem w ciągu ułamka sekundy zakrywająca świat zasłona opadła, odsłaniając precudny widok. Na równinie, gdzie stoi dom z ogrodem,

leżała warstwa śniegu.* Parapet okna zniknął pod białą czapą. W lekkim puchu odbijały się ponure miedziane promienie gasnącego słońca. Cały świat stał się jedną wielką białą równiną.

* PRAWDOPODOBNIIE ZAMARZNIĘTE POWIETRZE.

Spojrzałem w górę na słońce. Jego blask był wyraźnie przyćmiony. Obserwowałem ognistą kulę jak człowiek, który dopiero po raz pierwszy ją zobaczył. Niebo wokół słońca nabrało czarnego intensywnego odcienia i wydawało się przerażająco bliskie, niezbadane i odpychające. Przez dłuższą chwilę, do głębi wstrząśnięty i przerażony, nie spuszczałem z niego wzroku. Dlaczego było tak blisko? Gdyby zobaczyło je dziecko, powiedziałoby pewnie, że niebo spadło na ziemię.

Później rozejrzałem się dookoła i zauważyłem w pokoju biały cienki całun, niewyraźny w przyćmionym świetle gasnącego słońca. Biała powłoka przyłgnęła do rozpadających się murów i ukryła miękki, nagromadzony przez stulecia kurz, który sięgał mi kiedyś kolan. Śnieg musiał wpaść do pokoju przez, puste otwory okienne. Płatki nie wirowały, ale leżały spokojnie, szczelnie wypełniając zakamarki starego pokoju. Nie pamiętam, aby w ciągu minionych tysiącleci wiał wiatr, musiał jednak spaść śnieg. **

* PRÓBA WYTŁUMACZENIA OBECNOŚCI ŚNIEGU W POKOJU.

Cisza zapanowała nad ziemią. Mróz był siarczysty; chyba żaden człowiek nigdy nie doświadczył tak wielkiego zimna.

Podczas dnia na ziemię sływał posępny blask, którego natury nie potrafię opisać. Miałem wrażenie, jakbym poprzez brunatne morze oglądał wielką równinę.

Zrozumiałem, że obroty ziemi stają się coraz wolniejsze.

Koniec nastąpił w ułamku sekundy. Nadeszła najdłuższa ze wszystkich noc, a kiedy wreszcie nad horyzontem ukazało się gasnące słońce,

byłem tak zmęczony ciemnością, że powitałem je jak starego przyjaciela. Wznosiło się miarowo, aż nagle zawisło nad horyzontem, cofnęło i oto wielka tarcza na niebie zamarła w bezruchu. * Jedyne światło wysyłała teraz jasna otoczka wokół słońca oraz cienkie pasemko w pobliżu równika.

* DZIWI MNIE, ŻE AUTOR PRZESTAŁ WSPOMINAĆ O STAŁYM RUCHU SŁOŃCA NA PÓŁNOC I POŁUDNIE, OD PRZESILENIA DO PRZESILENIA.

Ale stopniowo nawet i ta nitka światła zgasła i po wielkim wspaniałym słońcu został jedynie rozległy martwy krążek, okolony cieniutkim pasemkiem brunatnoczerwonego światła.

ROZDZIAŁ XVIII

Zielona Gwiazda

Świat tonął w ponurym mroku, wydawał się zimny i straszny. Na zewnątrz panowała przerażająca cisza. Od czasu do czasu w sąsiednim ciemnym pokoju rozlegał się przytłumiony hałas.** Były to odgłosy rozpadającej się materii, walących się części murów. Czas mijał i nad światem zapanowała noc, spowijając go w nieprzeniknione ciemności.

** W OWYM CZASIE ZDOLNA DO PRZENOSZENIA DŹWIĘKU ATMOSFERA MUSIAŁA BYĆ ALBO MOCNO ROZRZEDZONA, ALBO PRAWDOPODOBNIIE PRZESTAŁA W OGÓLE ISTNIEĆ. W ZWIĄZKU Z POWYŻSZYM NIE PRZYPUSZCZAM, ABY JAKIEKOLWIEK ODGŁOSY MOGŁY BYĆ SŁYSZANE PRZEZ NORMALNEGO CZŁOWIEKA.

Niebo, jakie oglądamy zazwyczaj wieczorem, przestało istnieć. Zniknęły nawet nieliczne, rozsiane tu i ówdzie gwiazdy. Czulem się, jak człowiek zamknięty w ciemnym pokoju, w którym zatrzaśnięto okiennice. Jedyne jasniejszym punktem była szeroka obręcz pośpępnego ognia.

Świeciła na północy mglistym łagodnym blaskiem. Oprócz niej nie zauważyłem żadnego promyka w czeluściach otaczającej mnie nocy.

Lata miały niepostrzeżenie. Nigdy się nie dowiem, ile czasu upłynęło. Odniosłem wrażenie, że stulecia uciekają w popłochu. Wciąż widziałem błyszczącą obręcz słońca, która zaczęła teraz na przemian zapalać się i gasnąć.

Nagle, kiedy mijał właśnie kolejny wiek, gwałtowny płomień rozjaśnił noc i na moment oświetlił imartwą ziemię odsłaniając jej płaskie przestrzenie. Źródłem światła było słońce; płomień po przekątnej wystrzelił z okolic jego środka. Patrzyłem oniemiały ze zdziwienia. Potem skaczący płomień zniknął i znów mrok zasłonił świat. Tym razem jednak ciemności nie były tak intensywne, gdyż wokół słońca uformowało się cienkie pasmo jasnego białego światła. Przyjrzałem mu się uważnie. Czyżby na powierzchni słońca miał miejsce wybuch jakiegoś wulkanu? Natychmiast odrzuciłem tę myśl jako niedorzeczną. Czulem, że światło jest zbyt białe i duże, abym mógł przyjąć podobną ewentualność.

Trzeba było znaleźć inne wyjaśnienie. Być może jakaś planeta spadła na słońce i w chwili zetknięcia się z jego powierzchnią zapaliła się jasnym płomieniem. Takie rozwiązanie wydało mi się bardziej prawdopodobne i lepiej tłumaczyło ogromne rozmiary i blask płomienia, który nieoczekiwanie oświetlił martwy świat.

Zaintrygowany i podniecony przyglądałem się linii białego ognia rozpraszającej mrok. W jej świetle odkryłem, że słońce wciąż porusza się z niesłabnącą prędkością. Wiedziałem więc, że mijają kolejne, niezliczone lata, chociaż życie, światło i czas ziemi należą już do dalekiej przeszłości.

Po gwałtownym wybuchu ognia jedynym światłem była otaczająca

słońce obręcz jasnego płomienia. Kiedy się jej dokładniej przyjrzałem, zauważyłem, że stopniowo zaczyna nabierać czerwonego odcienia, który z kolei przechodzi w ciemnomiedzianą barwę, tak jak się to przedtem działo ze słońcem. Później ciemna obręcz zaczęła migotać; zapalała się na moment, to znów gasła. W końcu całkiem zniknęła. I tak w czasie, który dopiero nastąpi, ponury świat krążył w zupełnej ciszy dookoła ciężkiej masy martwego słońca.

Nie potrafię opisać stanu mego umysłu w owym, okresie. Chaotyczne myśli domagały się uporządkowania. W miarę mijania lat, coraz intensywniej odczuwałem samotność, a posępny mrok, który spłynął na ziemię, potęgował jeszcze nią rozpacz i przygnębienie. Zacząłem się obawiać, że czarna noc będzie trwać w nieskończoność i na samą myśl o tym zapłakałem jak dziecko. Po chwili jednak poczułem się trochę lepiej, a nawet zacząłem żywić niczym nieuzasadnioną nadzieję. I tak cierpliwie czekałem.

Od czasu do czasu dochodziły mnie z sąsiedniego pokoju przytłumiane odgłosy rozpadającej się materii. W pewnej chwili rozległ się głośny huk i obejrzałem się instynktownie, zapominając na moment, że w domu panują nieprzeniknione ciemności. Potem wzrok mój powędrował w stronę nieba, a właściwie jego północnej części. Zamglona jasność wciąż była widoczna. Odniosłem nawet wrażenie, że światło jest teraz wyraźniejsze. Przez chwilę nie odrywałem od niego wzroku czując, iż jego widok w jakiś sposób zmniejsza mą samotność i przypomina minioną przeszłość. Dziwne, jakie głupstwa potrafią nas czasem podnieść na duchu. Gdybym wtedy wiedział... Opiszę to jednak we właściwym czasie.

Mijały wieki i wcale nie odczuwałem potrzeby snu, co byłoby nie do pomyślenia w normalnych ziemskich warunkach. Wiem, że powitałbym

sen z prawdziwą radością znajdując wreszcie wyzwolenie od męczących myśli.

Kilka razy nieprzyjemny rumor spadającej części muru przerywał moje medytacje. Nagle odniosłem wrażenie, że słyszę jakieś szepty w pokoju obok. Byłem jednak pewien, że nic nie zobaczę w spowijającym dom nieprzeniknionym mroku. Czarne jak atrament ciemności zaczęły pobudzać mą wyobraźnię, odczuwałem je wszystkimi zmysłami niczym coś martwego, miękkiego i lodowatozimnego.

Ogarnęły mnie rozpacz i niepokój, które ustąpiły później miejsca ponurym rozmyślaniom. Wiedziałem, że nie powinienem się im poddawać i chcąc się od nich uwolnić, wyrząłem przez okno. Szukałem białego światła na północy, przekonany, iż jest ono dalekim blaskiem znanego wszechświata. Kiedy jednak podniosłem wzrok, zadrżałem ze zdziwienia – zamglone światło zmieniło się teraz w wielką jasną Zieloną Gwiazdę.

Kiedy zafascynowany wpatrywałem się w niebo, przyszło mi na myśl, że ziemia zbliża się raczej w stronę Gwiazdy, a nie oddala, jak mi się przedtem wydawało. A może w dalekiej przeszłości ziemia nie porzuciła całego wszechświata, tylko jakąś luźną Gwiazdę należącą do nieznannej, ukrytej w ogromnych przestrzeniach międzyplanetarnych gromady gwiazdnej? Pełen rozbudzonej ciekawości i narastającego zdziwienia zastanawiałem się, jakie to nowe zjawiska przyjdzie mi jeszcze obejrzyć.

Przez chwilę różne myśli i przypuszczenia zaprzętały mą uwagę, ani na moment nie oderwałem jednak wzroku od jasnego punktu połyskującego na czarnej płaszczyźnie nieba. I znów odżyła nadzieja, pokonując rozpacz, której przedtem uległem. W jakimkolwiek kierunku podążała ziemia, nie miałem wątpliwości, że raz jeszcze śpieszyła w stronę światła.

O, błogosławiona jasności! Trzeba spędzić długie lata w środku niekończącej się nocy, aby zrozumieć pełną grozę życia bez światła.

Byłem prawie pewien, że powoli zbliżam się do Zielonej Gwiazdy, której blask swą intensywnością przypominał dawnego Jowisza. Gwiazda wciąż rosła, jej kolor nabierał głębi i wkrótce wyglądała jak wielki szmaragd wysyłający w przestrzeń ogniste promienie.

W miarę upływu lat Zielona Gwiazda zmieniła się w ogromną plamę ognia na niebie. Nieco później zobaczyłem nowe zjawisko. Gigantyczny ponury sierp księżyca pojawił się nieoczekiwanie w środku czarnej nocy. Patrzyłem na niego oszołomiony. Świecił stosunkowo całkiem blisko; zachodziłem w głowę, jak mogłem nie zauważyć, kiedy ziemia zbliżała się do niego.

Światło wysyłane przez Gwiazdę stawało się coraz mocniejsze i wkrótce znów mogłem zobaczyć niewyraźny zarys ziemi. Wyteżyłem wzrok, próbując wyłowić jakieś szczegóły na jej powierzchni, ale wciąż było za ciemno. Po chwili zrezygnowałem z dalszych usiłowań i jeszcze raz spojrzałem w stronę Gwiazdy, która tymczasem zdążyła urosnąć do rozmiarów jednej czwartej księżyca w pełni. Światło, jakie wysyłała, było nadzwyczaj intensywne, a jego kolor swą obcością wzbudzał niepokój i nadawał światu nierealny wygląd. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na krainę cieni. Sierp księżyca świecił coraz mocniej i nabierał wyraźnego odcienia zieleni. Stopniowo Gwiazda powiększała się i jednocześnie potęgował się jej blask, aż w końcu była tak jasna, jak połowa księżyca w pełni. W tym, samym czasie! sierp księżyca wysyłał coraz więcej zielonego światła. W podwójnym blasku obu tych planet coraz wyraźniej widziałem rozciągające się przede mną pustkowia. Wkrótce oczom moim ukazał się cały świat, który wydawał się martwy, zimny i odpychający.

Później zauważyłem, że wielka Zielona Gwiazda powoli opuszcza swe miejsce na północy i zaczyna przesuwać się na wschód. Na początku myślałem, iż wzrok mnie myli, ale potem nie miałem już żadnych wątpliwości. Gwiazda stopniowo opadała, a wielki zielony sierp księżycy kurczył się i kurczył, aż zamienił się w pasemko światła w kształcie łuku na tle sinego nieba. Potem zniknął w tym samym miejscu, z którego się przedtem wyłonił.

Tymczasem Gwiazda zdążyła już zbliżyć się do prawie niewidocznej linii horyzontu. Była teraz tak jasna jak księżyc w pełni, chociaż nadal nie widziałem jej tarczy, musiała bowiem znajdować się bardzo daleko, a jej rozmiary bez wątpienia były tak ogromne, że aż trudno je sobie wyobrazić.

Nagle dolna część Gwiazdy zniknęła przecięta prostą ciemną linią. Minęła minuta czy może raczej wiek i Gwiazda zniżyła się jeszcze bardziej, aż w końcu jej połowa stała się całkiem niewidoczna. Daleko na wielkiej równinie ujrzałem gigantyczny, szybko przesuwany się cień. I nagle zrozumiałem, co się dzieje. Gwiazda zachodziła po prostu za wielką kulę martwego słońca! Albo raczej słońce — posłuszne prawom przyciągania — podpłynęło do niej* ciągnąc za sobą ziemię. Tymczasem Gwiazda zdążyła już zniknąć za ogromną masą słońca. Na ziemię jeszcze raz spłynęła posępna noc.

* DOKŁADNE WCZYTANIE SIĘ W RĘKOPIS NASUWA PODEJRZENIE; ŻE SŁOŃCE ALBO PRZESUWAŁO SIĘ PO BARDZO WYDŁUŻONEJ ORBICIE, ALBO ZBLIŻYŁO SIĘ DO ZIELONEJ GWIAZDY PO ZMNIEJSZAJĄCEJ SIĘ ORBICIE I W TYM MOMENCIE, JAK SĄDZĘ, ZOSTAŁO OSTATECZNIE ZEPCHNIĘTE ZE SWEGO NACHYLONEGO TORU PRZEZ SIŁĘ GRAWITACYJNĄ WIELKIEJ GWIAZDY.

Ciemności spowodowały, iż poczułem się strasznie samotny i ogarnął mnie strach. Po raz pierwszy pomyślałem o Piekło i jego mieszkańcach.

Wróciło też jeszcze bardziej przerażające wspomnienie Potwora, który odwiedził brzeg Morza Snu i krył się gdzieś w zakamarkach starego domu. Cóż mogło się stać ze stworami? Na samą myśl o nich wzdrygnąłem się z obrzydzeniem. Strach nie ustępował i ogarnięty paniką zacząłem modlić się gorąco o jakiś promień światła, który rozproszyłby wreszcie zimne ciemności królujące nad światem. Nie potrafię powiedzieć, jak długo czekałem, musiały jednak minąć całe wieki. Wreszcie gdzieś w górze zamigotało słabe światło. Z każdą sekundą przybierało na sile. Nieoczekiwanie jasnozielony promień przeciął czarne niebo. Jednocześnie rozrósł się w potężny ogień. W dole świat pławił się teraz w szmaragdowym blasku. Ciemności ustąpiły i znów zobaczyłem Zieloną Gwiazdę, chociaż nie wiem, czy mogę ją nadal nazywać Gwiazdą, jako że była znacznie większa od dawnego słońca.

Nagle zorientowałem się, że widzę skrawek wygasłego słońca, który świecił niczym wielki sierp księżycy. Jego tarcza rosła powoli w miarę przesuwania się w moją stronę, podczas gdy Gwiazda oddalała się w prawo. Czas płynął, ziemia miarowo okrążała kolosalną kulę martwego słońca.*

* W TYM MIEJSCU CZYTAMY, ŻE ZIEMIA „MIAROWO OKRĄŻAŁA KOŁOSALNĄ KULĘ MARTWEGO SŁOŃCA”. BRAK JAKICHKOLWIEK NA TEN TEMAT WYJAŚNIEŃ, MOŻEMY WIĘC TYLKO SNUĆ PRZYPUSZCZENIA, ŻE PRĘDKOŚĆ CZASU MUSIAŁA SIĘ ZMNIEJSZYĆ ALBO ZIEMIA PORUSZAŁA SIĘ PO SWEJ ORBICIE RUCHEM POWOLNYM JAK NA TAMTE WARUNKI. STARANNA LEKTURA RĘKOPISU KAŻE MI SIĘ JEDNAK DOMYŚLAĆ, ŻE OD DŁUŻSZEGO JUŻ OKRESU PRĘDKOŚĆ CZASU RÓWNOMIERNIE MALAŁA.

Ziemia poruszała się nieustannie, Gwiazda tymczasem zatoczyła łuk, aż w końcu znalazła się z tyłu domu i jej promienie wpadając do środka rozpraszały się na wystających ruinach. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że prawie cały sufit zniknął odsłaniając wyższe, jeszcze bardziej

zniszczone piętra. Dach, oczywiście, dawno przestał istnieć, mogłem więc bez przeszkód podziwiać zielony blask padających ukośnie promieni Gwiazdy.

ROZDZIAŁ XIX

Koniec Układu Słonecznego

W pustych otworach, pozostałościach po oknach, w których ujrzałem kiedyś pierwszy z wielu następujących po sobie światów, zamajaczyło słońce — o wiele większe niż w chwili pojawienia się Zielonej Gwiazdy. Było tak ogromne, że jego dolna krawędź niemal dotykała dalekiej linii horyzontu. Kiedy patrzyłem, wydało mi się, że szeroka kula wciąż zbliża się w moją stronę. Zielony blask, który oświetlał skutą lodem ziemię, nieustannie przybierał na sile.

Przez dłuższą chwilę widok za oknem nie zmieniał się. Potem nieoczekiwanie słońce zaczęło maleć, dokładnie tak, jak kiedyś księżyc. Wkrótce pozostała już tylko jedna trzecia jego oświetlonej tarczy. Gwiazda tymczasem przesunęła się na lewo.

Świat nieustannie trwał w ruchu. Gwiazda znalazła się teraz naprzeciwko domu. Słońce przypominało wielki łuk zielonego ognia. Jeszcze chwila i całkiem zniknęło. Ale Gwiazda pozostała widoczna. Potem ziemia skryła się w czarnym cieniu słońca i wszystko znów stało się nocą — czarną, bezgwiezdną i przerażającą.

Czując zamęt w głowie, czekałem. Mijały lata i nagle jakiś hałas prze-rwał głuchą ciszę ciemnego domu. Usłyszałem lekki tupot licznych stóp oraz niewyraźny daleki szep. W otaczających mnie ciemnościach zobaczyłam, tysiące par ślepi, których wciąż przybywało! i wszystkie jakby zbliżały się w moją stronę. Przerażony zastygłem w bezruchu. I oto

nocną ciszę zakłóciły mrozące krew w żyłach pochrząkiwania świń, na który to dźwięk wyskoczyłem przez okno w sam środek zamrożonego świata. Jak przez mgłę pamiętam, że zacząłem uciekać, po czym stanąłem nasłuchując. Z daleka dochodziły przeraźliwe wrzaski. Były to jedyne odgłosy starego domu. Czas płynął. Zmarznięty i oszołomiony nie mogłem pokonać uczucia strachu i bezradności.

Upłynęło kolejne stulecie i oto ukazał się mały świetlny punkcik, który nie przestawał rosnąć. Nagle niebieska luna pierwszych promieni Zielonej Gwiazdy oświetliła krawędź ciemnego słońca i rozproszyła ścianę ciemności. Przede mną wznosiły się potężne ruiny. Ich ściany, od fundamentów aż po wierzchołki wież, szczelnie oblepiały tysiące wspinających się bestii z piekła rodem. Widziałem je teraz wyraźnie. Były to na pewno świniostwory.

Świat tonął w blasku Zielonej Gwiazdy, która zajęła już co najmniej jedną czwartą nieba. Jej zimne światło było intensywne i odniosłem wrażenie, że w górze faluje morze płomieni. Potem zobaczyłem słońce. Jakże wydawało się bliskie! Połowa jego kuli skryła się za horyzontem i kiedy świat ją okrążał, słońce utworzyło na niebie zadziwiająco kopułę szmaragdowego ognia. Od czasu do czasu spoglądałem w stronę domu, ale świniostwory zdawały się nie zauważać mej obecności.

Lata płynęły teraz powoli. Ziemia zbliżyła się do samego prawie środka słonecznej tarczy. Promienie Zielonego Słońca — tak będę je nazywał — wpadając w szpary rozlatujących się ścian domostwa przypominały zielone języki ognia. Świniostwory niezmordowanie wspinały się po murach.

Nagle usłyszałem głośny ryk tysięcy głosów i ze środka pozbawionego dachu domu wystrzelił w górę wysoki słup czerwonych jak krew

plamieni. W jednej, chwili małe powykręcane wieże i baszty stanęły w ogniu, w którym nadal widziałem ich dziwaczne kształty. Blask Zielonego Słońca mieszał się teraz z krwawą luną i dom przypominał rozpalony piec czerwonego i zielonego ognia.

Patrzyłem jak zahipnotyzowany i nagle poczułem zbliżające się niebezpieczeństwo. Krótki rzut oka na niebo przekonał mnie, że słońce zbliżało się bardzo blisko, tak blisko, iż zdawało się zagrażać całemu światu. Potem sam nie wiem, co się stało, ale jakaś siła porwała mnie do góry i zacząłem unosić się w oślepiającym blasku niczym bańka mydłana.

Daleko w dole widziałem ziemię i coraz wyższy słup ognia płonącego domu. Cała okolica świeciła mocnym blaskiem, a tu i ówdzie unosiły się ciężkie chmury żółtego dymu. Najwyraźniej pożar rozprzestrzenił się i wszystko trawił ogień. Widziałem teraz świniostwory jak przez mgłę. O dziwo, żar plamieni nie wyrządzał im żadnej krzywdy. Potem ziemia nieoczekiwanie otworzyła się, wchłaniając dom wraz z hordą oblepiających go stworów. Jednocześnie przedziwna krwawa chmura wystrzeliła wysoko w niebo. Natychmiast pomyślałem o piekielnej otchłani rozciągającej się pod domem.

Ochłonąwszy rozejrzałem się dookoła. Na niebie wisiała wielka kula wygasłego słońca. Zauważyłem, że odległość między nią a ziemią raptownie maleje. Nagle ziemia wykonała gwałtowny skok i na powierzchni słońca ujrzałem rosnący słup oślepiającego ognia. Przypominał jasny strumień, który torował sobie drogę w szmaragdowym świetle w stronę dalekiego Zielonego Słońca. Osiągnąwszy maksimum swej długości zgasł, a wtedy słońce na krótko zajaśniało białym blaskiem obwieszającym koniec ziemi.

Znalazłem się teraz bardzo blisko słońca, nie przestając się unosić ominałem je i wkroczyłem w pustkę. Przed sobą widziałem ogromne Zielone Słońce, które zasłoniło już całe niebo. Spojrzałem w dół — czarne słońce płynęło tuż pode miną.

Minął rok lub może cały wiek, a ja tkwiłem zawieszony samotnie w przestworzach. Słońce majaczyło gdzieś daleko — czarna, okrągła masa na tle rozedrganego światła wysokiej Zielonej Kuli. Na samym brzegu martwego słońca zauważyłem jasną plamę znaczącą v miejsce, gdzie spadła ziemia. Zaobserwowałem też, że dawno wygasłe słońce wciąż się obraca, chociaż znaczenie wolniej.

Gdzieś z prawej strony migąło słabe białe światło. Początkowo myślałem, że ulegam złudzeniu. Później jednak przekonałem się, że światło mruga naprawdę i nie jest wytworem mojej wyobraźni. Stawało się coraz jaśniejsze, aż w końcu z morza zieleni wyłonił się zamazana kula delikatnego białego koloru. Zbliżył się i wtedy zobaczyłem, że otacza ją chmura o łagodnym blasku. Czas płynął...

Rzuciłem okiem w stronę malejącego słońca. Wyglądało jak ciemna plama na tle Zielonego Słońca. Co raz bardziej oddalała się, jak gdyby słońce w pośpiechu doganiało większą planetę. Z uwagą śledziłem jego ruchy, próbując odgadnąć, co się stanie. I nagle ogarnęło mnie wielkie podniecenie, gdy wreszcie zrozumiałem, że czarne słońce za chwilę zderzy się z ogromną masą Zielonego Słońca. W końcu ciemna kula nie była już większa od ziarenka groszku. Rozgorączkowany wyteżyłem wzrok, chcąc zobaczyć ostateczny koniec Układu Słonecznego, Układu, który przez długie ery związany był z naszym światem i jego wszystkimi radościami i smutkami, teraz zaś...

Nieoczekiwanie coś zasłoniło niebo, które śledziłem z tak wielkim zainteresowaniem. Niestety nie zobaczyłem, co stało się z wygasłym słońcem. Przyszłe zjawiska wskazują jednak, iż na zawsze zniknęło w

dziwnym ogniu Zielonego Słońca.

Jednocześnie olśniła mnie niezwykła myśl. Czyżby zdumiewająca kula zielonego ognia była w rzeczywistości olbrzymim Centralnym Słońcem, wokół którego obraca się nie tylko Układ Słoneczny, ale i wiele innych systemów planetarnych? Poczulem zamęt w głowie. Wizja martwego słońca tonącego w ogniu wielkiej planety kazała się domyślać, że Zielone Słońce stanie się także grobem wygasłych gwiazd. Myśl ta, wcale niezabawna, wydała mi się jednak przekonująca i prawdopodobna.

ROZDZIAŁ XX

Ciała kuliste na niebie

W głowie kłębiły mi się setki myśli, co spowodowało, że nie byłem zdolny do działania, potrafiłem jedynie bezmyślnie patrzeć przed siebie. Nie mogłem się oprzeć narastającej fali wątpliwości, podziwu i smutnych wspomnień.

Dopiero kiedy udało mi się nieco ochłonąć, półprzytomnie rozejrzałem się dookoła. Widok, jaki przedstawił się mym oczom, był tak zaskakujący, iż zacząłem podejrzewać, że jest on wytworem mej fantazji. Z królującej zieleni wypłynęła ogromna rzeka delikatnie migoczących kul. Każdą kulę otaczała śliczna, zwiewna, przezroczysta chmurka. Widziałem je wszędzie, płynęły niekończącym się szeregiem i chociaż zasłoniły światło Zielonego Słońca, salme stały się źródłem tak cudownie łagodnego blasku, jakiego w życiu nie widziałem i pewnie już nie zobaczę.

Później zauważyłem, że kule są całkiem przezroczyste, jakbym patrzył na zadymiony kryształ, w środku którego nieśmiało tli się malutkie

przyćmione światełko. Przepływały tuż obok mnie, nie spiesząc się, jakby wiedziały, że mają przed sobą całą wieczność. Przez dłuższą chwilę obserwowałem je uważnie, ale nie udało mi się wypatrzyć ich końca. Tu i ówdzie poprzez ich otoczkę widziałem jakieś twarze, częściowo rozplywające się w otaczającej je mgle.

Znacznie spokojniejszy, czekałem. Poczucie przygnębiającego osamotnienia opuściło mnie i muszę przyznać, że dawno już nie było, mi tak dobrze. Mógłbym doprawdy bez końca żeglować po niebie w towarzystwie zwiewnych kulek.

Mijały stulecia i teraz znacznie częściej i dokładniej widziałem majające twarze. Czyżbym po prostu przystosował się do nowych warunków? Trudno powiedzieć. Faktem jest, że zacząłem dostrzegać wokół siebie coraz więcej tajemniczych zjawisk, co utwierdziło mnie w przekonaniu, iż przekroczyłem granice jakiegoś niezziemskiego świata i znalazłem się w bliżej nieokreślonym miejscu nowego rodzaju bytu.

Niekończący się strumień świecących kulek wciąż płynął z tą samą prędkością; mijały mnie całe ich miliony i daremnie wypatrywałem ich końca.

Następnie jakaś siła uniosła mnie w górę i pchnęła w stronę jednej ze zbliżających się kul. Wślizgnąłem się w sam jej środek nie natrafiając po drodze na żaden opór. Natychmiast otoczyły mnie ciemności, zaciękwiony czekałem na nowe zdarzenia.

Nagle dziwny dźwięk przerwał śmiertelną ciszę. Usłyszałem szum spokojnego oceanu — odgłos morza oddychającego we śnie. Zaslaniająca widok mgła zaczęła powoli rzednąć i oto znów ujrzałem gładką powierzchnię Morza Snu.

Patrzyłem na jego taflę, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wielka kula bladego ognia niezmiennie kołysała się nad niewyraźną linią horyzontu. Po drugiej stronie morza majaczył we mgle brzeg, a na nim

miejsce, gdzie spotkałem moją Miłość w czasie niezapomnianych duchowych zbliżeń dawno temu na ziemi.

Odżyły także inne przerażające obrazy z przeszłości — wizja bezkształtnego Potwora, który odwiedził kiedyś brzeg Morza Snu i strzegł tego cichego wymarłego miejsca. Zapamiętałem go dokładnie, podobnie jak wiele innych szczegółów, które przekonały mnie, że znalazłem się nad tym samym morzem. I znów przepełniła mnie radość i cicha nadzieja. Czyżbym ponownie miał ujrzeć moją dawną Miłość? Rozglądałem się uważnie dookoła, ale brzeg był pusty. Zrozpaczony modliłem się gorąco, niespokojnie wodząc wzrokiem po okolicy. Jakże ciche wydawało się morze!

Gdzieś daleko przesuwały się ogniste warkocze, które już wcześniej zwróciły mą uwagę. Byłem ciekaw, co mogło być ich przyczyną. Pamiętam, jak bardzo chciałem porozmawiać z Nią o wielu niezrozumiałych zjawiskach, ale niestety rozstaliśmy się, zanim usłyszała połowę mych zwierzeń.

Nagle coś wyrwało mnie z głębokiej zadumy. Jakbym poczuł czyjeś dotknięcie. Obejrzałem się gwałtownie. Dzięki Ci, o Boże! To była Ona. Patrzyła mi w oczy spojrzeniem pełnym tęsknoty i odpowiedziałem jej spojrzeniem, w którym kryła się miłość. Chciałem zbliżyć się, ale widok jej niezwykle uduchowionej twarzy kazał mi się zatrzymać. I oto ujrzałem, jak zza mgły wyciąga do mnie ręce. Usłyszałem szept cichy niczym podmuch lekkiego wiatru: — Najdroższy. — Powiedziała tylko to jedno słowo, na dźwięk którego chwyciłem ją w ramiona przekonany, że modlitwy moje zostały wysłuchane.

Opowiadała bez, końca, a ja milczałem. Mógłbym jej tak zresztą słuchać całe wieki. Czasami szepnąłem coś w odpowiedzi i wtedy na jej cudnej twarzy zakwitał delikatny rumieniec miłości. Podniecenie szybko

minęło i rozmawiałem znacznie swobodniej; chłonęła każde słowo i dawała rzeczowe odpowiedzi. Czułem się jak w raju.

I tak samotni w cichych, niezmiernych przestrzeniach wszechświata staliśmy nad spokojnymi wodami Morza Snu, które cierpliwie słuchało naszych wyznań.

Szybujące w otoczce z chmur ciała kuliste dawno już gdzieś zniknęły. Patrzyliśmy w nieruchomą powierzchnię sennych głębin, zagubieni we wszechświecie i szczęśliwi, że mamy siebie nawzajem. Przeżyłem już długie wieki i miałem nadzieję, iż czas, który nas jeszcze dzielił, nie okaże się zbyt długi.

ROZDZIAŁ XXI

Ciemne Słońce

Nie potrafię powiedzieć, jak długo cieszyliśmy się sobą. Radość prysła w jednej chwili, kiedy łagodne blade światło nad Morzem Snu zaczęło nagle gasnąć. Ogarnięty przecuciem nadchodzącego nieszczęścia niespokojnie przyglądałem się wielkiej białej kuli, która cały czas malała, jakby przesuwał się po niej wielki cień. Pamiętałem, że podobne ciemności zapadły w trakcie naszego poprzedniego rozstania. Spojrzałem na Nią zaniepokojony. Byłem pewien, że zbliża się katastrofa i może dlatego natychmiast zauważyłem zmianę w wyglądzie Ukochanej. Wydawała się nierzeczywista, jakby utkana z przezroczystej mgły, jej głos był cichy i daleki, a dotyk przypominał mai śniecie letniego wiatru.

Tymczasem zrozpaczony stwierdziłem, że zniknęła już połowa ogromnej kuli. Czy naprawdę znów musieliśmy się rozstać? Przerażony błagałem, aby została, ale Ona tuląc się do mnie tłumaczyła dalekim,

jakby obcym głosem, że musi odejść, zanim Słońce Ciemności — takiego właśnie użyła określenia — zapanuje nad światem. Moje najgorsze przewidywania okazały się więc słuszne. Przygnębiony, w milczeniu wpatrywałem się w spokojną taflę uśpionego morza.

Jakże szybko gasło światło Białej Kuli! Tak naprawdę upłynęło jednak bardzo dużo czasu, więcej niż człowiek zdoła ogarnąć swym rozumem.

Wątył rożek bladego ognia niewyraźnie oświetlał Morze Snu. Nadal czulem miękki dotyk Ukochanej, tak delikatny, że prawie niewyczuwalny. Zapatrzeni w siebie staraliśmy się nie myśleć o smutnym rozstaniu. Widziałem ukrytą w cieniu twarz, której kontury powoli roztopiały się w mglistym zmierzchu.

Wreszcie tylko wąski promień światła przecinał taflę Morza Snu. Widząc to zwolniła uścisk i łagodnie odepchnęła mnie od siebie. — Już dłużej nie mogę zostać, kochany — szepnęła i usłyszałem jej szloch.

Jej postać coraz bardziej się oddalała, aż w końcu całkiem zniknęła. Jeszcze chwilę dochodził z mroku znajomy cichy głos. Później, w ułamku sekundy, noc zasłoniła Morze Snu i jakieś światło zaczęło mrugać z lewej strony. Kiedy zgasło, uprzytomniłem sobie, że nie stoję już na brzegu uśpionego morza, ale znów krążę w niezmiernych przestrzeniach, a przed sobą mam Zielone Słońce, częściowo zasłonięte przez wielką ciemną kulę.

Oszołomiony, półprzytomnie patrzyłem na obręcz zielonych płomieni nieustannie wystrzelających z ciemnej krawędzi koła. Nie mogłem się nadziwić ich oryginalnym kształtom. Tysiące pytań nie dawało mi spokoju. Nieustannie wracałem myślami do spotkania nad Morzem Snu. Bałem się przyszłości. Czyżby los chciał nas zawsze rozdzielać? Przecież nawet w dawnych czasach na ziemi cieszyłem się jej obecnością bardzo krótko, a kiedy odeszła, sądziłem, że nigdy się już nie zobaczymy. Odtąd

spotykałem Ją jedynie nad brzegami Morza Snu.

Czułem, jak narasta we mnie sprzeciw i złość. Właściwie dlaczego nie mogłem zostać z Ukochaną? Jaki był powód naszej rozłąki? Czy musiałem żyć samotnie, podczas gdy Ona spała długie lata nad spokojnymi wodami Morza Snu? Właśnie. Morza Snu! Moje myśli pobiegły teraz całkiem innym torem. Zapomniałem o rozgoryczeniu, zaniepokojony tym, co stało się z Morzem Snu. Jeszcze przed chwilą stałem na jego brzegu i oto przestało nagle istnieć. Wiedziałem, że nie może być daleko. Przypomniałem sobie Białą Kulę ukrytą w cieniu Słońca Ciemności. Mój wzrok poszukał teraz Zielonego Słońca. Zastanawiałem się, jaka planeta spowodowała jego zaćmienie. Czyżby wokół Zielonego Słońca krążyła jakaś wielka wygasła gwiazda? A może samo Centralne Słońce, jak nazywałem teraz Zieloną Kulę, było po prostu gwiazdą większą od innych?

Pomyślałem znów o Białej Kuli. A może jest ona po prostu... — urwałem olśniony nagłym odkryciem. Właśnie, Zielonym Słońcem! Oczami wyobraźni ujrzałem świecącą kulę, która tak bardzo mnie kiedyś zafascynowała. Jakże mogłem choćby na chwilę o niej zapomnieć? Co stało się z całym rojem podobnych kul? Przypomniałem sobie okrągłe ciała niebieskie, do wnętrza którego udało mi się wdrzeć. Ależ tak, nareszcie wszystko zrozumiałem. Kiedy znalazłem się w środku nieuchwytej kulki, przeszedłem po prostu do nowego nieznanego mi świata. Widziałem w nim nadal Zielone Słońce, tym razem jako ogromną kulę przyćmionego białego światła, przypominającą raczej odbicie dawnej gwiazdy.

Staralem się odtworzyć niedawne zdarzenia. Pamiętałem, że kiedy znalazłem się w środku kuli, zniknęły wszystkie ciała niebieskie. Później inne szczegóły zaczęły odzywać w mej pamięci.

Trzeba było jednak wrócić do rzeczywistości. Uważnie rozejrzałem się dookoła i po raz pierwszy zauważyłem wiązkę promieni delikatnej fioletowej barwy, które rozjaśniały dziwny półmrok. Źródłem promieni była ognista obręcz Zielonego Słońca. Z każdą chwilą było ich coraz więcej; przesuwały się niczym snop światła reflektora na czarnym niebie, po czym znikaly. Zrozumiałem, że ich widok zawdzięczam zaćmieniu Zielonego Słońca.

Wyteżywszy wzrok zobaczyłem drobne punkciki bardzo intensywnego światła, które ślizgały się wzdłuż promieni. Całą ich masę wysyłało Zielone Słońce, inne napływały ze wszystkich stron i zmierzały w kierunku Słońca. Trzymając się swoich promieni osiągały zawrotną szybkość i wydawały się oddzielnymi punktami świetlnymi tylko w chwilach, kiedy zbliżały się lub oddalały od Zielonego Słońca. Dalej były już tylko cienkimi pasmami jaskrawofioletowego ognia.

Widok promieni i przesuwających się po nich iskerek bardzo mnie zainteresował. Zastanawiałem się, dokąd tak spieszyły w swej nieograniczonej masie. Jakże wielki wydawał się wszechświat!

...No i te świetlne punkty! Bez wątplenia jacyś posłańcy! Sam pomysł na pewno był fantastyczny, chociaż nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy. Posłańcy! Posłańcy Centralnego Słońca!

Jeśli była to prawda, to czy Zielone Słońce było gwiazdą zamieszkaną przez Myślącą Istotę? Nieprawdopodobne. Wyobraźnia wyczarowywała wizje nienazwanych bóstw. Czyżbym natrafił na siedzibę Nieśmiertelnego Boga? Nie mogłem wprost uwierzyć w taką możliwość. A jednak...

Trudno opisać stan mego umysłu w owym czasie. Czulem się, jakby ktoś znał wszystkie moje myśli i uczucia. Przerazająca bliska Obecność wstrząsnęła mną do głębi.

No, a niebiosa... Czyżby były przywidzeniem?

Miałem prawdziwy mętlik w głowie. Morze Snu... Ona! Niebiosa... Nagle oprzytomniałem. Z mrocznych czeluści płynęła w moją stronę wielka ciemna masa. Była nią martwa gwiazda odbywająca swą ostatnią wędrówkę do cmentarzyska gwiazd. Kiedy znalazła się na szlaku między mną a Centralnymi Słońcami, zasłoniła światło i przyczyniła się do powstania nieprzeniknionych ciemności.

Minął kolejny wiek i znów ujrzałem fioletowe promienie. Później, kiedy upłynęły eony, na niebie pojawiła się kulista jasność i oświetliła skrawek gasnącej gwiazdy. Zrozumiałem, że gwiazda zbliża się do Centralnych Słońc, a po chwili jest już w zasięgu cienia Martwego Słońca. Na tle ciemnego nieba migotała obręcz Zielonego Słońca. Czas płynął powoli, uważnie śledziłem ruchy ciał niebieskich.

W końcu nastąpiło to, na co czekałem — gwałtowna oślepiająca jasność i strumień białego płomienia w czarnej nocy. Myślałem, że gigantyczny grzyb ognia nigdy nie przestanie rosnać. Wreszcie, po bardzo długiej chwili, zaczął powoli opadać. Zauważyłem teraz, że wybuch nastąpił w intensywnie świecącym miejscu, niedaleko środka Ciemnego Słońca. Widziałem tam wielkie płomienie. Martwe Słońce było jednak tak ogromne, że upadek gwiazdy na jego powierzchni przyczynił się w rezultacie do powstania blasku nie większego niż odbicie Jowisza od powierzchni oceanu.

Chciałbym tu jeszcze dodać, że żadne słowa nie są w stanie opisać rozmiarów dwóch Centralnych Słońc.

ROZDZIAŁ XXII

Ciemna mgławica

Lata łączyły się w wieki, a wieki w ery. Światło gorejącej gwiazdy nabrało teraz ognistej czerwonej barwy.

Nieco później ujrzałem ciemną mgławicę. Najpierw na niebie pojawiła się delikatna chmura. Stopniowo zaczęła rosnąć, aż przeszła w czarną plamę. Nie wiem, jak długo ją śledziłem, gdyż czas jako pojęcie należał do przeszłości. Bezkształtna, przerażająca mgiełka unosiła się sennie, przypominając opary piekła. Zbliżała się powoli szlakiem rozciągającym się między mną a Centralnymi Słońcami. Odniosłem wrażenie, jakby w przestworzach rozwieszono zasłaniającą widok kurtynę. Zadrżałem ze strachu, ale jednocześnie poczułem palącą ciekawość.

Królujący przez wiele milionów lat zielony brzask ustąpił teraz miejsca nieprzeniknionym ciemnościom. Trwałem bez ruchu rozglądając się uważnie dookoła. Minęło kolejne stulecie i wydało mi się, że chwilami dostrzegam przesuwające się obok ciemnoczerwone światełka.

Śledziłem je z uwagą i wreszcie odkryłem, że są to czerwone kulki wewnątrz czarnej chmury. Niekończącym się szeregiem wypływały z mroku mgławicy. Po chwili stały się znacznie wyraźniejsze. Rozmiarami przypominały świecące okrągłe ciała, które widziałem w przeszłości.

Widok czerwonych kulek wywołał we mnie niepokój i wzbudził irracjonalne uczucie grozy i obrzydzenia. Podejrzewam, że to instynkt przestrzegał mnie przed nieznanymi ciałami.

Niektóre z przepływających kul były jaśniejsze od pozostałych. Nagle w jednej z nich zamajaczyła ludzka twarz, tak bardzo zmieniona cierpieniem, że aż cofnąłem, się przerażony. Nigdy nie myślałem, że czyjaś

twarz może wyrażać tak wielką udrękę. Wrażenie przygnębiającego smutku potęgował fakt, iż zwrócone w moją stronę oczy były ślepe. Przez chwilę kulka z twarzą w środku szybowała majestatycznie, po czym jej obraz zatarł się w otaczającym mroku. Ale już napływały nowe twarze, a ich ślepe oczy kryły w sobie bezdenną rozpacz.

Upłynęło znów wiele lat. Nagle uprzytomniłem sobie, iż jestem znacznie bliżej kulistych ciał. Poczulem się jakoś nieswojo, chociaż muszę przyznać, że mój strach wobec dziwnych kul wyraźnie zmalał od chwili odkrycia ich nieszczęśliwych mieszkańców, którzy bardziej wzbudzali litość niż przerażenie.

Nie miałem teraz wątpliwości, że nieznana siła ciągnie mnie do czerwonych kul, aż w końcu zacząłem szybować razem z nimi po niebie. Nieoczekiwanie jedna z kul wyraźnie skręciła w moją stronę. Nie byłem, w stanie usunąć się z jej drogi i oto znalazłem się w środku gęstej czerwonej mgły. Kiedy mgła opadła, osłupiałem na widok rozciągającej się w dole dobrze mi znanej Równiny Ciszy, która wyglądała dokładnie jak przed wiekami. Powoli unosiłem się nad jej powierzchnią. Wysoko w górze, rozpraszając ciemności, świeciła szeroka obręcz koloru krwi. * Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widziałem martwe pustkowia, które podczas poprzedniej wizyty wywarło na mnie tak silne wrażenie.

* NIE ULEGA WĄTPLIWOŚCI, ŻE JEST TO OGNISTA KRAWĘDŹ MARTWEGO CENTRALNEGO SŁOŃCA OGLĄDANA Z INNEJ PERSPEKTYWY.

Na horyzoncie majaczyły niknące w rdzawym mroku szczyty ogromnego amfiteatru gór, gdzie przed wiekami po raz pierwszy ujrzałem, upiorne zjawy i gdzie stała strzeżona przez tysiące milczących bogów wielka i cicha budowla, będąca dokładną kopią mojego domu, tego domu,

który na zawsze zniknął w piekielnym ogniu, zanim ziemia zdążyła dotknąć słońca.

Widziałem teraz skaliste grzbiety, ale musiała upłynąć długa chwila, zanim wreszcie dolne partie gór stały się widoczne. Myślę, że zasłaniała je do tej pory dziwna rdzawa mgła unosząca się nad powierzchnią Równiny. W końcu jednak ujrzałem góry w całej ich okazałości i kiedy podpłynąłem bliżej, otoczyły mnie ze wszystkich stron. Przede mną otwierał się wielki wawóz i jakaś siła kazała mi wpłynąć do jego środka.

Pamiętam, że potem wróciłem na szeroką arenę wśród gór. W odległości około pięciu mil, w samym środku skalistego amfiteatru, stał mój dom, wysoki i straszny. O ile się mogłem zorientować, wcale się nie zmienił. Wokół majestatycznie wznosiły się łańcuchy posępnych gór.

Gdzieś z prawej strony wśród niedostępnych szczytów majaczyła gigantyczna postać boga o osłej głowie, a nad nią wynurzyła się z czarnej mgły bogini śmierci. Ujrzałem też bezbarwnego i nieodgadnionego Potwora bez oczu oraz wyraźną na tle ciemnych gór plamę, którą było zwisające ze skalnej półki sine galaretowate ciało.

Powoli unosiłem się nad wielką areną. Wzrok mój nieustannie wyląwiał zamazane kształty straszyleł zaludniających niedostępne wyżyny.

Widok domu obudził dawne wspomnienia. Natychmiast przypomniałem sobie złego ducha tego miejsca. Po chwili byłem już naprzeciwko wielkiej pustej budowli.

Właśnie wtedy ogarnęło mnie dziwne odrętwienie i obojętność, kładąc zapomnieć o strachu, jaki bez wątpienia czułbym zbliżając się do zadziwiającej budowli. Patrzyłem na nią ze spokojem, jak człowiek przyglądający się swemu nieszczęściu poprzez mgiełkę dymu z papierosa.

Podpłynąłem teraz tak blisko domu, że mogłem zobaczyć znane szczegóły. Podobieństwo między ogromną budowlą a domem, w którym mieszkam, było zaskakujące.

Znalazłem się dokładnie naprzeciw drzwi prowadzących do gabinetu i... nie mogłem wprost uwierzyć własnym oczom. Na progu leżał wielki kawał gyzmsu. Jedyne kolorem i wielkością różnił się od kamienia, który przywalił atakujące dom stwory.

Podpłynąłem bliżej i zdziwienie moje wzrosło jeszcze bardziej na widok częściowo wyrwanych z zawiasów drzwi. Wyglądały zupełnie jak drzwi mego pokoju po próbie wyważenia ich przez świniostwory. Spostrzeżenie to wywołało szereg nowych skojarzeń. Atak na mój dom miał prawdopodobnie znacznie głębsze znaczenie, niż mi się do tej pory wydawało. Co prawda już dawno temu, jeszcze na ziemi, podejrzewałem, że między domem, w którym mieszkam, a potężną budowlą w samym środku niezmierzonej równiny istnieje jakiś dziwny związek. Analogicznie, odparty przeze mnie atak świniostworów miał coś wspólnego ze szturmem przypuszczonym na gigantyczną kopię mego domu.

Moje myśli pobiegły teraz całkiem innym torem. Zastanowiło mnie, z jakiego materiału mógł być zbudowany wielki dom. Pisałem już wcześniej, że cała budowla była ciemnozielonego koloru. Kiedy jednak przyjrzałem się jej dokładniej, zauważyłem, iż powierzchnia murów rozjaśnia się, to znów ciemnieje niczym fosforyzujący w ciemnościach przedmiot.

Zbliżywszy się do głównego wejścia szybko zapomniałem o ścianach domu. Po raz pierwszy poczułem strach — wielkie drzwi otworzyły się, a nieznana siła wepchnęła mnie do środka. Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. Minąłem próg i wtedy olbrzymie wrota bezszelestnie zatrzęsęły się, odcinając mnie od światła.

Przez chwilę tkwiłem nieruchomo w ciemnościach. Potem zacząłem płynąć w bliżej nieokreślonym kierunku. Gdzieś z dołu dobiegał niewyraźny dźwięk przypominający stłumiony chichot świniostworów. Po chwili ucichł, a cisza, jaka nastąpiła, była przerażająca.

Przedemną otworzyły się jakieś drzwi, jasna smuga światła rozproszyła mrok i wpłynąłem do pokoju, który wydał mi się dziwnie znajomy. Ze wszystkich stron dobiegał przeraźliwy ogłuszający wrzask. Przed oczami migały zamazane obrazy. Przez chwilę, która mogła być wiecznością, byłem kompletnie oszołomiony i nie wiedziałem, co się wokół dzieje. Wreszcie odzyskałem wzrok, stan zamroczenia minął i przedmioty znów nabrały kształtów i barw.

ROZDZIAŁ XXIII

Pepper

Zauważyłem, że siedzę w fotelu w dawnym gabinecie. Niespokojnie rozejrzałem się dookoła. Pokój wydawał się jakiś dziwny, jakby nie z tego świata. Wrażenie to nie trwało jednak długo i wkrótce przekonałem się, że wszystko wygląda tak jak zawsze. Rzuciłem okiem w stronę okna – roleta była podniesiona.

Kiedy wstałem, nogi ugięły się pode mną. Zza ściany dobiegał niewyraźny hałas. Wydawało mi się, że ktoś delikatnie przymyka drzwi. Spojrzałem jeszcze raz i doszedłem do wniosku, że musiałem się mylić – drzwi były starannie zamknięte.

Dobrnęcie do okna kosztowało mnie wiele trudu. Kiedy wyjrzałem na zewnątrz, właśnie wschodziło słońce i jego promienie padały na splecione konary dzikiego ogrodu. Stałem obserwując znajomy widok. Oszołomiony machinalnie przesunąłem dłonią po czole.

W natłoku wrażeń uderzyła mnie jedna myśl i pod jej wpływem odwróciłem się szybko i zawołałem Peppera. Pies nie zareagował. Przerazony, chwiejnym krokiem przeszedłem przez pokój. Usiłowałem znów zawołać starego przyjaciela, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Z trudem udało mi się dojść do stołu i pochyliłem się czując rozpierający ból w piersiach. Pepper leżał ukryty w cieniu stołu, niewidoczny od strony okna. Kiedy go wreszcie ujrzałem, zrobiło mi się słabo, nie był to bowiem Pepper, ale bezkształtny stożek szarego, przypominającego popiół kurzu...

Przez dobrych kilka minut stałem nieruchomo nad szczątkami przyjaciela. Zupełnie nie mogłem się uspokoić po przeżyтым szoku. Wreszcie zrozumiałem, że Pepper naprawdę odszedł do krainy cieni.

ROZDZIAŁ XXIV

Kroki w ogrodzie

Pepper nie żyje! Wciąż jeszcze nie mogę pogodzić się z tą myślą. Mięło już wiele tygodni, odkąd wróciłem z dziwnej i strasznej podróży w czasie i przestrzeni. Często we śnie przeżywam ją na nowo. Kiedy się budzę, nie przestaję o niej myśleć. Zastanawiam się, czy słońce lub raczej słońca są naprawdę wielkimi Centralnymi Słońcami, wokół których obraca się cały niezbadany wszechświat. Kto to wie? No a świetliste kulki, które niekończącym się szeregiem przepływały w blasku Zielonego Słońca, a potem ślizgały się po powierzchni Morza Snu? Wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne! Gdyby nie Pepper, podejrzewałbym, że niezwykle zdarzenia, w jakich brałem udział, były długim snem.

Przypomniałem sobie straszną mgławicę z całą masą czerwonych kulek, która mknęła po wielkiej orbicie okrążając Ciemne Słońce, na zawsze ukryta w mroku. No i te twarze, które na mnie spoglądały. O Boże, czyżby wszystko było tylko przywidzeniem?... Na podłodze mego gabinetu wciąż jeszcze leży stożek szarego popiołu; postanowiłem nigdy go nie usuwać.

Chwilami, gdy jestem spokojniejszy, zastanawiam się, co stało się z dalekimi planetami Układu Słonecznego. Zaczynam podejrzewać, że wyzwoliły się spod siły przyciągania słońca i popłynęły gdzieś w przestrzeń. Jest tyle zjawisk, których wciąż jeszcze nie rozumiem!

Teraz, kiedy piszę te słowa, mam niezbitą pewność, iż niedługo, wydarzy się coś strasznego. Wczorajszy incydent przestraszył mnie bardziej niż widok mieszkańców Piekła. Zaraz wszystko opiszę i jeśli w przyszłości coś jeszcze zauważę, postaram się natychmiast to zanotować. Mam dziwne przeczucie, że wydarzenie, o którym opowiem, okaże się bardzo ważne. Kiedy o nim myślę, zaczynają trząść mi się ręce i jestem niespokojny. Odnoszę wrażenie, że śmierć krąży w pobliżu. Nie chcę przez to powiedzieć, iż boję się śmierci, jest bowiem ona czymś zrozumiałym. Jakieś fluidy unoszą się jednak w powietrzu, nieuchwytnie i ścinające! krew w żyłach. Czuję je wyraźnie minionej nocy. A było to tak.

Wczoraj wieczorem siedziałem właśnie w gabinecie zajęty pisaniem. Wychodzące na ogród drzwi były lekko uchylone. Od czasu do czasu słyszałem ciche pobrzękiwanie łańcucha psa, którego niedawno kupiłem. Po śmierci Peppera nie zniósłbym obecności żadnego psa w domu. Czuję się jednak bezpieczniej wiedząc, że jakieś zwierzę jest w pobliżu. Psy to wspaniałe stworzenia.

Pochłonięty pracą nie zauważyłem, jak szybko mijał czas. Nagle usłyszałem cichy szmer, który dochodził od strony ścieżki. Był nim miarowy, dziwny odgłos skradających się kroków. Natychmiast oderwałem się od pisania i wyjrzałem przez otwarte drzwi. Szmer powtórzył się, kroki wyraźnie się zbliżały. Poczulem, lekki niepokój i starałem się dojrzeć coś w ogrodzie, ale ciemności zasłaniały wszystko.

Nagle pies zawył przeciągle. Zerwałem się na równe nogi. Przez chwilę na próżno wytrzeszczałem oczy. Wszędzie znów panowała cisza. W końcu wzięłem pióro i zabrałem się do pisania. Niepokój minął, doszedłem do wniosku, że niedawny szmer był odgłosem kroków biegającego wokół budy psa.

Uplłynął, chyba kwadrans, kiedy znów usłyszałem wycie psa, tym razem tak rozdzierająco żałosne, że skoczyłem jak oparzony, pióro wypadło mi z ręki i pobrudziło atramentem stronę, którą właśnie kończyłem.

— Niech diabli wezmą tego psa! — zakląłem pod nosem na widok poplamionej kartki. Nie zdążyłem wypowiedzieć tych słów, kiedy dziwne stąpanie rozległo się przerażająco blisko. Tup, tup, tup... coś wyraźnie skradało się do drzwi. Nie mógł to być pies, gdyż łańcuch nie pozwoliłby mu odejść tak daleko.

Pies zaczął warczeć. Tym razem widać było, że się boi. Spojrzałem w okno i na zewnętrznym parapecie zobaczyłem Tipa, kota mej siostry. Stał nastroszony z podniesionym ogonem i wpatrywał się w coś stojącego przy drzwiach. Potem szybko zaczął się cofać i doszedłszy do ściany przywarł do niej ogromnie czymś przestraszony.

Zdenerwowany i zaciekawiony wzięłem gruby kij z kąta pokoju i ruszyłem w stronę drzwi ze świecą w ręku. Kiedy dzieliło mnie od nich już tylko kilka kroków, poczułem nagle trudny do opisania instynktowny

strach. Moje przerażenie było tak wielkie, że zacząłem się cofać, nie spuszczać wzroku z drzwi. Jakże bardzo chciałem móc do nich podejść i zamknąć je starannie. Zreperowałem i wyprostowałem wszystkie zawiasy i drzwi stały się znacznie mocniejsze, niż były kiedykolwiek. Cofałem się bezmyślnie, jak przedtem Tip, aż w końcu poczułem ścianę za plecami i trwożliwie rozejrzałem się dookoła. Mój wzrok padł na miejsce, gdzie wisiały strzelby i instynktownie zrobiłem krok w ich stronę. Zaraz jednak zatrzymałem się, uświadomiwszy sobie, że nie na wiele się przydadzą. W ogrodzie pies dziwnie skowyczał.

Nagle kot zamiauczał głośno i przeciągle. Spojrzałem szybko w stronę okna. Coś błyszczącego i upiornego zbliżało się do przerażonego zwierzęcia. Była to wysyłająca dziwne światło, przezroczysta ręka, po której skakały migoczące zielone płomienie. Kot wydał z siebie ostatni żalospny pisk i zamienił się w smugę ognia i dymu. Zaczęło mi się kręcić w głowie i szybko oparłem się o ścianę, nie mogąc ustać o własnych siłach. Za oknem widziałem smugę zielonego fantastycznego dymu, która zasłoniła widok, chociaż ogień nadal świecił ciemnym blaskiem. W pokoju rozszedł się zapach spalenizny.

Tup, tup, tup — coś podążało ścieżką ogrodową; ledwo wyczuwalny zapach pleśni wpadł przez otwarte drzwi i zmieszał się ze swądem spalenizny.

Przez dłuższy czas nic nie było słyhać. Aż wreszcie rozległo się głośne i żalospne wycie, a po nim cisza, niekiedy przerywana skomleniem biednego psa.

Po chwili usłyszałem odgłos zatrzaskiwanej bramy w zachodniej części ogrodu, po czym zapadła śmiertelna cisza.

Stałem nasłuchując, aż wreszcie przywołałem resztki odwagi, skoczyłem do drzwi i jak mogłem najszybciej zaniknąłem je i zaryglowałem.

Około godziny siedziałem nieruchomo, kompletnie wyczerpany, i bezmyślnie patrzyłem przed siebie.

Powoli budziłem się do życia i na trzęsących się nogach wszedłem po schodach do sypialni.

To wszystko.

ROZDZIAŁ XXV

Potwór z górskiego amfiteatru

Dziś wczesnie rano obszedłem dokładnie ogród, ale nie stwierdziłem w nim żadnych zmian. Przyjrzałem się też ścieżce przed drzwiami szukając na niej śladów stóp, ale i tutaj nic nie znalazłem. Czyżby wydarzenia ostatniej nocy były snem?

Dopiero kiedy zagadałem do psa, ujrzałem namacalny dowód świadczący o tym, że coś się naprawdę stało. Podeszedłem do budy, ale pies nie wybiegł mi na spotkanie, leżał skulony w kącie i długo musiałem go namawiać, żeby wyszedł. Kiedy wreszcie zbliżył się, był bardzo przestraszony i jakiś nieswój. Zacząłem go głaskać i wtedy właśnie zauważyłem na jego boku dziwną plamę zielonkawego koloru. Przyjrzałem się psu dokładniej i stwierdziłem, że jego sierść i skóra są mocno poparzone i miejscami prześwituje ciało. Niezwykła rana kształtem przypominała odcisk dłoni czy raczej szponów jakiegoś zwierzęcia.

Wyprostowałem się, usiłując odtworzyć szczegóły ubiegłej nocy. Mój wzrok powędrował w stronę okna gabinetu. Promienie wschodzącego słońca oświetlały parapet, a na nim... zwęgloną plamę, która raz wydawała się zielona, to znów dziwnie czerwona. Miałem więc oto następny dowód i nagle obraz Potwora, który zjawił się wczoraj, ożył w mej pamięci. Jeszcze raz spojrzałem na psa. Domyśliłem się teraz, skąd wzięła

się straszna rana na jego ciele, i nie miałem już wątpliwości, że to, co widziałem ubiegłej nocy, nie było snem. Poczulem żal i litość. Pepper, Tip, a teraz ten biedny pies! Widziałem, jak leżąc, niespokojnie lizał swą ranę.

— Mój ty biedaku — szepnąłem nachylając się, żeby pogłaskać go po głowie. Wstał, obwąchał mnie starannie i smutnie polizał mi dłoń.

W końcu zostawiłem go, zmuszony zająć się innymi sprawami.

Po obiedzie znów odwiedziłem psa. Był znacznie spokojniejszy, ale nie zdradzał ochoty opuszczenia budy. Siostra powiedziała, że nic nie jadł przez cały dzień. Trochę ją to zdziwiło, nie przejęła się jednak zbyt, nie widząc powodu do obaw. Poza tym dzień minął bez większych zmian. Po kolacji jeszcze raz odwiedziłem psa. Był niespokojny i za żadne skarby świata nie chciał wyjść z budy. Zanim zamknąłem wszystkie drzwi na noc, odsunąłem budę od ściany domu tak, abym mógł ją obserwować z małego okna. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zabrać psa na noc do domu, ale stwierdziłem, iż rozsądniej będzie zostawić go w ogrodzie. Zresztą dom wcale nie był miejscem bezpieczniejszym od ogrodu, Pepper mieszkał przecież w domu i nie uniknął śmierci.

Wybiła właśnie druga w nocy. Od godziny ósmej nieprzerwanie obserwuję budę z wąskiego okna gabinetu. Nie wydarzyło się jednak nic szczególnego i nie mam już siły tkwić tutaj dłużej. Idę spać...

W ciągu nocy męczyły mnie koszmary. Dopiero nad ranem udało mi się przespać kilka godzin.

Wstałem wcześniej i po śniadaniu odwiedziłem psa. Był spokojny, ale jakiś osowiały i nie chciał wyjść z budy. Szkoda, że w pobliżu nie mieszka żaden weterynarz, który mógłby zbadać biedne zwierzę. Przez, cały dzień pies nic nie jadł, natomiast bez końca pił wodę, najwyraźniej

próbując ugasić wielkie pragnienie. Cieszyłem się, gdy chleptał wodę z miski.

jest teraz wieczór i właśnie siedzę w gabinecie. Postanowiłem, jak ubiegłej nocy, obserwować budę z okna. Wychodzące na ogród drzwi zarygłowałem bardzo starannie. Muszę przyznać, że widok grubych krat w oknach podnosi mnie trochę na duchu.

Wybiła północ. Dotychczas pies zachowywał się spokojnie. Z małego okna dostrzegam niewyraźne kontury budy. Pies poruszył się właśnie po raz pierwszy tej nocy i słyszę głośny brzęk długiego łańcucha. Przysuwam głowę do okna. Pies mości się na noc i na ścianie budy widać małą świetlistą plamę, która niknie, to znów pojawia się przy kolejnym ruchu psa. Nic z tego nie rozumiem. Wreszcie pies kładzie się spokojnie i widzę teraz wyraźnie wysyłającą światło plamę. Jej kształt coś mi przypomina. Ależ tak... dokładny odcisk czterech palców i kciuka dłoni. Palce ręki! Przypominam sobie kształt strasznej rany na boku psa. Czyżby w nocy zaczynała świecić? Ale dlaczego? Mijają minuty, a ja nadal nic nie rozumiem.

Nagle z głębi ogrodu dochodzi jakiś dźwięk. Czuję, jak ciarki przebiegają mi po plecach. Dźwięk wyraźnie zbliża się. Tup, tup, tup. Cały drętwieję ze strachu. Pies porusza się niespokojnie w budzie i przerażony zaczyna skomleć. Musiał zmienić pozycję, gdyż nie widzę już konturów świecącej rany.

W ogrodzie znów panuje cisza, wytężam słuch wstrzymując oddech. Minuta, jedna, potem druga i oto rozlega się odgłos czyichś kroków. Słysząc je coraz wyraźniej, wydają się nadchodzić od strony wyżyrowanej ścieżki. Są miarowe i zdecydowane. Coś stoi przed drzwiami, zrywam się na równe nogi i nieruchomieję. Z zewnątrz dobiega przytłumiony skrzyp, jakby ktoś powoli podnosił zasuwę. Czuję, jak dzwoni mi w uszach i pulsują skronie.

Wreszcie zasuwą opada z głośnym zgrzytem. Szmery za drzwiami drażnią moje roztrzęsione nerwy i sprawiają, że znów ogarnia mnie panika. Później stoję długą chwilę wśród ciszy, która nieoczekiwanie zapada. Czuję teraz, jak kolana uginają się pod mną i jestem zmuszony szybko usiąść.

Znów mija jakiś czas i stopniowo udaje mi się pokonać paralizujący strach. Nadal tkwię nieruchomo, jakbym stracił zdolność poruszania się. Jestem dziwnie zmęczony i senny. Powieki bezwolnie opadają i przyłapuję się na tym, że co chwila zapadam w krótki nerwowy sen.

Znacznie później jak przez mgłę widzę, że z jednej ze świec kapie wosk. Kiedy znów się budzę, zauważam, że świeca wypaliła się już do końca i słabo oświetlony pokój tonie w półmroku. O dziwo, ciemności nie wywołują już we mnie strachu; jedynym pragnieniem jest sen.

Nagle budzę się pomimo ciszy, jaka mnie otacza. Wyraźnie czuję bliskość jakiejś tajemniczej zniewalającej obecności. Powietrze staje się ciężkie od dziwnych prądów. Siedzę skulony, nasłuchując uważnie. Wokół cisza. Cała przyroda jakby zamarła. Potem, przygniatającą ciszę przerywa ciche zawodzenie wiatru wokół domu, szum, który po chwili zamiera gdzieś daleko.

Rozglądam się po tonącym w półmroku pokoju. W kącie tuż obok wielkiego zegara dostrzegłem podłużny cień. Przez krótką chwilę patrzę nań ze zgrozą, po czym przekonawszy się, że nic tam nie ma, oddycham z ulgą.

Zastanawiam się, dlaczego wciąż jeszcze mieszkam w tym przerażającym, pełnym tajemnic domu. I oto pamięć przywołuje obraz cudownego Morza Snu, gdzie miało miejsce dawno oczekiwane spotkanie po latach rozłąki i smutku. Teraz rozumiem, że nie opuszczę tego domu bez

względu na to, co mnie w nim jeszcze spotka.

Przez okno widać ponurą czerń nocy. Mój wzrok ślizga się po ukrytych w cieniu przedmiotach. Potem odwracam się, żeby spojrzeć w okno, i gwałtownie pochylam się, z trudem łapiąc oddech. Coś straszniego stoi na zewnątrz między kratami, wyraźnie widzę ogromny pysk świni wysyłającej migoczące zielone płomienie. Bez wątplenia jest to Potwór, którego spotkałem na arenie wśród gór. Z jego poruszających się ust wycieka długi fosforyzujący strumień śliny. Zimne oczy zaglądają do wnętrza pokoju. Nie jestem w stanie zrobić najmniejszego ruchu.

Nagle Potwór odwraca się powoli w moją stronę. Widzę teraz całą jego twarz. Dwoje wielkich, pół ludzkich, pół zwierzęcych oczu dostrzega mnie w mroku. Pot spływa mi po plecach, żaden szczegół nie umyka jednak mej uwadze i zauważam nawet, że olbrzymia głowa zasłania dalekie gwiazdy na niebie.

Czuję, jak ogarnia mnie nowa fala strachu. Jakaś, siła każe mi wstać z krzesła. Coś pcha mnie w stronę drzwi wychodzących na ogród. Chciałbym się zatrzymać i nie mogę. Przestałem nagle być panem swej woli. Niechętnie, czując wewnętrzny opór, posuwam się powoli do przodu. Mój wzrok bezradnie krąży po pokoju, aż wreszcie zatrzymuje się na oknie. Ogromne oblicze świni gdzieś zniknęło i znowu słyszę skradające się tup, tup, tup. Odgłos kroków urywa się przed drzwiami, w stronę których popycha mnie dziwna siła.

Nastaje teraz chwila całkowitej ciszy, a potem słyszę jakiś dźwięk. Jest nim zgrzyt powoli unoszonej zasuw. Ogarnia mnie rozpacz. Nie zrobię już ani kroku dalej. Tak bardzo chciałbym się cofnąć, ale nie mogę, zupełnie jakby z tyłu wyrosła jakaś niewidzialna ściana. Ogarnięty paniką zaczynam głośno krzyżeć, a brzmienie mego głosu przeraża

mnie jeszcze bardziej. Zgrzyt zasuwy powtarza się i czuję dreszcze przebiegające mi po plecach. Chciałbym stawić opór; rozpaczliwie walczę, żeby się cofnąć... na próżno.

Stoję przy drzwiach i widzę, jak moja ręka niczym automat podnosi się i wbrew mej woli zaczyna przesuwać najwyższe rygle. Drzwi trzeszczą w zawiasach, a przez szpary między deskami przedostaje się do pokoju stęchłe powietrze, od którego kręci mi się w głowie. Powoli przesuвам rygiel, który ze szczękiem wychodzi z zamka. Cały dygoczę z bezsilnej złości. Zostały jeszcze dwie zasuwy, jedna w dolnej części drzwi i druga, nadzwyczaj solidna, umieszczona gdzieś pośrodku.

W końcu odrywam ręce od drzwi i przez długą chwilę stoję osłupiały. Czyżby dziwna moc zmuszająca mnie do majstrowania przy zamkach wreszcie ustąpiła? W tej samej chwili słyszę głośny zgrzyt żelaza gdzieś na wysokości kolan. Spoglądam w dół i na widok mojej własnej stopy odsuwającej dolny rygiel przejmuję mnie niewypowiedziana groza. Świadomość paraliżującej niemocy staje się nie do zniesienia. Z cichym zgrzytem stalowa zasuwa zwalnia się z ucisku. Zataczam się i szukając oparcia chwytam wielki główny rygiel. Mija minuta, która wydaje się wiecznością, potem następna... O Boże, pomóż mi! Coś zmusza mnie, żebym sięgnął do ostatniego zamka. Nie, nie zrobię tego! Lepiej już umrzeć, niż otworzyć drzwi bestii, która stoi po drugiej stronie. Czy nie ma już dla mnie zadniego ratunku?... Boże, nie opuszczaj mnie, odsunąłem już zasuwę z połowy przytrzymującego ją uchwytu! Przerażliwy krzyk grozy wrywa mi się z piersi; zasuwa jest już zwolniona w trzech czwartych, a moje ręce wciąż nie przestają pracować iną moją własną zgubę. Jeszcze tylko kilka poruszeń stalową sztabą dzieli moją duszę od

Niezananego. Pod wpływem zwierzęcego strachu zaczynam krzyczeć. Potem nadludzkim wysiłkiem odrywam ręce od drzwi. Czuję, że tracę wzrok, spływa na minie wielka czarna zasłona. Natura przyszła na ratunek. Kolana uginają się przede mną. Słyszę głośnie i silne walenie do drzwi i zaczynam spadać coraz niżej i niżej...

Musiałem, leżeć pod drzwiami dobrych kilka godzin. Wreszcie odzyskuję przytomność i widzę, że druga ze świec wypaliła się niemal do końca. W pokoju jest teraz prawie ciemno. Nie mogę wstać, gdyż cały jestem zdrętwiały z zimna. Ale umysł mam jasny i nie odczuwam już działania diabelskiej siły.

Z trudem udaje mi się klęknąć i po omacku zaczynam szukać głównej zasuw. Starannie przesuwam ją na jej dawne miejsce, to samo robię z rygłem w dolnej części drzwi. Teraz mogę już wstać i zamknąć drzwi na górny zamek. Potem znów klękam i zaczynam pełzać między meblami w stronę schodów. W ten sposób unikam zniewalającego spojrzenia oczu Potwora za oknem.

Wreszcie dochodzę do drzwi i opuszczając gabinet rzucam ostatnie niespokojne spojrzenie w stronę okna. Wydaje mi się, że dostrzegam jakąś postać mającą w ciemnościach na zewnątrz, ale może jest to tylko wytwór mej wyobraźni. Po chwili jestem już na korytarzu, a potem na schodach.

W sypialni włączam do łóżka w ubraniu i przykrywam twarz kołdrą. Powoli wraca spokój. Wiem, że nie zasnę, ale jestem szczęśliwy, że przynajmniej leżę w ciepłym łóżku. Próbuję odtworzyć w pamięci kolejne wydarzenia ostatniej nocy, ale chociaż męczy mnie bezsenność, myśli płaczą się i nie sposób ułożyć je w jakąś logiczną całość. Czuję dziwną pustkę w głowie.

Nad ranem zaczynam się wiercić niespokojnie. Nie ma mowy o spaniu, wstaję więc z łóżka i zaczynam spacerować po pokoju. Chłodny

brzask wślizguje się przez okna i odsłania kąty nieprzytulnej starej sypialni.

Dziwne, że przez wszystkie spędzone tu lata nigdy nie przyszło mi do głowy, jak przygnębiająco ponury jest ten dom.

Z dołu dochodzą jakieś odgłosy. Podchodzę do drzwi sypialni i nad słuchuję. To Maria krząta się po wielkiej starej kuchni i szykuje śniadanie. Jakoś wcale nie czuję głodu. Zaczynam myśleć teraz o siostrze. Dziwne, że wydarzenia tego domu wcale jej nie niepokoją. Z wyjątkiem ucieczki przed mieszkańcami Piekła Maria jakby nie zauważyła, co się wokół dzieje. Oboje jesteśmy już starzy, ale niewiele mamy ze sobą wspólnego, może dlatego, że tak bardzo się różnimy, a może starzy ludzie wolą po prostu ciszę i spokój od towarzystwa drugiej osoby? Podobne myśli przychodzą mi do głowy i pomagają choć na chwilę zapomnieć o strasznych przeżyciach nocy.

Później zbliżam się do okna, otwieram je i wyglądam na zewnątrz. Słońce wzniosło się już nad horyzont i chłodne powietrze jest rześkie i pełne zapachów. Stopniowo zmęczenie mija i wraca spokój, a z nim poczucie bezpieczeństwa. Nieco podniesiony na duchu schodzę na dół, a potem do ogrodu obejrzyć psa.

Kiedy zbliżam się do budy, czuję ten sam zapach zgnilizny, który ubiegłej nocy przedostawał się do domu szparami w drzwiach. Przewyciężając strach, który ponownie mnie ogarnął, wołam psa. Nie widząc żadnej reakcji z jego strony, wołam jeszcze raz i wrzucam do budy mały kamyk. Nareszcie pies porusza się niespokojnie, każe mu wyjść, cały czas pozostając jednak w bezpiecznej odległości. Obok mnie pojawiła się siostra i także usiłuje namówić psa do opuszczenia budy.

Po chwili biedne zwierzę wstaje i slaniając się, przeciska się przez

otwór. Widzę go teraz wyraźnie w świetle dnia, pies chwije się i patrzy na świat oglupiałym wzrokiem. Straszna rana wydaje się większa, znacznie większa, przypomina białą gąbczastą narośl. Siostra robi ruch, jakby go chciała pogłaskać, ale powstrzymuję ją gwałtownie, tłumacząc, że musimy być ostrożni i nie powinniśmy zbliżać się do biednego zwierzęcia przez kilka dni, skoro nie wiemy, co mu się stało.

Siostra zostawiła mnie na chwilę, po czym wraca z miską pełną resztek jedzenia. Stawia ją na ziemi niedaleko psa. Gałęzią popycham miskę w stronę budy. Pomimo apetycznego wyglądu mięsa pies zupełnie nie zwraca uwagi na jedzenie i wchodzi do budy. Sprawdzam, czy pojemnik z wodą jest wciąż pełny i po krótkiej wymianie zdań wracamy z siostrą do domu. Maria jest wyraźnie zaniepokojona stanem zdrowia zwierzęcia, byłoby jednak szaleństwem wtajemniczać ją w niedawne wypadki.

Dzień mija bez większych wrażeń i nadchodzi noc. Jestem zdecydowany powtórzyć eksperyment ostatniego wieczoru. Wiem, że nie jest to mądre, ale nic już nie zmieni mojego postanowienia. Podjąłem jednak środki ostrożności — na końcu każdej zasuwki drzwi wychodzących na ogród wbilem duże gwoździe. W ten sposób wzmocnione rygle wykluczą przynajmniej niebezpieczeństwo, jakie mi groziło ubiegłej nocy.

Od dziewiątej do wpół do trzeciej stoję na czatach, ale nic się nie dzieje, więc w końcu zmęczony postanawiam iść do łóżka, gdzie natychmiast zasypiam.

ROZDZIAŁ XXVI

Świetlny punkcik

Nagle budzę się. Jest wciąż ciemno. Kilka razy przewracam się na drugi bok, próbując znowu zasnąć, ale moje usiłowania są daremne. Boli mnie trochę głowa i jest mi na przemian gorąco, to znów zimno. Po chwili rezygnuję z dalszego snu i wyciągam rękę w poszukiwaniu zapalek. Zapalę świecę i trochę poczytam, być może łatwiej mi będzie wtedy zasnąć. Po omacku dotykam stołu, wreszcie wyczuwam palcami pudełko, otwieram je i cofam się zdumiony, widząc w ciemnościach fosforyzującą jasną plamkę. Drugą dłonią dotykam świecącej plamki. Znajduje się ona dokładnie na moim nadgarstku. Zaniepokojony zapalam zapalną i przyglądam się ręce wysyłającej dziwne światło, ale widzę tylko niewielkie zadrapanie.

— Przywidziało mi się — mamrocę czując pewną ulgę. Zapalka parzy mi palce, więc rzucam ją szybko na ziemię. Kiedy w ciemnościach szukam następnej, znów widzę jasną plamkę. Teraz już wiem, że nie jest to żadne przywidzenie. Tym razem zapalam świecę i dokładnie oglądam rękę. Wokół zadrapania lekkie zielonkawe zabarwienie skóry. Nic z tego nie rozumiem, i zaczynam się denerwować. I nagle wszystko staje się jasne. Przypominam sobie rano po nocnych odwiedzinach Potwora. Pamiętam, jak wtedy pies polizał mi dłoń, tę samą dłoń, na której odkryłem teraz niewielkie zadrapanie! Drętwieję z przerażenia, zaczyna przesładować mnie obraz rany psa wysyłającej w ciemnościach światło. Robi mi się słabo i szybko siadam na krawędzi łóżka, usiłując uporządkować myśli, ale nadaremnie. Pod wpływem nowej fali strachu czuję dziwną pustkę w głowie.

A czas płynie nieubłaganie. W pewnej chwili zrywam się z łóżka i tłumaczę sobie, że się myślę, ale nie bardzo w to wierzę; w głębi serca nie

mam już żadnych wątpliwości.

I tak, dygocząc godzinami siedzę w ciszy i mroku i wiem, że nie ma dla mnie ratunku...

Minął następny dzień i znów zapadła noc.

Dziś rano zastrzeliłem psa i pochowałem go pod krzakiem. Siostra zdziwiła się i przestraszyła, ale nic nie mogło mnie powstrzymać. Zresztą tak jest lepiej. Obrzydliwa narośl pokryła niemal cały bok zwierzęcia. Ranka na mej ręce też znacznie się powiększyła. Parę razy sam siebie przyłapałem na szeptaniu modlitwy — krótkich pacierzy zapamiętanych jeszcze z dzieciństwa. O Boże Wszechmogący, ocal mnie! Chyba zwariuję.

Od sześciu dni nic nie miałem w ustach. Teraz jest noc. Siedzę w fotelu. O Boże! Zastanawiam się, czy jeszcze ktoś oprócz mnie poznał całe piekło życia? Strach stał się mym żywiołem, moją naturą. Diabelska narośl pali mnie żywym ogniem. Rozrosła się na prawym ramieniu i barku i zaczyna już przechodzić na kark. Jutro z pewnością pokryje mi twarz. Stanę się ohydną żywą masą cuchnącej zgnilizny. Nic mi już nie pomoże. Chociaż... pożądlivym wzrokiem spoglądam w kąt pokoju, gdzie równym rzędem stoją oparte o ścianę strzelby. Może jest jednak jakaś ucieczka. O Boże. Ty wiesz, Ty musisz wiedzieć, że śmierć jest tysiąc razy lepsza od *Tego!* Chryste, przebacz mi, ale nie mogę już dłużej żyć, nie mogę, nie mogę! Nie mam odwagi! Nie widzę żadnego ratunku, oprócz tego ostatniego. W ten sposób uniknę przynajmniej strasznego końca...

Musiałem zapaść w lekką drzemkę. Czuję się bardzo słaby. Jestem taki biedny, taki strasznie biedny i zmęczony. Denerwuje mnie nawet szelest kartek papieru. Odnoszę wrażenie, że słuch mam nienaturalnie

wyostrzony. Posiedzę sobie teraz chwilę i zastanowię się... Psst! Słyszę jakiś hałas w piwnicach na dole. Coś wyraźnie skrzypi. Ależ tak, to unosi się wielka dębowa kłapa. Cóż mogło ją otworzyć? Chrobot pióra na pa, pierze staje się nie do zniesienia... Muszę być czujny... Słyszę kroki na schodach, dziwny tupot nóg, który zbliża się coraz bardziej... Chryste, miej litość nade mną, starym człowiekiem. Kłapa opada pod dotknięciem czyjejs ręki. O Boże, nie opuszczaj innie teraz! Chryste! Drzwi otwierają się powoli. Coś...*

* UWAGA. W MIEJSCU, GDZIE ZDANIE URYWA SIĘ, WIDAĆ NIEWYRAŻNĄ SKREŚLONĄ PIÓREM LINIĘ, JAKBY AUTOR USIŁOWAŁ PISAĆ DALEJ, ALE PRZESZKODZIŁY MU W TYM STRACH I OSŁABIENIE.

To wszystko.

ROZDZIAŁ XXVII

Zakończenie

Odłożywszy rękopis spojrzałem na Tonnisona. Przyjaciel siedział ze wzrokiem utkwionym w ciemnościach.

— Co o tym myślisz? — zapytałem po chwili ciszy. Powoli odwrócił się w moją stronę. Myślami zdawał się błądzić gdzieś bardzo daleko.

— Sądzisz, że był wariatem? — zapytałem ruchem głowy wskazując rękopis.

Tonnison przez chwilę patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, potem jakby się obudził i zrozumiał wreszcie moje pytanie.

— Ależ skąd! — wykrzyknął.

Otworzyłem już usta, aby wypowiedzieć zgoła odmienną opinię — mój zdrowy rozsądek wzbraniał się przed dosłowną interpretacją

przeczytanej historii — ale zaraz je zamknąłem, nie wypowiedziawszy ani słowa. Nie wiem, dlaczego pewność w głosie Tonnisona obudziła we mnie wątpliwości, chociaż nadal nie byłem przekonany, że przyjaciel ma rację.

Po długiej chwili ciszy Tonnison wstał i zaczął szykować się do snu. Wyraźnie nie zdradzał ochoty do rozmowy, więc i ja milczałem, po czym poszedłem za jego przykładem. Czułem ogromne zmęczenie pomimo podniecenia wywołanego lekturą rękopisu.

Kiedy owijałem się kocem, pamięć przywołała nagle obraz starego ogrodu i przypomniałem sobie dziwny strach, jaki jego widok wzbudził w naszych sercach. Czyżby Tonnison miał rację?

Nazajutrz wstaliśmy bardzo późno, około południa, gdyż większą część nocy spędziliśmy na lekturze rękopisu. Tonnison obudził się w złym humorze i jego nastrój natychmiast mi się udzielił. Dzień był ponury i chłodny. Żaden z nas nie wspomniał nawet o łowieniu ryb. Zjedliśmy obiad, a potem siedzieliśmy w milczeniu pałac fajki.

W końcu Tonnison poprosił, abym mu podałem rękopis, i prawie całe popołudnie poświęcił na jego czytanie. W pewnej chwili przerwałem mu pytaniem:

— Czy nie miałbyś ochoty jeszcze raz rzucić okiem na...? — wskazałem głową strumień.

Tonnison podniósł wzrok. — Nie — rzucił krótko, ale słysząc jego odpowiedź poczułem raczej ulgę niż złość.

Od tej chwili nie zwracałem mu już więcej głowy. Tuż przed kolacją spojrział na mnie skruszony.

— Przepraszam cię, stary, że tak z tobą rozmawiam — dobre sobie, nie powiedział ani słowa przez całe trzy godziny — ale nie poszedłbym tam — głową wskazał ogród — za żadne skarby świata. Brr! — to mówiąc

odłożył zeszyt z opowieścią o ludzkim strachu, nadziei i rozpacz.

Następnego ranka skoro świt poszliśmy popływać w znanym miejscu; przygnębiający nastrój częściowo minął i po śniadaniu wzięliśmy wędkę z zamiarem spędzenia dnia na ulubionym zajęciu.

Pomimo niezwykle udanego pobytu z niecierpliwością wypatrywaliśmy przyjazdu woźnicy. Mieliśmy dla niego mnóstwo pytań i chcieliśmy, aby zebrał w wiosce informacje o zaniedbanym ogrodzie na pustkowiu, w samym sercu prawie nieznannej krainy.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym woźnica miał nas zabrać do domu. Pojawił się wczesnym rankiem, kiedy jeszcze leżeliśmy pod kocami, i wszedłszy do namiotu natychmiast zapytał, jak udał nam się połów. Zapewniliśmy go, że wspaniale, po czym przekrzykując się nawzajem daliśmy wreszcie upust dręczącym nas myślom. Prosił, aby opowiedział nam o starym ogrodzie, wielkiej otchłani i jeziorze, czyli o odkrytych przez nas za wioską niedaleko rzeki miejscach. No i czy słyszał o dziwnym domu?

Nie, nigdy o nim nie słyszał, chociaż... zaraz, zaraz, dawno temu krążyło rzeczywiście wiele opowieści o wielkim starym domu na pustkowiu, ale, o ile go pamięć nie myli, było to miejsce zamieszkane przez leśne duchy, w każdym razie dom ten krył w sobie coś niesamowitego, zresztą ostatni raz słyszał o nim, kiedy jeszcze był dzieckiem. Nie, właściwie nic konkretnego sobie nie przypomina i gdyby nie nasze pytanie, „wcale, ale to wcale” nie pamiętałby o istnieniu domu...

— Wobec tego — przerwał mu Tonnison, przekonany, że niczego więcej się nie dowie — proponuję, aby poszedł pan do wioski i wypytał ludzi na ten temat.

Woźnica zasalutował gestem, którego nie potrafię opisać, i poszedł spełnić naszą prośbę. Ubraliśmy się w pośpiechu i zaczęliśmy przygotowywać śniadanie.

Ledwie zdążyliśmy zasiąść do jedzenia, kiedy woźnica znów się pojawił.

— Cóż to za leniwy naród, wszyscy jeszcze w łózkach — oznajmił zaraz na wstępie, zasalutował i łakomym wzrokiem obrzucił smakołyki rozłożone na skrzyni z prowiantem, która posłużyła nam za stół.

— Niech pan siada — zaprosił woźnicę przyjaciel — i posili się nieco.

Woźnica nie dał się długo namawiać.

Po skończonym śniadaniu Tonnison powtórnie wysłał go do wsi z tą samą misją. Czekając na powrót woźnicy zapaliliśmy fajki. Mężczyzna wrócił po trzech kwadransach, ale od razu widać było, że czegoś się dowiedział. Otóż znalazł najstarszego mężczyznę we wsi, który prawdopodobnie wiedział więcej — chociaż wcale znowu nie tak wiele — o dziwnym domu niż pozostali mieszkańcy.

Starzec przypomniał sobie, jak w czasach swej młodości — nikt dokładnie nie wie, kiedy to było — w środku dzikiego ogrodu stał wielki dom, po którym zostały tylko ruiny. Przez wiele lat dom był pusty, nawet zanim jeszcze urodził się starzec. Mieszkańcy wioski, tak jak i ich ojcowie unikali tego miejsca. Wiele legend krążyło na temat domu; mówiono, że mieszkał w nim diabeł. Żaden człowiek nigdy się doń nie zbliżył, a we wsi kojarzono go z samym piekłem.

I oto pewnego dnia przez wioskę przejechał jakiś obcy mężczyzna i skierował się prosto w stronę Domu, jak nazywali dziwną budowlę wieśniacy. Kilka godzin później tą samą drogą wrócił do Ardrahan. Minęły trzy miesiące i nikt o nim nie słyszał. Wreszcie znów się pojawił, tym razem w towarzystwie starszej kobiety i dużego stada osłów dźwigających ciężary. Nie zatrzymując się, przejechali przez wioskę, po czym skręcili nad rzekę w kierunku domu.

Odtąd jedynym, człowiekiem, który ich widywał, był wieśniak, regularnie dowożący z Ardrahan potrzebne produkty. Musiał być jednak niezłe opłacany, gdyż nie udało się wyciągnąć z niego ani słowa.

Czas monotonnie płynął w małej wiosce i wieśniak niezmiennie pojawiał się co miesiąc.

Pewnego dnia jak zwykle przyjechał załatwić kilka spraw. Mijając mieszkańców wioski mrukiwie odpowiadał na ukłony, po czym tuż przed zapadnięciem zmroku skierował się w stronę domu. Nie minęło jednak kilka godzin, kiedy znów pojawił się w wiosce w stanie niezwykłego podniecenia, przynosząc zadziwiającą wiadomość.

Cały dom zapadł się pod ziemię, a w miejscu, gdzie stał, powstała wielka otchłań.

Ta nieoczekiwana nowina do tego stopnia obudziła ciekawość mieszkańców wioski, że przezwyciężywszy strach, ruszyli tłumnie nad rzekę przekonać się, czy posłaniec mówi prawdę. I rzeczywiście wszystko wyglądało tak, jak to opisał mężczyzna.

To wszystko, czego zdołaliśmy się dowiedzieć. Kim był autor rękopisu, jak się nazywał i skąd pochodził, na zawsze pozostanie tajemnicą, którą zabrał ze sobą do grobu.

Tego samego dnia wyjechaliśmy z leżącej na pustkowiu wioski Kraighthen i nigdy już tam nie wróciliśmy.

Czasem w snach widzę szeroką otchłań, wokół której rosną dzikie drzewa i krzaki. Z głębi jamy dochodzi szum wody i zlewa się w moim: śnie z innymi, bardziej oddalonymi dźwiękami, a nad wszystkim unosi się nieśmiertelny całun mgły.

Spis treści

Wstęp	7
Rozdział I – Odkrycie rękopisu	11
Rozdział II – Równina Ciszey	22
Rozdział III – Dom na arenie	27
Rozdział IV – Ziemia	33
Rozdział V – Postać w wąwozie	36
Rozdział VI – Świniostwory	43
Rozdział VII – Atak	53
Rozdział VIII – Po ataku	59
Rozdział IX – Piwnice domu	63
Rozdział X – Czas oczekiwania	67
Rozdział XI – Poszukiwania w ogrodzie	71
Rozdział XII – Podziemne korytarze	77
Rozdział XIII – Klapa w wielkim lochu	87
Rozdział XIV – Morze Snu	92
Rozdział XV – Hałas w nocy	96
Rozdział XVI – Przebudzenie	106
Rozdział XVII – Zamierające obroty wszechświata	111
Rozdział XVIII – Zielona Gwiazda	117
Rozdział XIX – Koniec Układu Słonecznego	124
Rozdział XX – Ciała kuliste na niebie	128
Rozdział XXI – Ciemne Słońce	131
Rozdział XXII – Ciemna mgławica	136
Rozdział XXIII – Pepper	140
Rozdział XXIV – Kroki w ogrodzie	141
Rozdział XXV – Potwór z górskiego amfiteatru	145
Rozdział XXVI – Świetlny punkcik	154
Rozdział XXVII – Zakończenie	156